

PROWINCJA
KWARTALNIK
SPOŁECZNO - KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 1

2010

Redakcja:

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny

Wacław Bielecki - sekretarz redakcji

Marek Stokowski

Janusz Ryszkowski

Justyna Liguz

Andrzej Kasperek

Projekt okładki, grafika na II i IV stronie:

Mariusz Stawarski

Skład i łamanie:

Z8 REKLAMY

www.z8.com.pl

Korekta - redakcja

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie,

ul. Królowej Jadwigi 10, 82-400 Sztum

e-mail: provincia@onet.pl, tel. 0693527614

Drukarnia W&P,

ul. Akacyjowa 29, 82-200 Malbork

ISBN 978-83-86590-19-3

Druk:

Drukarnia W&P

Malbork

tel. 55 272 25 85

Publikacja powstała przy wsparciu finansowym
Banku Spółdzielczego w Sztumie

PROWINCJA

Nr 1 2010

Spis treści

Prowincja na dzień dobry	5
--------------------------------	---

Dyskusja redakcyjna

Wybór prowincji - Tożsamość prowincji	7
---	---

Proza

Marek Jastrzębiec Mosakowski - Locus amabilis (fragment powieści)	17
Andrzej Kasperek - Sianokosy u Schopenhauerów (opowiadanie)	23
Marek Stokowski - Błazen (fragmenty powieści)	31

Poezja

Janusz Ryszkowski	41
ks. Grzegorz Wąsowski	43
Sebastian Kubiak	46

Wędrowki

Janusz Ryszkowski - Andriolli na Powiślu	47
Bogumił Wiśniewski - Odkrywanie tajemnic krzyżackiej nekropolii w Kwidzynie	57
Piotr Podlewski - Dworki ziemiańskie Dolnego Powiśla	63
Leszek Sarnowski - Co się stało z cmentarzem żydowskim w Sztumie czyli „śledztwo” w internecie	71
Kordian Kuczma - Patroni naszych ulic, Jaki patron?	81
Jerzy Wcisła, Zbigniew Ptak - Pętla Żuławska	

Pasje

Marek Opitz - Przenosiny domu podcieniowego na Żuławach	97
Danuta Thiel-Melerska - Fotorevers. Leksykon fotografii	107

20 lat samorządu lokalnego

Jacek Kluczkowski - Początki kwidzyńskiej samorządności	113
Leszek Sarnowski - Od Komitetu Obywatelskiego do samorządu	119
Bogdan Wiśniewski - Nadzieje, zwycięstwa, rozczarowania	127

Film – Plastyka – Muzyka

Rafał Cybulski - Stan wojenny okiem młodego prowincjusza	131
Marek Stokowski - Mariusz Stawarski, malarz z naszej ulicy	137
Wacław Bielecki - Sztumski koncert plebisytowy Feliksa Nowowiejskiego	139

Rozmyślania

ks. Grzegorz Wąsowski - Przykazania? Bez zarzutu	147
---	-----

Recenzje

Andrzej Kasperek – Żuławy- krajobraz dla konesera	151
Leszek Sarnowski - Zabytkowa gmina Miłoradz	153
Wacław Bielecki - Dzieje Nowego Stawu	155
Paweł Głogowski - Indianie po sztumsku	157
Leszek Sarnowski - Z Kresów na Dolne Powiśle	159

Z przymrużeniem oka

Marek Stokowski - Prowincjonalia	161
---	-----

Konkurs

Konkurs na reportaż im. Krystyny Muszyńskiej	165
--	-----

O nas

Noty o autorach	167
-----------------------	-----

Kwartalnik Prowincja na dzień dobry

Jesteśmy już stąd lub zawsze stąd byliśmy. To nasze miejsce na ziemi albo czasem tu wracamy. To nasza szkoła, szpital, kościół, park, ulica, sklep, kino, cmentarz, skraj lasu. To nasza Prowincja.

To nasz nowy kwartalnik społeczno - kulturalny pod tytułem „Prowincja”. Tytuł raczej prowokacyjny, nieco przekorny, gdyż swojego miejsca nie uważamy za dopust Boży czy przykład zmarnowanego życia. To może peryferia i zaścianek, ale to miejsce naszych pierwszych miłości, młodzieńczych wierszy, kolejnych dzieci, pasji, nadziei, aspiracji, groby bliskich i w końcu miejsce wybrane.

Smuci nas niesprawiedliwa plotka, wścibstwo, nuda, brak perspektyw dla wielu. Cieszy nas rozpoznawalność, życzliwość, brak pośpiechu, zapach wiosny w pobliskim lesie, szum rzeki czy jeziora i że nasz rododendron i magnolia sąsiadki przetrwały kolejną zimą.

W naszym przekonaniu ciekawe i twórcze pomysły i przedsięwzięcia kulturowe realizowane są nie tylko w metropolitalnych centrach, choć tam dominują, ale także obecne są w miejscowościach takich jak Nowy Dwór Gdański, Krynica Morska, Malbork, Nowy Staw, Sztum, Dzierżoń, Kwidzyn czy Prabuty.

Kwartalnik ma stać się ważnym miejscem publicznej debaty dotyczącej szeroko rozumianych problemów społeczno-kulturowych tej części Pomorza - Dolnego Powiśla i Żuław.

Prowincja, nie zaściankowa i peryferyjna, ale ciekawa i atrakcyjna, czasem nostalgiczna i zdystansowana, ale też kameralna i bardziej przyjazna, to miejsce, które uznaliśmy za „swoje”, to nasza „mała ojczyzna”. Chcemy pokazać jej prawdziwą, ciekawą twarz.

Do współpracy chcemy zaprosić ważnych dla poszczególnych miejscowości autorów, dla których „prowincja” to nie jedynie miejsce zamieszkania, ale przede wszystkim miejsce intelektualnej refleksji i twórczych inspiracji. To między innymi dziennikarze, pisarze, poeci, twórcy ludowi, historycy, nauczyciele, lekarze, inżynierowie. Kwartalnik ma stać się miejscem ich spotkania.

Wiele uwagi w piśmie poświęcić chcemy prezentacji ciekawych zabytków, ochronie zaniedbanych miejsc, nieznannej i ciekawej historii regionu, świadkom historii, ale także tym, którzy podejmują się oryginalnych wyzwań kulturotwórczych w trudnym małomiasteczkowym otoczeniu na Dolnym Powiślu i Żuławach.

Zapraszamy do współpracy

REDAKCJA

Wybór prowincji - Tożsamość prowincji

- Może na początek porozmawiamy o swoim wyborze miejsca zamieszkania. Dlaczego tu jestem, dlaczego zostałem? Co mnie łączy z tym miejscem?

Leszek Sarnowski - Ja pochodzę z pogranicza Kujaw i Pałuk, z niewielkiego miasteczka - Barcin. Ze Sztumu jest moja żona, choć ja w dzieciństwie spędzałem tu często wakacje u dziadków. Nie był to więc przypadek. Osiedliśmy tu po skończeniu studiów w Gdańsku. Przez kilka pierwszych lat, gdyby nam ktoś zaproponował powrót do Gdańska, to byśmy nawet piechotą wracali. Wiele rzeczy doskwierało - nuda, brak starych przyjaciół, oddechu wolności i wielkomiejskich atrakcji. Z roku na rok korzenie jednak puszczały. Pomogły trochę emocje polityczne związane z Okrągłym Stołem i zakładaniem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Wtedy się zaczęło, ludzie wyszli z domu, otworzyli się, zaczęli się spotykać, działać, rozmawiać ze sobą. To najlepszy okres mojego życia - aktywny, spontaniczny, bezinteresowny. Okazywało się, że razem możemy wiele zrobić i robiliśmy. Dla mnie to zupełnie fantastyczny czas pracy w szkole i w pierwszym samorządzie gminnym. Najbardziej doceniłem swoją prowincję z dystansu. Kiedy byłem terenowym reporterem TVP, wędrującym codziennie po całym województwie, to z przyjemnością tu wracałem, do swojego ponemieckiego domu z ogrodem i duszą, na spokojnej małej ulicy. To było najlepsze lekarstwo na stres, zmęczenie i wielkomiejski blichtr. Cisza, spokój, przewidywalność, wszędzie blisko i znajomo, czasami nawet nuda, która kiedyś irytowała, teraz stała się atutem. Mieszkam tu ponad 25 lat, to więcej niż w rodzinnym mieście i nie wyobrażam sobie życie gdzie indziej. Mam wrażenie, że mogę dziś powiedzieć, że chyba już jestem stąd.

Marek Stokowski - Na Powiślu osiadłem wiosną 1981 roku. To był, przypomnę, upojny, ale i niesłychanie ciężki czas w Polsce. Rodzinna Warszawa wydawała mi się miastem nie do wytrzymania, pełnym ludzkiej złości, ohydy betonowych bloków, tłoku w autobusach i kolejek po ochłapy. Poza tym, tak jak to widzę dzisiaj Warszawa, była i jest miastem zamordowanym przez Niemców podczas Powstania, a później – przez komunistów. Oczywiście, nie znałem Warszawy przedwojennej, a jednak odczuwałem i nadal odczuwam ją jako miasto spalone, nieodwracalnie zniszczone, nie tylko architektonicznie, ale i społecznie, kulturowo. Zacząłem się zastanawiać, czy jestem na to miejsce skazany, czy nie mógłbym poszukać innego, gdzie codzienność miałaby smak przygody, a nie udręki. I tak, zaraz po ukończeniu studiów, wyjechałem na Północ. Ten kierunek wyznaczony został głównie tym, że w tych okolicach mieszkała moja przyszła żona...

Wyjazd z Warszawy i wybór Północy miał fundamentalne znaczenie dla całego mojego losu. Codziennie dziękuję Panu Bogu za tę decyzję i jej konsekwencje. Tutaj, na Powiślu, powstała nasza rodzina, urodziły się i wychowały nasze dzieci, tutaj odnalazłem ukochane krajobrazy i tylko tu jestem w stanie pisać.

Zawsze najbardziej ciągnęło mnie do lasu, a zatem po przyjeździe – przez ponad rok – mieszkałem w leśnych okolicach Sztumu. W roku 1983 r. pojawił się zamek Malbork jako miejsce mojej pracy zawodowej. Z czasem twierdza nad Nogatem stała się także moim domem. Moim i mojej rodziny. Zamek przyciągnął nas swoją potężną grawitacją. Ale grawitacja lasu jest jeszcze potężniejsza i dlatego marzymy, aby osiedlić się na skraju Puszczy Sztumskiej, po której wędruję niemal każdej soboty i niedzieli, i której poświęciłem ukończoną niedawno powieść.

Janusz Ryszkowski - Moja rodzina, zarówno ze strony mamy, jak i taty, od kilku pokoleń związana jest z kilkoma wioszczkami w okolicy Gniewa. W 1959 roku ojca, pracującego na froncie rolnym, jak się mówiło, skierowano do Sztumu, gdzie otrzymał mieszkanie w nowo wybudowanym bloku, jednym z pierwszych w powojennej historii miasteczka. Jako czterolatek znalazłem się w b. Prusach Wschodnich, a urodziłem się we wsi, która wcześniej leżała o 2 kilometry od niemieckiej granicy, którą stanowiła Wisła. Sztum był miastem mojego dzieciństwa i dorastania. Po studiach sporo wskazywało, że tu nie wrócę. Odbywałem staż dziennikarski w redakcji „Panoramy Północy”, upomniało się o mnie wojsko. W „kamaszach” spędziłem 1980 rok. Kilka ostatnich miesięcy tego pamiętnego roku w Warszawie, w redakcji kolorowego tygodnika „Żołnierz Polski”. Tamte doświadczenia (samotność w wielkim mieście, potęgowana kłopotami codzienności - puste półki, niekursujące tramwaje, etc.), spowodowały, że z ulgą wracałem do Sztumu.... A potem zdradziłem Sztum, bo - jak kiedyś ojciec - pojechałem tam, gdzie dostałem swoje pierwsze mieszkanie. A potem za sprawą żony wróciłem... Trudno do końca powiedzieć, ile w tym, że tu mieszkam, jest sprawą wyboru, a ile przypadku. W każdym razie, kiedy ówczesny naczelny „Dziennika Bałtyckiego” zdecydował o moich przenosinach do oddziału redakcji w Sztumie, usłyszałem: „Przecież byłeś na to skazany...”. Może i tak...

Andrzej Kasperek - Jestem żuławiakiem z urodzenia. Moi rodzice przyjechali w te strony z Kieleckiego wraz z trójką starszego rodzeństwa. Moja mama nigdy nie polubiła tych stron, tata traktował to jako wybór z rozsądku. Dla mnie ten krajobraz jest swojski, bliski mi, mój. Wiatry, które wieją przez mój „płaski kraj” (jak nazwał swą ojczyznę Jacques Brel) wcale mi nie przeszkadzają, ba, ja nawet ich nie zauważałem przez lata, traktowałem je jako coś tak zwyczajnego, jak trzciny porastające rowy i białe-czarne krowy na łąkach. Studia spędzone w Gdańsku zaowocowały sentymentem dla tego miasta, co dla żuławiaka jest czymś normalnym. Podobnie jak Leszek wracałbym do niego pieszo i bardzo często tam jeździłem po to, aby pobyć tam choć trochę. Dziś jeżdżę może równie często i z ulgą wracam do swojej „dziury”. Podobnie się dzieje, gdy uda mi się wyjechać za granicę. Zachwycam się, ale z przyjemnością wracam do siebie. Bo być u siebie to coś bardzo ważnego... Za co lubię Żuławy i za co ich nie znoszę? Ach, to już temat na dłuższą rozmowę.

Justyna Liguz - W każdej „małej ojczyźnie”, jej społeczność można podzielić na tych, którzy w niej mieszkają i na tych, którzy mieszkali w niej onegdaj. Jednak często jest tak, że ci, którzy w niej pozostają, chcą się „wyrwać” ze swojej rodzinnej miejscowości i wyjeżdżają, aby zamieszkać w większych aglomeracjach. Tych, którzy swoje „małe ojczyzny” opuścili, sentyment skłania do tego, by choć na chwilę wrócić do stron rodzinnych. W moim przypadku jest inaczej. Nie tylko jestem „stałą” od zawsze. Ciekawostką jest chyba fakt, że od zawsze mieszkam także w tym samym domu, przy tej samej ulicy, pod tym samym numerem domu i mieszkania. Nie musiałam nigdzie wyjeżdżać (choć mogłam i zdarzały się takie „przerwy”), nie musiałam nigdzie wracać. Życie tak jakoś się ułożyło, że nie stałam przed wyborem: zostać czy wyjechać. Dane mi jest nie tylko uczestniczyć w życiu mojej małej ojczyzny, ale mam także możliwość ciągłego zaglądania pod jej podszewkę, w lata minione, poszukiwać wciąż ludzi, którzy mieszkali tutaj onegdaj. Jedno nasuwa mi się za każdym razem. Zawsze byli tu i Niemcy i Polacy. Zawsze żyli na co dzień, wspólnie dzieląc trudy życia codziennego. Zawierali mieszane związki małżeńskie, rodziły się dzieci. Nikomu nie przeszkadzało, że w mieście żyją katolicy i ewangelicy, także Żydzi. To zawsze wielka polityka dzieliła nas między sobą, generowała konflikty. I myślę, że zrozumienie tego faktu bardzo pomaga w budowaniu nowych wartości kulturowych.

Wacław Bielecki – Do Sztumu przybyłem 36 lat temu. Znalazłem się tu przez przypadek, Jesienią 1974 roku szukałem pracy i rozesłałem do kilkudziesięciu miast podanie zastrzegając, że podejmę pracę, jeśli otrzymam mieszkanie. Odpowiedź przysłała tylko z Ostródy i Sztumu. Kiedy pojechałem do Ostródy okazało się, że tak naprawdę mieszkania tam nie ma. Podobnie było w Sztumie, jednak ówczesny inspektor oświaty Henryk Słonina (obecny prezydent Elbląga) obiecał mi, że mieszkanie szybko otrzymam. Uwierzyłem mu. Pracę podjąłem w Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Tymczasowym mieszkaniem okazał się pokój w internacie liceum ogólnokształcącego. Prawdziwe mieszkanie – pokój z kuchnią musieliśmy z żoną wykupić po roku koczowania w internacie i po urodzeniu się syna.

- Dlaczego tu zostałem? Bardzo pociągała mnie praca w Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Była to o mała placówka zatrudniająca psychologów i pedagogów. Do tego doszły wydarzenia związane z powstaniem „Solidarności”, zakładanie i redagowanie pisma - „Sztumska Solidarność”, to były chwile niezwykle emocjonujące i wciągające do zespołowego działania. Potem przyszły smutne lata zniweczonej nadziei - stanu wojennego, a po nich pierwsze demokratyczne wybory samorządowe w wyniku których zostałem wybrany przewodniczącym Rady Miasta i Gminy Sztum. W sumie można powiedzieć, że do pozostania w Sztumie skłoniła mnie ciekawa praca i fascynujące wydarzenia historyczne. Poza tym, ja po prostu lubię małe miasta...

- Jaka jest nasza „mała ojczyzna”, nasza prowincja? Czy można wykazać jakieś jej szczególne cechy, które odróżniają ją od metropolii?

Leszek Sarnowski - Jest zdystansowana, sentymentalna, czasem nudna, czasem zabawna, bardziej rytualna niż spontaniczna, plotkarska, co czasem znaczy bliska i rozpoznawalna, najczęściej przewidywalna. Jest też zaciszna, spokojna i nieśpieszna....

Janusz Ryszkowski - Swojska, ma konkretną twarz, nachyloną w stronę tradycji, dość przewidywalna...

Marek Stokowski - W życiu na prowincji irytuje mnie to i owo, zwłaszcza – zduszony oddech ludzkiej wyobraźni, ale i cieszy niejedno, przede wszystkim: człowiecza skala przestrzeni, widoczny z moich okien horyzont za linią Wisły, ogrody przy domach, bliskość pól i lasów. Znajduję tu także mniej jałowego szumu informacyjnego i powolne rytmy życia, a więc wszystko to, co dogadza komuś, kto unika hałasu i nadmiaru wrażeń, aby móc się skupić na tym, co najbardziej sobie ceni, na przykład na wędrówkach i pisaniu. Dodam jeszcze coś, co może być uznane za głupstwo: cenię tu sobie wolność od codziennego dojeżdżania do pracy przez godzinę albo dłużej i kitwaszenia się w udręce tłoku i w paskudzie betonowych ulic. Kto pół życia tracił na przystankach, w miejskich autobusach i tramwajach, ten wie, o czym mowa. Jestem pewien, że nie tylko ja lubię miejsca, gdzie niemal wszędzie można dojść pieszo.

Justyna Liguz - Myślę, że jedyną cechą, jaka różni naszą Małą Ojczyznę od metropolii jest tylko i wyłącznie wygoda życia codziennego. Wszędzie blisko, mamy więc więcej czasu dla siebie i rodziny, nigdzie nie trzeba daleko jeździć, chyba, że za miasto na spacer. Myślę, że tylko mniejsza anonimowość nas samych w tłumie miejskim. Pozostałe cechy występują niestety wszędzie, prowincjonalność, zaściankowość, kołtuństwo i inne cechy z tym związane występują tak samo w dużych miastach. O naszej kulturze i sposobie bycia i życia nie decyduje raczej miejsce zamieszkania.

Andrzej Kasperek - Nudna i wkurzająca, spokojna i bezpieczna, zaciszna i parafialna. Bez perspektyw, z mnóstwem nie wykorzystanych szans. A przy tym wszystkim bliska mi, darzę ją czułością i przywiązaniem i zawsze chętnie do niej powracam.

Wacław Bielecki – Dla mnie jest to po prostu piękna kraina. Kiedy jeżdżę rowerem po Powiślu nie mogę się napatrzeć. Cóż za urzekające widoki, choćby te z wału Wisły w Białej Górze, czy nad zarastającym jeziorkiem w Borowym Młynie, albo kiedy patrzy się “z góry” na Dziergoń malowniczo rozłożony w dolinie. Tu na prowincji jest bliżej natury.

- Dokonałiśmy świadomego wyboru, choć nie wszystkim tu mieszkającym było to dane. Są tu z dziada, pradziada, lub tylko z dziada, często nie zastanawiając się, że może gdzie indziej było by lepiej lub inaczej albo też nie mieli nigdy możliwości spróbowania. Prof. Wiesław Theiss powiedział, że „mała ojczy-

na” zakorzenia, ale też skłania do aktywności, żeby ją współtworzyć. To źródło tożsamości, łączy z kulturą, przeszłością, przyrodą, orientuje w świecie - czy w naszym przypadku to postulat i pobożne życzenie czy rzeczywistość?

Leszek Sarnowski - Dla mnie bardzo ważnym elementem nowej rzeczywistości w małych aglomeracjach jest fakt odzyskiwania prawdziwej pamięci tych ziem. W czasach na szczęście minionych negowano, że mieszkał tu ktokolwiek inny niż Polacy. Niszczono lub po prostu zaniedbywano cmentarze ewangelickie, mennonickie, prawosławne, żydowskie, bo obce, nieznane, wrogie. Pamiętam kiedy miałem może siedem lat w moim rodzinnym mieście na Pałukach burzono kościół ewangelicki, w którym wcześniej zrobiono zresztą magazyn nawozów. Nie słyszałem głosów protestu, a raczej zaciekawienie, że coś się dzieje, a właściwie że to dobrze, bo Niemców już nie ma i nikomu „obcy” kościół nie jest potrzebny. W takiej sytuacji trudno było się dziwić takim jak ja młodzieńcom, że najlepsze zabawy organizowaliśmy na pobliskim „niczym” przecież cmentarzu poniemieckim, wśród marmurów z gotycką, niezrozumiałą czcionką, wystających z ziemi piszczele i czaszek, z żelaznymi ogrodzeniami, których rzeźbione pręty idealnie nadawały się na rycerskie miecze. Dziś społecznościom lokalnym nikt nie każe odbudowywać dziedzictwa kulturowego tych ziem - poza polskim, niemieckiego, żydowskiego czy mennonickiego. Ludzie organizują się sami, zdobywają środki i sponsorów i odbudowują to, co miało zapaść się pod ziemię, bo nie było nikogo kto by zadbał o „obce”. Często robią to młodzi ludzie. Bardzo krzepiący w tym względzie jest tu przykład internetowego Forum Marienburg, które od jakiegoś czasu przeglądam. Znamienna jest już niemiecka nazwa Malborka dla tego Forum, co kiedyś pachniało by rewizjonizmem, którym straszono nas od kołyski. Forumowicze z taką samą determinacją i zaciekawieniem odkrywają tam losy polskich dworów ziemiańskich, banków, wiejskich oberży i młynów, żydowskich cmentarzy (o tym dalej w numerze Prowincji), mennonickich zagród czy niemieckich pomników i hoteli. Mam wrażenie, że na tym właśnie polega budowanie i odzyskiwanie pamięci, którą nam zabrano. Mój dom, który kupiłem kilka lat temu, przed wojną należał do dyrektora niemieckiego Banku Powiatowego, po wojnie zamieszkał w nim AK-owiec, uczestnik powstania warszawskiego. Teraz ja dodaję do niego swoją historię.

Justyna Liguz - Zgadzam się z tym, choć uważam, że powoływanie się na to co powiedział prof. Theiss odnosi się bardziej do terenów, które nie tworzą na nowo swojej własnej tożsamości, ale ją po prostu mają z dziada pradziada, a jej mieszkańcom pozostaje jedynie kultywować i dbać o tradycję. Nam jest myślę trudniej.

Janusz Ryszkowski - Wokół „małych ojczyzn” nagromadziło się - tak sędzę - sporo nieporozumień. W zasadzie każdy z nas buduje ją od nowa, wybierając z tradycji kamyki, które mu się podobają, czy pasują do wewnętrznej mozaiki. Pewnie się komuś narażę, ale nie wierzę, że można na serio poczuć więź z Prusami, czy Krzyżakami, owszem, można się w to po dziecięcemu pobawić, przy-

wdziewając zbroję i kierując się na Grunwald czy Malbork. Ma się to wszystko tak do „małych ojczyzn”, jak dawna Cepelia do prawdziwej sztuki ludowej. To pięknie, że potrafi się zebrać na internetowym forum grono, szukające śladów lokalnej, czy regionalnej przeszłości. Z pewnością umacnia to przymierze z ziemią, na której się mieszka, ale nie wydaje mi się to decydujące. Martwi mnie co innego, gdy próbuje się obiektom z przeszłości nadawać nowe, inne niż pierwotne, znaczenie. Na kamieniu z niemieckimi napisami zawisła polska tablica z zupełnie innej okazji. Takie zawłaszczanie ma swoją długą tradycję. W średniowieczu tzw. babę pruską wmurowano - w ścianę kościoła katolickiego... To samo miejsce inaczej mówi do mnie, mieszkającego tu od półwiecza, a inaczej do Niemca, który opuścił je przed półwieczem. Leszek mieszka niedaleko podwórka, na którym się wychowałem. Dla niego to pewnie miejsce obce, dla mnie ciągle na swój sposób magiczne.

Marek Stokowski - Obawiam się, że teza profesora Theissa o poczuciu zakorzenienia skłaniającym do aktywności jest prawdziwa w odniesieniu do społeczności tradycyjnych, w których ludzie od bardzo wielu pokoleń wrośnięci są w konkretne miejsce planety. Tymczasem nasz region to ziemia, gdzie od stuleci dokonywało się mieszanie narodów i języków. Od czasów krzyżackich co i rusz kogoś tu przesiedlano, osiedlano, wyganiano i znów ktoś napływał z zewnątrz. Ostatni wielki proces tego rodzaju rozpoczął się stosunkowo niedawno, w roku 1945, i trudno się dziwić, że w sensie społecznym nasz region nadal nie ma – według mnie – wyraźnej identyfikacji kulturowej. Myślę tu o identyfikacji w nas samych, w naszych kościołach, a nie w przewodnikach turystycznych. Czy da się porównać samoświadomość kulturową mieszkańców Powiśla na przykład ze świadomością i dumą Kurpiów albo Kaszubów?

Mam wrażenie, że większość z nas nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, iż mieszka na ziemi, która przez ponad 300 lat była dzielnicą Królestwa Polskiego i że jest jeszcze parę innych ważnych powodów, dla których to naprawdę jest nasz dom. A człowiek zaczyna dbać o dom dopiero wtedy, kiedy nie ma żadnych wątpliwości, że on istotnie należy do niego i że będą w nim mieszkać jeszcze jego wnuki. Jeżeli w to nie wierzy, to traktuje te cztery ściany jak chwilowe schronienie, norę, której nawet nie warto sprzątać i gdzie w zimie można napalić klepkami z podłogi, a jak się zawali sufit nad jadalnią, to przecież stół da się przenieść do sypialni.

Zgadzam się z Leszkiem, że być może pierwszymi jaskółkami przemian naszej świadomości są inicjatywy społeczne w rodzaju forów internetowych, gdzie młodzi ludzie piszą z troską o tę ziemię i mobilizują się do praktycznych działań w obronie cmentarzy, architektury i przyrody. To już bardzo wiele. Wszelako marzę o czymś więcej: o powszechnej dbałości o własne domy, ich podłogi, dachy i obejścia, a także o poczucie odpowiedzialności za to, co wspólne. Marzę na przykład o miłosierdziu dla lasów i wody. I marzę o jeszcze jednym: aby zaczęła zanikać między nami atmosfera nieufności, osobności, niezaangażowania w do-

bro wspólne, jaką od samego początku zauważałem w tych okolicach. Zawsze czułem, jakby ludzie, których wymieszała i skotłowała tu historia i którzy noszą w sobie jej piętno, którzy doświadczyli długoletniego panowania dwóch wielkich totalitaryzmów, nadal bali się siebie nawzajem, ufali tylko swoim najbliższym, i rozpaczliwie starali się ukrywać prawdziwe myśli i emocje. Nigdzie indziej w Polsce nie doświadczyłem tak wielkiej, wręcz fizycznej niechęci do pozdrawiania się na ulicy. Na Kielecczyźnie czy na Kociewiu niepodobieństwem jest udawanie, że nie spostrzegliśmy przechodzącego obok sąsiada, tymczasem u nas to jedna z głównych zabaw towarzyskich. Czy ten drobny z pozoru fakt nie jest bardzo znaczący?

Andrzej Kasperek - Żuławy i Mierzeja to miejsca szczególne, z osobną historią. Po wojnie, podobnie, jak to się działo na „ziemiach odzyskanych” (przez niektórych nazywanych „wyzyskanymi”) zaludnione przez osiedleńców z Centrali (tak nazywano Kieleckie i Lubelskie), rozbitków ze zburzonej Warszawy, Ukraińców z Bieszczad wypędzonych w ramach Akcji Wisła. Rzadko kto czuł się tu dobrze. „Ludność napływowa” (wg oficjalnej nomenklatury) lub mówiąc po góralsku: „ptoki” (w odróżnieniu od „krzoków i pnioków”, ale tych po prostu po 1945 tu nie było). Władze straszyły powracającym Niemcami. Widać to po domach – w Sztumie, Malborku i Nowym Dworze Gdańskim prawie nie ma prywatnych domów zbudowanych w latach 60. i 70. Nie czuto się tu pewnie, siedziano na walizkach. Budowano koszmarnie bloki, bez żadnego szacunku dla urbanistyki miast, niszczone ich strukturę, likwidowano cmentarze i kościoły. Zacierano poniemieckie ślady, często bezmyślnie niszcząc zabytki. Tak, dopiero zmiany po 1989 roku umożliwiły zainteresowanie się małymi ojczyznami. Co ciekawe zajęły się tym dzieci przybyszy. Dobrym przykładem jest choćby powstanie w Nowym Dworze Gdańskim „Klubu Nowodworskiego”.

Wacław Bielecki - Na pewno mała ojczyzna zakorzenia, ale na to trzeba dużo czasu i samodzielnego wysiłku. Mnie jako przesiedleńcowi zabrało to ponad trzydzieści lat od chwili kiedy przyjechałem tutaj w towarowym wagonie z rodzicami z lubelskiego. Chociaż fizycznie mieszkaliśmy tu w Nowym Stawie w samym centrum Żuław, to mentalnie przebywaliśmy tam, w lubelskim, bo tam zostawiliśmy naszą najbliższą rodzinę. Codzienne rozmowy i rodzinne uroczystości obracały się wokół przedwojennej historii o której opowiadali nam rodzice. W okresie szkoły podstawowej wszystkie kolejne wakacje spędzałem w lubelskim, co jeszcze bardziej utrudniało mi odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście jestem Pomorzakiem lub Krzyżakiem jak żartobliwie mawiał mój wujek spod Lublina. Wszystko co dotyczyło lubelskiego było swojskie i polskie, a tutaj były „poniemieckie” budynki, mieszkania i meble, „poniemieckie” kościoły, cmentarze i szkoły, „poniemieckie” – dziwnie brzmiące nazwy miejscowości.

W koncepcji Stanisława Osowskiego mała ojczyzna - ojczyzna prywatna (niem. Heimat, ang. Home), jest tym miejscem które kształtuje człowieka, i które on też kształtuje, podobnie Simone Weil, która mówi że dzięki temu właśnie możliwe jest zakorzenienie człowieka, choć coraz powszechniejszy zdaniem niektórych socjologów jest „świat bez miejsca” (W. Theiss - to świat ponowoczesny), który chyba jest daleko od nas. Czy nam to grozi w obliczu licznej emigracji, uciekania młodych do miasta?

Andrzej Kasperek - Chcę wierzyć, że nie. Ale to zależy od tego, czy młodzi ludzie wykształceni, po studiach, będą mogli znaleźć tu dobrą pracę albo dojechać bez straty czasu w korkach do dużych miast. Wcale wszyscy nie marzą o wyjeździe do Anglii lub szukaniu szczęścia w Warszawie. Nie wszyscy „Mają w dupie małe miasteczka” (A. Bursa).

Marek Stokowski - Nie jestem socjologiem ani badaczem kultury, więc moja refleksja może mieć charakter wyłącznie intuicyjny. Zagrożenie życiem w “świecie bez miejsca” wydaje mi się być problemem dotyczącym nie tylko prowincji. Mam nawet przecucie, że w taki straszny świat dużo łatwiej wpadnie ktoś wzrastający w środku wielkiego warszawskiego blokowiska niż dziewczyna czy chłopak z żuławskiej czy powiślańskiej wsi. Nas, tutaj, może po prostu uratować krajobraz. I – oczywiście – może nas ochronić rodzina. Nawet jeśli kultura naszego czy innego regionu nie będzie dostatecznie silna w starciu z potęgą masywnej kultury cyfrowej, to dziecięce doświadczenie krajobrazu i kochającej, mądrej rodziny może nas wybawić od bezdomności. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy parę lat temu, wracałem ze Szwecji z grupą malborskich licealistów. A właśnie odwiedziliśmy przepiękną krainę Bohuslan, pełną fiordów, lasów, jezior i tajemniczych skał. I oto w pociągu z Gdyni do Malborka, 18-letni Tomek, który mieszkał w jednej z wsi żuławskich, powiedział do mnie: „Cieszę się, że już wracamy. Mam taką wielką ochotę wyjść za nasz dom i popatrzeć na pola. Robimy tak często z bratem. Nigdzie nie jest tak pięknie!”. Tomek jest stąd. I tak będzie do końca jego życia. A może i dłużej.

Leszek Sarnowski - Moja córka w ubiegłym roku trzy miesiące spędziła w Londynie, głównie wśród młodej sztumskiej „emigracji” zarobkowej. Okazuje się, że znaczna część tych ludzi nie myśli o stałym tam osiedleniu. Chcą zarobić, bo nadal tam jest to korzystniejsze niż w Polsce, ale to w Polsce kupują mieszkania, myślą o zakładaniu firm, rodziny, a nie tylko o wakacyjno-świątecznych odwiedzinach. Wspaniale jest też to, że w odróżnieniu od naszego pokolenia, ci młodzi ludzie mają Europę i Świat na wyciągnięcie ręki. Pracują w Londynie, a wypoczywają na Dominikanie, nie czekając miesiącami czy latami na paszport, dzięki Bogu nawet nie wiedzą co to znaczy. Jeśli wrócą, to wrócą bogatsi o doświadczenie i wiedzę, bardziej otwarci na świat, także ten za płotem. Cieszy też to, że nawet daleko od domu mają poczucie wspólnoty nie tylko tej ogólnonarodowej, ale przede wszystkim lokalnej. Bardzo wzruszyła mnie koszulka, którą córka przywiozła z Londynu. Na plecach był napis - „Nie mówię szeptem,

gdy mówię skąd jestem”, a z przodu kontur Polski z kropką na północy i napisem - „Sztum”. Podobne koszulki noszą też jej koledzy mieszkający w Sztumie, Gdańsku, Poznaniu czy Warszawie. To chyba najlepszy dowód na to co mówi Marek, że rodzina, krajobraz i konkretne miejsce na ziemi, może być ratunkiem przed wyobcowaniem i samotnością.

Justyna Liguz - w naszym przypadku większości ludzi jest obojętne, czy będą mieszkać w Kwidzynie czy poza nim. Szczególnie tym nieco starszym. Najlepszym przykładem była “przeprowadzka” niektórych działów International Paper z Kwidzyna do Krakowa i Warszawy. Nie słyszałam, żeby ktoś pozostał tylko dlatego, żeby zostać w Kwidzynie. Mamy zbyt małą świadomość przynależności do własnego miejsca, żeby definitywnie brać ten czynnik pod uwagę.

Janusz Ryszkowski - Młode pokolenie - pewnie niecałe - nie odczuwa większej potrzeby zakorzenienia. Kiedyś młodzi ludzie odbywali podróże, które miały głównie cele edukacyjne. Dziś mobilność to wymóg korporacyjny. Syn moich przyjaciół urodził się w Sztumie, jako dziecko wyjechał w rodzicami do Niemiec, studiował tam, ale też we Francji i USA, pracuje w Szkocji... Jak ktoś taki, jak on ma się zakorzenić? Wielu młodych nie kupuje mieszkań, choć ich stać, bo to „przywiązuje do ziemi”, ogranicza, podobnie zresztą jak małżeństwo.

Wacław Bielecki - To, czy młodzi pozostaną w małym mieście, czy przeprowadzą się do większych miast zależy od wielu czynników. Przecież wcale nie jest tak, że na przykład w Sztumie nie ma ludzi młodych. Faktem jest, że wielu z nich szuka swego miejsca w większych aglomeracjach lub nawet za granicą. Wydaje mi się to po prostu naturalne. Młodzi zawsze mieli skłonności do wyfrunięcia z rodzinnego gniazda. Tak było i będzie. Zawsze też będą wielkie metropolie i małe prowincjonalne miasteczka.

- Jak się ma tożsamość prowincji, tożsamość sublokalna do tożsamości regionalnej, w naszym przypadku pomorskiej? Czy nie ma zagrożenia przed partykularyzmem sublokalnym?

Leszek Sarnowski - Ja takiego zagrożenia nie widzę, bo tożsamość regionu jest częścią wspólną tożsamości subregionalnych, między innymi Kaszub, Kociewia, Żuław czy Dolnego Powiśla. W moim przekonaniu najpierw ważne jest to co znane i bliskie i z tym się człowiek wiąże i identyfikuje. Moja wieś, miasteczko, miasto, powiat, region. W prowadzonych niedawno badaniach socjologicznych wśród młodzieży na temat pojęcia ojczyzny padały między innymi takie znamienne określenia: „ojczyzna to miejsce na ziemi, gdzie się urodziłem, wychowałem, gdzie czuję się bezpiecznie i gdzie zawsze mogę wrócić, to mój dom rodzinny, wieś, to miejsce gdzie mieszkali moi przodkowie, to miasto, okolica, szkoła, plac zabaw, osiedle”. I jak tu nie wierzyć Pascalowi, który mówił, że „Twój dom może ci zastąpić cały świat. Cały świat nigdy nie zastąpi ci domu”.

Andrzej Kasperek - Ja też nie widzę takich zagrożeń, wszak mała ojczyzna jest częścią ojczyzny.

Marek Stokowski - Mam wrażenie, że z Pomorzem łączy nas głównie to, że jeździmy do Gdańska na zakupy, do lekarza, na uczelnię i – czasem – do pracy. Malbork wydaje się wręcz być małym satelitą Trójmiasta. A jednak nie odczuwam jakiegos wyrażnego pokrewieństwa regionalnego pomiędzy Powiślem a Pomorzem, nawet jeśli formalnie należymy do jednego województwa. Czuję, że Wisła stanowi tajemniczą granicę między światami. Pamiętamy, ta rzeka dzieli nie tylko nasz region, ale całą Polskę a nawet kontynent. Być może gadam głupstwa, ale proszę zdobyć się na wyrozumiałość dla kogoś, kto – choć mieszka tu już prawie 30 lat – nadal nie do końca chodzi w butach tych, co się tutaj urodzili.

Wacław Bielecki - Czasem zastanawiam się, czy czy rzeczywiście istnieje tożsamość pomorska, bo w naszym regionie wyraźnie widać dominację Kaszubów. Zauważyć to można wyraźnie w obsadzie personalnej władz wojewódzkich, rozmieszczeniu inwestycji i rozdziale pieniędzy, czy ilości czasu który poszczególnym rejonom poświęca lokalna telewizja. Niektórzy mówią, że województwo pomorskie właściwie powinno nazywać się “województwem kaszubskim”. O nas, mieszkańcach Powiśla mówi się przecież jako o tych “zza Wisły”, a mieszkańcy byłego województwa śląskiego ciągle chcą oderwać się od Gdańska. Wydaje mi się zatem, że zagrożenie partykularyzmem lokalnym istnieje i że upłynie jeszcze dużo czasu zanim dojdzie do wyklarowania się tożsamości regionalnej, pomorskiej.

Justyna Liguz - Budujemy naszą własną tożsamość, nie oglądamy się na to co mówią i pisa inni. Z takiej konstrukcji dyskusji bardzo nasuwa mi się taki wniosek, że mamy straszne kompleksy my tu na tej prowincji, ciągle poszukując lepszego u innych. A ten powiedział to i to, a my zgodnie odnosimy się w jakiś sposób do tego. Nie wiem czy to dobry kierunek. Ja nie mam kompleksów, nie odczuwam, że mieszkam na prowincji. Czuję się dobrze w moim mieście, a jak chcę to wsiadam w samochód i za godzinę jestem w “wielkim mieście”. Gościnnie – gdzie nie muszę użerać się w zatłoczonych autobusach, jadać “na mieście” i spoglądać czy mnie ktoś nie zaczepi wieczorem na ulicy. Jadąc gościnnie do wielkiego miasta mam czas dla siebie, mogę poprzybywać w towarzystwie zabawków, iść do galerii czy do kina, a potem wrócić do domu i cieszyć się, że nie muszę stać w korkach każdego dnia rano jadąc do pracy.

Janusz Ryszkowski - Tożsamości powiślańskiej po prostu nie ma. Nie ma więc obaw, by jakoś kolidowała z poczuciem przynależności do Pomorza. Można się zastanawiać, jak budować trwałe więzi regionalne, skoro w Gdańsku określa się nas jako Zawisłe, nieprzypadkowo brzmiące podobnie jak zadupie...

Marek Jastrzębiec Mosakowski

LOCUS AMABILIS¹

(fragment powieści)

Różnie się ludziom plecie na tym świecie. Jednym zdarzają się w życiu pieniądze, inni cierpią na ich brak. Znam wielu, którzy mają za sobą długą listę nieudanych związków, ale też i takich, których można nazwać piewcami wiecznej miłości. Bywają ludzie spełnieni zawodowo, ale także i ci, którzy rozminęli się ze swoim powołaniem. I mógłbym wymyślać podobnie skonstruowane kategorie w nieskończoność, choć dla większości z nas życie to banalna mieszanina tych trzech, które już wyliczyłem, a dalej wyliczać mi się nie chce. A gdzie ja sam widzę się w tej układance ludzkich losów? No cóż, pewnie powinienem wymyślić dla siebie jakąś kategorię szczególną, bo w istocie zdarzyło mi się w życiu coś wyjątkowego. I choć to, co wam opowiem, będzie tylko odbiciem cudzego światła, warto jednak, byście poznali historię kilku ludzi, dzięki którym jestem, kim jestem, i tu, gdzie jestem. Bo bez nich nie miałbym wam nic znaczącego do powiedzenia.

Od trzydziestu lat mieszkam w Sopocie. Pewnie wszyscy znacie to miasto. Wiadomo, elegancki kurort, letnia stolica Polski, czar ciepłych nadmorskich wieczorów, Monciak, moło, Grand Hotel, festiwal piosenki, no i w pobliżu, dla zainteresowanych, kilka literackich i politycznych sław. Brzmi to i nowocześnie, i światowo, ale tak naprawdę nie ma u nas nic godnego pamięci poza zatoką i drogimi mieszkaniami. Bo przecież także i w Sopocie opary katolicyzmu, jak mawiał Thomas Bernhardt, unoszą się aż do samego nieba, a ludzie są tu tacy sami jak w całej Polsce: kombatan ci opozycyjnych spraw, rozmodleni kustosz e ojczyźnianych metafor, wieczni wyznawcy kultu Tanatosa i narodowej traumatologii. I jak wszędzie indziej podczas niedzielnej sumy lub uniesień patriotycznych rocznic Sopocianie tłoczą się w przepełnionych kościołach, wsłuchując się w nabożnym i bezkrytycznym milczeniu w homilie swych mniej lub bardziej natchnionych hierarchów. Mieszkają tu zatem ludzie bez znaków szczególnych i bez szczególnego naznaczenia przez „genius loci”, z imponującym arsenałem wartości i imperatywów moralnych na ustach, nawet wtedy, gdy kradną, korumpują innych, cudzołożą, lub zabawiają się w jeszcze bardziej nieobyczajny sposób. Sopot to miasto naprawdę zwykłe, więc w przeciwieństwie do tych, którzy czczą jego poniemiecką historię i opisują zaginione Atlantydy, powstrzymam się

¹ Przygotowując się do wydania pierwszego numeru kwartalnika Prowincja poprosiłem Marka Mosakowskiego o napisanie wspomnień lub eseju poświęconego Jego literackim inspiracjom dawnymi Prusami Wschodnimi. Okazało się, że powstała powieść, którą autor nosił w sobie co prawda od jakiegoś czasu, ale jej konkretyzację przyspieszył nasz kwartalnik. *Leszek Sarnowski*

od nostalgicznych szczegółów jego przedwojennej aury, oszczędzając wam estetycznej przyjemności, którą wedle Arystotelesa daje człowiekowi rozpoznanie rzeczywistości przedstawionej, nawet jeśli w tym konkretnym przypadku mimesis miałaby dotyczyć tylko tego, co dawno odeszło, a co nigdy już nie powróci. Nie jestem też fetyszystą towaru, więc nie opiszę drobiazgowo aparatury sanitarnej pewnej ponemieckiej łazienki. Nie zmuszę was do werbalnej kąpieli w oparach wirujących słów „kalt” i „warm”. Dziś, zgodnie z prawami popytu i podaży, można sobie zamówić replikę tamtej łazienki u pierwszego lepszego projektanta wnętrz, a tym samym przeżyć ekstazę podobną do tej, która stała się udziałem przesiedlonego z Wilna polskiego untermenscha, fascynata luksusowych kąpieli o niewolniczej drobnomieszczańskiej wyobraźni. Nie zajmę was też losami charzmatycznego dziecka, które najpierw sobie było, a potem się zmyło. I nie opowiem wam o metafizycznych dylematach gdańskiego doktora H., który feralnego dnia wsiadł w Gottenhafen na Gustloffa i podryfował nim ku śmierci. Będzie to jednak opowieść o międzywojniu. Przynajmniej częściowo. A jej bohaterzy, jak u piewców zaginionej Atlantydy, też spacerowali niegdyś po eleganckiej Seestrasse w mieście Zoppot, jeździli na plażę w Jelitkowie lub Brzeźnie, a czasami na wycieczki rowerowe do Matarni lub Brentowa. No i mieszała się, a jakże, swoje wymiary metafizyczne i niezbadane głębokości tajemnic. Moja opowieść zacznie się i skończy w Sopocie. I będzie to wbrew pozorom opowieść poważna, a nawet bardzo poważna.

Od pamiętnego roku 1980 mieszkam w starej willi, którą jej pierwsi właściciele, i budowniczy, Marta i Dymitr Worostowscy, nazwali jeszcze przed wojną „Locus amabilis”. Gdybym chorował na interpretozę, dostrzegłbym zarówno w nazwie domu, jak i w roku, w którym odziedziczyłem go po pani Marcie, zrządzenie sił wyższych. Ale nie żywię się boską symboliką i nie ulegam demonom analogii, więc nie złączę mistycznym splotem nazwy domu, „Locus amabilis”, z rokiem 1980, owym przełomowym „Annus mirabilis” naszej najnowszej historii. Ale co tam interpretoza. Ją pozostawiam wam. Sobie natomiast posiadanie domu, domu niezwykłego, nie w tym sensie, że sprawia mi przyjemność samo posiadanie jako takie, ale w tym, że odmienił on we mnie wszystko, dosłownie wszystko, już od chwili, kiedy w roku 1970 jako dwudziestolatek, student anglistyki w UG, zobaczyłem go po raz pierwszy. Będzie to zatem opowieść także i o mnie. Zacznę jednak od prapoczątku. Pani Marta Worostowska, pierwotna właścicielka „Locus amabilis”, była Polką. Urodziła się w południowej Wielkopolsce jeszcze w czasach zaboru pruskiego. Jej mąż natomiast był rosyjskim Żydem. Dymitr Worostowski uciekł z Rosji tuż po śmierci Lenina i osiedlił się w Wolnym Mieście. Ich małżeństwo długo uznawano za mezalians. Ona potomkini zamożnych, germanofilskich, choć umiarkowanych, polskich ziemian spod Rawicza, którzy zarówno przed pierwszą wojną, jak i po niej, spędzali każde lato w swej sopockiej kamienicy, zwanej z francuska Montrésor, on z wykształcenia lekarz, Żyd, trockista, biedak i pieczeniarski, trochę polityczny awanturnik, trochę

kobieciarz, rozwodnik, który zostawił w Rosji swą pierwszą żonę, a wraz z nią kilkuletnią córkę. Czy trzeba tłumaczyć, dlaczego rodzicom Marty zajęło wiele lat, zanim zaakceptowali to małżeństwo? Właściwie zaakceptowali je dopiero wtedy, gdy w roku 1935 urodził im się pierwszy, i jedyny wnuk, Piotr, Pietia, jak zwał go ojciec, i jak z czasem zaczęła go też nazywać jego polska rodzina. Dziecko wychowywano po katolicku. Był to pewnie warunek sine qua non oficjalnego uznania zięcia przez szlachetnie urodzonych rodziców Marty, choć jej samej religijne wychowanie syna było obojętne. Ona Boga judeochrześcijańskiego nie czciła tak jak jej przodkowie, tym bardziej zaś nie wierzył w niego jej mąż Dymitr. Marta miała też brata, Klemensa, który, podobnie jak ona, wolał w międzywojniu mieszkać nie w Rzeczypospolitej, lecz z dala od rodziców, na terytorium Wolnego Miasta. Ale Klemens wstąpił po maturze do oliwskiego seminarium, a potem osiadł jako wikary w małej parafii koło Przywidza. Nie posłuchał głosu swego daimoniona, i na początku lat trzydziestych udawał jeszcze, że poza kościołem nie ma dla niego żadnej alternatywy. A gdy wreszcie w roku 1934 razem ze swym niemieckim przyjacielem z seminarium stan duchowny opuścił, a wraz z nim i katolicyzm, to nie po to, by przedłużyć linię swoich sarmackich antenatów. Rodzice pani Marty liczyć zatem na niego nie mogli. Toteż w końcu, chcąc nie chcąc, uznali i Dymitra, i Pietię, potem sfinansowali Worostowskim budowę domu w górnym Sopocie, z dużym, tarasowym ogrodem na skarpie, posadzili w nim dziesiątki już wówczas okazałych rododendronów i magnolii, które rosną tam do dziś, i z tego chociażby powodu nazwa „Locus amabilis” całkowicie do tego miejsca pasuje. W maju, gdy zakwitną wszystkie drzewa, w istocie bywa tu pięknie. I bajecznie kolorowo. A i sam dom, przypominający renesansową Anglię z czasów dynastii Tudorów, robi wrażenie enklawy przeniesionej z innego czasu i przestrzeni. Ale ani ten dom, ani ten ogród nie są dla mnie najważniejsze. Tylko ludzie.

A mój własny dom rodzinny był skromny i prosty. Typowa polska małorolna bieda i prymityw. Moi rodzice wraz z trójką starszego ode mnie rodzeństwa w 1945 roku opuścili Smolno, podłą wieś na Podlasiu, i przenieśli się na Ziemię Odzyskane. Nie mieli tam nic do stracenia. Właściwie nie mieli nawet własnego kawałka ziemi. Ojciec w czasie wojny pracował jako parobek u bogatszego sąsiada, który mienił się zagrodowym szlachcicem, matka natomiast posługiwała za bezcen miejscowemu proboszczowi. Latem pracowała u niego przy pieleniu chwastów w warzywnym ogrodzie, lub przy burakach i kartoflach na polu, przez cały zaś rok musiała zajmować się kurnikiem i chlewem przy plebanii. Gospodynią u proboszcza zostać nie mogła, bo do tego trzeba było umieć pisać i czytać. A ona nie umiała, zresztą mój ojciec też ledwo co potrafił wykaligrafować, jak to on mawiał, swe imię i nazwisko. Mieszkali na końcu wsi w ciasnej jednoizbowej chacie z jednym oknem wraz z trójką małych dzieci i stadkiem kóz. Ale chatę podpalili im wracający z Berlina Rosjanie. Przez przypadek, po zakrapianej libacji, w której ponoć uczestniczył także i mój ojciec. Więc w lipcu 1945 roku łaskawy sąsiad, szlachcic zagrodowy, odwiózł ich

swoim wozem wraz z dziećmiakami i być może jedną walizką dobytku na punkt zborny do gminy, skąd zawieziono ich całą gromadą do PGR-u Sadlinki pod Kwidzynem. Tam, w roku 1950, urodziłem się ja. Potem urodziło się nam jeszcze dwóch młodszych braci. W naszym domu nigdy nie panował spokój czy też miłość, bo ojciec był nieludzko agresywny wobec matki. Bił ją bezlitośnie, właściwie maltretował, podejrzewając, słusznie czy niesłusznie, że trójka starszego ode mnie rodzeństwa to dzieci proboszcza ze Smolna. I tak twierdził do końca życia, przeklinając do ostatniego tchu swą zmarłą dużo wcześniej małżonkę. Może dlatego byłem jego oczkiem w głowie. W chwili moich narodzin żaden proboszcz w Sadlinkach przecież nie rezydował. A i byłem do ojca bardzo podobny. Ten sam wzrost, praktycznie identyczna twarz i włosy. I to samo, sam nie wiem skąd, zamiłowanie do muzyki. Ojciec potrafił grać na skrzypcach. A grał całkiem nieźle. Nigdy jednak nam nie mówił, kto i kiedy go tego nauczył. Myślałem, że to taki kolejny wiejski Janko muzykant, kolejny niespełniony bezrolny chłop z Podlasia, któremu dziedziczna bieda podcięła skrzydła. Ale wcale mnie to literackie porównanie nie śmieszyło. Ani wtedy, gdy czytałem opowiadanie Sienkiewicza na lekcji polskiego, i myślałem o własnym ojcu, ani tym bardziej dziś. Bo co w nim śmiesznego? W Sadlinkach ojciec grywał na skrzypcach znalezionych na strychu poniemieckiego dworu. Przechował je aż do śmierci. Teraz mam je u siebie w Sopocie ja. Grywał siedząc na ławeczce tuż obok wejścia do naszej części folwarcznego czworaku, skleconego ze starej, miejscami wykruszonej czerwonej cegły. Po robocie w pegeerowskiej oborze wracał śmierdzący krowim łajnem do domu, połykał żarłocznie obiad, kłął i złorzeczył, bo nic mu nigdy nie smakowało, potem wypijał jednym haustem szklanicę czystej wódki i wychodził na swoją ławeczkę przed czworakiem, by pograć. To zawsze były proste ludowe lub cygańskie melodie. Żaden Mozart czy też Bach lub Vivaldi. Mój ojciec pewnie nigdy o nich nie słyszał. A potem, gdy się już znudził grą, lub gdy wzruszył się podczas grania nie wiadomo czym, tłukł moją matkę i starsze rodzeństwo. Robił to prawie codziennie. Ale mnie zawsze faworyzował, nawet w stosunku do dwójki młodszych braci. Może dlatego jako jedyny z domu mogłem pójść do liceum. W Kwidzynie. Z internatem, który opłacała mi szkoła. Było to we wrześniu 1965 roku. Kilka dobrych miesięcy później zmarła moja matka. Mocno jej śmierć przeżyłem, pewnie dlatego, że oprócz samego poczucia straty kogoś najbliższego, jej śmierć wydała mi się niesprawiedliwa. To ojcu życzyłem tej przedwczesnej śmierci, bo to on na nią bardziej zasłużył, jeśli można w ogóle stwierdzić, że ktokolwiek na nią zasługuje. A ona była męczennicą, Chrystusem fraszobliwym i zarazem Mater Dolorosa prostych wiejskich kobiet. I nie ma w tym żadnego patosu. Matka snuła się po naszym domu jak swój własny cień, niezauważalna i cicha, bo taka być musiała. To była bowiem jej jedyna strategia obronna. Nie wchodzić ojcu w pole widzenia. Istny niebyt, piekło za życia. Matka często się modliła. Nie mam pojęcia po co, bo żadne bóstwo, żadna spowiedź, żaden kapłan i religia nie były w stanie powstrzymać ojca od napadów

zwierzęcej furii. Właściwie to ja powinienem był wznosić dziękczynne modły do Boga za jego wielkie miłosierdzie uczynienia mnie ojcowskim faworytem. Ale się nie modliłem. Ani wtedy, ani tym bardziej dziś.

Gdy mama zmarła, kończyłem powoli pierwszą klasę liceum. Klasę humanistyczną, w której o dziwo już wtedy uczono angielskiego. To miało się później okazać dla mnie ważne. Bardzo ważne. A z angielskiego byłem szczególnie dobry. Zresztą w ogóle należałem do czołówki najlepszych uczniów w całej szkole. Wtedy istniało jeszcze typowanie na studia, i ja jako drugi w liceum co do średniej na świadectwie maturalnym mogłem wybrać sobie kierunek nauczycielski. Wybrałem anglistykę. I tak w roku 1969 przyjechałem do Gdańska. Oszczędzę wam swoich wrażeń zakompleksionego prowincjusza, syna wiejskich analfabetów, którego los przeniósł z głębokiej pegeerowskiej prowincji późnych lat sześćdziesiątych do wielkiego miasta. Pewnie, że wcześniej bywałem już w Gdańsku, na szkolnych wycieczkach, ale to nie to samo, co mieszkanie na stałe. Oczywiście dostałem akademik. I znalazłem się wśród ludzi przybyłych do Gdańska z całego regionu. Wielu z nich pochodziło z mniejszych miast, z Malborka, Braniewa, Elbląga, Starogardu, Sztumu, Słupska czy Chojnic. Ale tych wsiowych było nas naprawdę bardzo niewiele. Tu po raz pierwszy zetknąłem się z arogancją, która wtedy raniła mnie do żywego, bo nie wiedziałem jeszcze, że istnieje coś, co nazywa się narcyzmem niewielkich różnic. Ale arogancja tych miastowych z Malborka czy Słupska nijak miała się do arogancji ludzi z Trójmiasta. Wszystko zależało oczywiście od kierunku studiów, ale anglistyka była uważana za kierunek wyjątkowo snobistyczny. I produkowała wyjątkowych snobów. Na równi chociażby z prawem. No bo jednak stanowiła nadzieję na potencjalny kontakt z szerokim światem. To działało jak magia, jak zaproszenie do egzotycznej podróży, co w warunkach ówczesnego ustroju nie było bez znaczenia. Anglistyka, no cóż, dzieci marynarzy, miejscowych aparatczyków, badylarzy i, co dla mnie szczególnie było najbardziej krępujące, potomkowie przedwojennych inteligentów. Tych z Wilna lub z Warszawy. Oni byli najbardziej niedostępni i arogancy ze wszystkich, i gardzili innymi bez szczególnych dystynkcji lub ograniczeń. Pamiętam, że to przede wszystkim oni popisywali się znajomością wszystkiego, głównie angielskich i amerykańskich autorów, o których ja nic nie słyszałem. I bałem się tych rozmów. Tych konfrontacji. A rozmawiać z nimi musiałem, chociażby dlatego, że faceci stanowili znaczną mniejszość przyszłych anglistów, więc każdy z nas chłopaków niejako z urzędu stawał się swoistym centrum zainteresowania koleżanek i innych kolegów z roku, wykładowców zresztą też. I było to dla mnie traumatyczne, ten przymus kontaktów, to natychmiastowe kojarzenie mojego nazwiska, to udawanie, że coś tam wiem, by nie wyjść na głupca, nie wspominając o piętnie mojego pochodzenia, ubioru, byle jakich butów, być może nawet pewnych cech mentalności. I te wymijające odpowiedzi, gdy musiałem coś o sobie powiedzieć. A co miałem im powiedzieć, że mój niepiśmienny ojciec zatłukł moją niepiśmienną matkę na śmierć, a memu rodzeństwu ledwo udało się przejść

przez szkołę podstawową? Najgorsze było to, że na nic nie miałem pieniędzy. Ale po pierwszych egzaminach coś się we mnie przełamało. Okazało się bowiem, że to ja jedyny zaliczyłem je bez problemu, a nie ci dużo lepsi, zwłaszcza „przedwojenni” warszawsko-wileńscy inteligeni z Trójmiasta, którzy kreowali się na znawców od Becketa, egzystencjalizmu, Solżenicyna, Szekspira i Bóg wie czego jeszcze. I bardzo mnie to zdziwiło. Ale dało mi wiele do myślenia. I przede wszystkim zmotywowało do dalszej pracy nad sobą, w bibliotece, w ciszy książek i artykułów, poza obiegiem studenckiego życia i studenckich przyjemności. Może byłem zbyt zawzięty. Może powinienem był patrzeć na świat z większą dozą pewności siebie, ale to przyszło z czasem. Póki co wolałem odgrodzić się szczelnie od uczelnianego rytmu. Do domu na wieś też jeździłem rzadko. Tylko na święta. I też niechętnie. Zresztą musiałem jakoś zdobywać pieniądze. Ot takie pojedyncze sobotnio-niedzielne fuchy od czasu do czasu, których już dziś nie pamiętam. A było ich sporo. Pewnego dnia, pod koniec marca 1970 roku, tuż po moich dwudziestych urodzinach, znalazłem w „Dzienniku Bałtyckim” ogłoszenie, że ktoś w górnym Sopocie potrzebuje pomocy w ogrodzie. Takie zwykłe wiosenne porządki. A ja nie wiedziałem nawet, gdzie ten górny Sopot dokładnie jest. Nie wiedziałem też, że to ogłoszenie zmieni całe moje życie. Wszystko.

Andrzej Kasperek

Sianokosy u Schopenhauerów¹

*W ciemnozielony ogród niechaj myślą zmieni
Krainę płaską wziętą z wody i płomieni
Czesław Miłosz - Żuławy*

Ojciec miał mnie zabrać spod kuźni. Czekałem tam, gapiąc się na ogromny dąb. Był rozdarty do połowy przez piorun, który uderzył w niego zeszłego lata. Wszyscy się wtedy zastanawiali, czy znowu przylecą bociany, które od zawsze miały tam gniazdo. Zabrały się z niego dosłownie godzinę przed straszną burzą, która rozplątała kilkusetletnie drzewo na długości kilku metrów. Tak, jakby znały trajektorię lotu pioruna dużo wcześniej, jeszcze zanim ludziom przyszło do głowy, że przyjdzie burza. A może znały? W tym roku boćki nie przyleciały. Co prawda pojawiły się na krótko, zrobiły parę kólek nad starym gniazdem, ale odleciały szukać innego miejsca.

Kuźnia to był stary warsztat. Niezbyt lubiłem to miejsce, głównie za sprawą zapachu. Metaliczny posmak był nieprzyjemny, zostawał na języku. Jedyne, co mnie tam czasem ciągnęło to palenisko, zawsze pełne żaru, który kował, pan Longin, podtrzymywał przy pomocy specjalnego miecha, składanego, jak ten w akordeonie. Zakończony był on dudką, którą kował przystawiał do żarzących się węgli. Złośliwie nazywał ten dynks kozią dupą.

Za to bardzo lubiłem stolarski warsztat ojca. Tu zapachy były upojne, szczególnie wióry z sośniny pięknie pachniały. Siadałem na suszących się pod ścianą deskach, poprzekładanych dla wentylacji klinkami i godzinami przyglądałem się robocie mego ojca. Podziwiałem, jak lekko i łatwo, zdawać by się mogło, że bez wysiłku, posługiwał się dłutem i piłą, heblem i laubzegą. Jak uzupełniał brakujące szprychy w drewnianych kołach, zbijał koryta dla zwierząt lub montował futryny. Z dziecięcą łatwością z twardego grabu strugał orczyki i kłonicę; kilka godzin trzeba mu było, żeby zrobić porządną dyszel. Radził sobie nawet z wykonaniem beczki, w której kisiły się ogórki, dla pewności zatopione w stawku, oficjalnie pełniącym zaszczynną funkcję basenu przeciwpożarowego. A przecież nie był bednarzem, skromnie określał się mianem stelmach, co na polski wyklada się bodajże kołodziej. Kołodziej, też mi coś... Specjalizował się szczególnie w popularnym wśród okolicznych gospodarzy urządzeniu, zwanym sieczkarnią do zielska. Nie było ono szczególnie wyrafinowane technicznie, ale za to bardzo praktyczne. Nijak się bez niego nie szło obejść przy siekaniu trawy, pokrzyw, le-

¹ Opowiadanie z tomu „Back in the DDR i inne opowiadania”, który ukaże się w 2010 roku w Wydawnictwie Słowo/Obraz/Terytoria.

biody czy żywokostu. Rośliny te dodawano do karmy zwierząt domowych. Było to koryto na nóżkach z przymocowaną kosą. Ruch wykonywany przy cięciu ziel-ska uruchamiał prosty mechanizm, który jednocześnie przesunął je do przodu, prosto pod kosę. Bardzo to ułatwiało pracę.

Co ja tu opisuję sieczkarnię, wielkie mi mecyje... W tej stolarni powstała kilka lat później szafka na moje książki! Taka całkiem już spora, zdolna pomie-ścić kilkaset tomów. Może trochę na wyrost, ale mój ojciec machnął w końcu ręką na moją, nie do wyleczenia, manię zbierania. On chyba już wtedy wiedział, że z tych kilku tomów z Małą encyklopedią powszechną PWN na czele, powsta-nie kiedyś duża biblioteka.

Ale zanedbto się pośpieszyłem z opowiadaniem. Książki były przecież dużo później, wtedy znajdowałem się raptem na etapie historyjek obrazkowych z Tytu-sem, Romkiem i A'Tomkiem drukowanych w odcinkach w „Świecie Młodych”, który prenumerowała moja siostra, zagorzała harcerka, gotowa biec wieczorem na zbiórkę po ogłoszeniu alertu. Ja miałem wówczas dziesięć czy jedenaście lat i chętniej przebywałem na dworze niż w domu.

Nagle pojawił się wóz z wyjętymi burtami, zamiast nich wstawiono drabiny. Ciągnęły go dwa siwki, konie niezbyt urodziwe, ale za to robotne i spokojne. Na tyle ułożone, że tato wręczył mi lejce a sam zapalił sporta, którego mało wytwor-ny dym wiatr zawiewał mi prosto w oczy. Bardzo tego nie lubilem. Jechaliśmy polną drogą w miejsce oddalone od domu może półtora kilometra, może dwa. Tam przed tygodniem ojciec wykaształ rowy i brzegi Wisły Królewieckiej, na-zywanej lekceważąco kanałem, co chyba dobitnie oddawało degrengoladę tego ważnego kiedyś szlaku żeglugowego, łączącego Gdańsk z Królewcem.

Znałem dobrze tę drogę, ale raczej z pory zimowej. Nieraz przemierzałem płataninę rowów i kanałów prowadzących do Wisły Królewieckiej na łyżwach. Samotnie, bo moi koledzy używali łyżew tylko do gry w hokeja. Ja z kolei nie przepadałem za tą grą odkąd oberwałem krążkiem w gołęń. Uderzenie było tak silne, że kość o mało nie pękła. Gira była opuchnięta i czarna. Bolało okrut-nie. A wszystko przez ten nowy profesjonalny krążek wykonany z twardej jak kamień gumy. Wcześniej używaliśmy puszek po paście do butów wypełnionej gipsem. I było dobrze...

Uwielbiałem te wyprawy lodowym traktem, kiedy zimowe słońce przygrze-wało z góry a wodna toń ścięta była świeżym, ale mocnym, jeszcze nieskalanym, lodem. Czyściutkim i równym jak obrus na wigilijnym stole. Gdzieniegdzie tylko po bokach leżało trochę śniegu, ale to zupełnie nie przeszkadzało w halsowaniu.

Najlepsze były moje pierwsze łyżwy. Z przodu przykręcało się je do buta przy pomocy specjalnego imadła a tyłu przytwierdzone były do ob-casa specjalnym trzpieniem. Tata musiał zamocować tam specjalną blaszkę z otworem, w który trzeba było wcisnąć ów bolec. To było bardzo pewne mocowanie. Ale było możliwe tylko przy ówczesnych solidnych butach zi-mowych, które miały skórzane podeszwy. Były one zbijane z wielu warstw

skóry połączonych drewnianymi ćwieczkami. Niestety wyrosłem z nich i następne łyżwy trzeba było przykręcać z przodu i z tyłu. To był o wiele słabszy patent. Nigdy dobrze nie trzymały.

Na rowach nie można się było rozpędzić, za to na kanałach... To była jazda. Śmigalem niczym panczenista. Próbowałem nawet holendrować trzymając ręce z tyłu, ale miałem kłopoty z równowagą. Nigdy dobrze nie opanowałem tej techniki. Nie szkodzi, nikt (poza zawieszonymi gdzieś na błękitnym niebie myszółowami) tego nie widział i nie śmiał się widząc, jak wymachuję łapami niczym wiatrak. Gdyby było więcej ludzi na lodzie, to wyglądałoby to jak na obrazach Bruegla lub Avercampa, ale byłem sam; lekki mróz, słaby wiaterek w plecy, cisza – to były idealne warunki. Czułem się prawie, jakbym miał zaraz odlecieć. Byłem wolny. Zdawało mi się, że tak zespolony z naturą płynę w przestrzeni. Wspaniałe uczucie całkowitej swobody. Odczucie bliskie epifanii, wrażenie zupełnego zespolenia ze światem i jednoczesnego zachwytu nad jego pięknem. Metafizyczny moment, kiedy odczuwamy rzadko dostrzegany w codziennie nas otaczającej rzeczywistości ład istnienia jako obraz (czy odbicie w lustrze) czystego Bytu. W takiej chwili powtórzyłbym za Faustem jego słynne zdanie wypowiedziane do chwili: „Jak pięknaś! O, nadal trwaj! Nie uchodź mi!” Czasami wiosną lub latem miałem podobne wrażenia w czasie jazdy na rowerze wśród pól kwitnącego rzepaku albo gdy leżałem wpośród falujących od gorąca traw.

Gdy tak prawie bez wysiłku połykałem kolejny kilometr, to miałem wrażenie, że za chwilę znajdę się na Zalewie Wiślanym a stamtąd popędzę prosto do Królewca, nazwanego po wojnie na cześć sowieckiego aparaczyka Kaliningradem. Do pokonania było co prawda przeszło sto kilometrów, ale byłem w euforii i wydawało mi się, że dam radę. W końcu w Holandii w mroźne zimy tysiące ludzi pędzi po skutych lodem kanałach, żeby pokonać dystans prawie dwustu kilometrów w słynnym Wyścigu Jedenastu Miast. Rekordzistom potrzeba na to zaledwie trzynastu godzin. A kiedyś podobno bywały takie zimniska, że cały Bałtyk zamarzał i w XVII wieku podróżowano do Szwecji saniami; budowano nawet karczmy na lodzie dla odpoczynku i zmiany koni.

Po kilku godzinach wracałem jednak do domu. Głodny, zaczerwieniony na twarzy wysmaganej pędem powietrza, ale szczęśliwy. Mama ściągała z kuchennej płyty garnek z ciepłą zupą, krupnikiem lub kapuśniakiem, kroić chleb... Co mi więcej było potrzebne do szczęścia?

Jechaliśmy wolno. Konie znały drogę na pamięć. W zasadzie wystarczyło przywiązać lejce do kozła i same by poszły. Krajobraz był płaski, jak to na Żuławach. Tej dziwnej krainie, którą stworzyli pospołu Bóg i człowiek. Osadnicy - słowiańscy Pomorzanie i bałtyjscy Prusowie, mennonici z Holandii i Fryzji, niemieccy Krzyżacy. Oni wszyscy próbowali na tym wydartym morzu lądzie stworzyć swoją ziemię obiecaną. Pozostały po nich kanały, gotyckie kościoły, groble, śluzy i zwodzone mosty, trochę podcieniowych domów, zarośnięte krzakami i łopianem cmentarze z poprzewracanymi stellami. Gdzieniedzie nawet

można było trafić na wiatrak, który kiedyś poruszał pompy. To one sprawiały, że poziom wody był pod kontrolą. Powodzie zawsze były przekleństwem tego kraju. Ale teraz był lipiec i poziom wody w misternej płataninie rowów i kanałów był niski. Nic nam nie groziło.

Ojciec bez zachwyty spoglądał na wierzby i olchy rosnące przy drodze i nad melioracyjnymi rowami. Co to za drzewa? – pewnie myślał oceniając je okiem fachowca. Tak, prawdziwe drzewa: graby, jodły i modrzewie rosły na jego ukochanej Kielecczyźnie, którą musiał porzucić. A może to ona go porzuciła?

„Głodnyś?” – spytał tato i nie czekając potwierdzenia podał mi mały pakułek. Były to zawinięte w papier śniadaniowy bułki z dżemem. Banalne śniadanie, dziś w ofertach biur podróży nazywane kontynentalnym. To dlaczego je po tylu latach pamiętam? Po prostu rzadko jadłem na śniadanie świeże, chrupiące bułki. Bo kto miał ochotę i czas skoro świt jechać dwa kilometry do piekarni. Świtem bladym koniecznie, bo pieczono ich niewiele i starczało tylko dla pierwszych klientów. Gomułka uważał, że lud pracujący miast i wsi woli komisiński lub czerstwy zaraz po upieczeniu chleb zakopiański niż białe bułeczki.

Zastanawiałem się, skąd tato wziął o tej wczesnej porze bułki dla mnie? Pewnie rano pojechał do jakiegoś gospodarza z zamówionym wcześniej orczykiem, sieczkarnią lub naprawioną maselnicą. Załatwił szybko sprawę i za zarobione ekstra pieniądze postanowił sprawić mi odrobinę przyjemności. Nawet nie wiedział jakiej! A może wiedział? Widział przecież, jak pałaszuję buły z dżemem żurawinowym. Ten był najsmaczniejszy, ale też najdroższy. Choć nie, droższy był albański dżem figowy. Ale rzadko bywał. To już był luksus do entej potęgi. „Pojadłeś?” – spytał pro forma. A może to było to, co nazywamy fatyczną funkcją mowy? A tak w ogóle, to mój ojciec nie lubił strzępić języka po próżnicy.

Na miejscu okazało się, że trzeba jeszcze trochę zaczekać, aż słońce dosuszy siano, bo poranek był mglisty. Rozglądałem się wokoło. Niedaleko stały zabudowania starej cegielni z charakterystycznym wysokim czerwonym kominem. Ale mój wzrok przykuła wyniosła wieża stegieńskiego kościoła. Niecałe dwa kilometry od niego na wschód chowany wśród lasu stał inny komin. Był on częścią krematorium Konzentrationslager Stutthof. „Tato, czy to prawda, że tam palili ludzi żywcem?” „Żywcem to nie, ale co tam narodu namarnowali... Niektórzy mówią, że sto tysięcy.” „Nam pani mówiła, że przeszło osiemdziesiąt tysięcy ludzi tam zginęło...” Tato tylko westchnął i powrócił do przewracania siana. Widać było, że nie chce kontynuować tego wątku. Z natury był małowówny a o wojnie to w ogóle nie lubił opowiadać. Nie był typem kombatanta-gaduły. Tak sobie leżałem w tych cudownych okolicznościach przyrody i wdychałem narkotyczny aromat traw, koniczyzny, lucerny, wyki i stu innych ziół, które tak smakowały Mećce. Obok spacerowały spokojnie bociany nie zwracając wcale na nas uwagi, całkowicie zaprzątnięte szukaniem żab i innej żywności. Na okolicznych drzewach przysiadły kormorany. Niedaleko stąd w Kątach Rybackich miały swój rezerwat. Siostra opowiadała mi, że wygląda tam okropnie. Nawóz ptaków był

okrutnie żrący i z drzew pozostały kikuty. Teresie kojarzyło się to ze zbombardowanym Westerplatte. Paradoksalnie to naprzeciwko Sztutowa 20 sierpnia 1939 roku zacumował pancernik Schleswig Holstein zanim pięć dni później popłynął do Gdańska i pod pretekstem wizyty kurtuazyjnej zajął pozycję naprzeciw polskiej składnicy tranzytowej ...

Te łąki, które tata tak pracowicie wykaształ, bo musiał myśleć o wykarmieniu naszej krowiny zimową porą, należały kiedyś do Schopenhauerów. To na nich wypasały się konie z ich stadniny. Bo Sztutowo od założenia słynęło z hodowli koni, zdarzało się, że trzymano ich tam aż trzysta sztuk. Ale to nazwisko Schopenhauer poznałem dużo później, dopiero na studiach. W jakimś niemieckim Philosophenlexikon wyczytałem, że autor dzieła Świat jako wola i wyobrażenie urodził się w „Stutthof bei Danzig”. Nazwa Stutthof kojarzyła mi się wcześniej tylko z obozem koncentracyjnym założonym tu już drugiego września 1939 roku. Zdziwiałem się, że wyzwolono go dopiero dziewiątego maja 1945 roku. Te dwie daty wyznaczały czas wojennej apokalipsy. KL Stutthof stawał się więc symbolicznym obrazem wojny. Czymś na kształt II wojny światowej w miniaturze.

To miejsce śmierci dziesiątków tysięcy ludzi stawało się w rocznicę oswobodzenia miejscem festynów i majówek. Z połowy województwa zwożono autokarami i ciężarówkami setki (a może i tysiące) uczniów i pracowników, aby manifestowali swoją pamięć, ale tak naprawdę mieli pokazać swój sprzeciw wobec rewizjonistycznej polityki NRF, co robili z zapalem. Tym większym, że można było kupić wtedy bez problemu piwo, parówki, słodycze i pomarańcze. Dzieciaki strzelały z korkowców, pukały kapiszony, kręciła się wata cukrowa, lała słodka oranżada z wytwórni Sieczki. Brakowało tylko balonów i karuzeli. Byłem dwa razy na takim spędzie i nie zapomnę uczucia zniesmaczenia, jakie wzbudził we mnie ten ruchliwy tłum kręcący się obok baraków, koszmarnego betonowego pomnika, budynków komendantury i krematorium. Dobił mnie widok podpitego faceta w obozowym pasiaku, który rozpychał się wśród spragnionych klientów cisnących się przed ciężarówką Browaru Elbląg, z której sprzedawano piwo jasne „Zdrój”. Bełkotliwie powtarzał swoją mantrę: „Ja kombatant, dwa piwa... Ja kombatant, dwa piwa...” Nikt nie protestował.

Lubię oglądać stare mapy. Są pogięte, poplamione, pobazgrane, przetarte na rogach i złożeniach, czasami podklejone płótnem. Niby utraciły swą aktualność i stały się bezwartościowe. No właśnie: „niby”. Przecież nie szukamy na nich współczesnych dróg, obecnych nazw miejscowości. Szukamy minionego świata, którego już nie ma, który zniknął bezpowrotnie. Bezskutecznie próbują zatrzymać czas, zachować pamięć o nazwach przysiółków, strug, wysepek i toni wodnych... Śledzimy onomastyczne pozostałości po wymarłych Prusach i Jaćwingach, wypędzonych Polakach, Niemcach i Ukraińcach. Zastanawiamy się nad przesuniętymi granicami i przemianowanymi włościami. Podziwiamy owoce pracy niestrudzonych kartografów i mierniczych. Znajdujemy tam

świadełstwo komunistycznej obsesji ukrywania prawdy przed szpionami, maskowania i kluczenia, dowody ideologicznych zawirowań i realizacji uchwał któregoś tam plenum.

Gdański mierniczy Friedrich Berndt wykonał w 1600 roku piękną malowaną mapę Żuław. Teren przy Zalewie Wiślanym nie był jeszcze stałym lądem tylko niezliczoną mozaiką kęp, łąch, ostrowi i wydmy. Na starannym malunku widać wiatrak otoczony płotem, kilkanaście zabudowań i duży piętrowy dwór stojący w sąsiedztwie budynków gospodarczych i mieszkalnych, sadu owocowego, warzywnika, podwórza oraz zagrody dla koni i bydła. Całość jest starannie ogrodzona i bardziej przypomina jakąś zamorską faktorię lub chutor. Jeśli się zastanowić to nie powinno nas to dziwić, bo wojny nie omijały Sztutowa, który był łakomym kąskiem dla szwedzkich, rosyjskich czy pruskich najeźdźców. Łupiły także majątek watahy żołdaków kwaterujących na mierzei. Przybywały one nocą przez zalew i grabiły bezlitośnie a nawet porwały mężczyzn do regimentów elektora królewieckiego. A w 1734 roku rosyjski feldmarszałek Burkhard Christoph von Münnich puścił z dymem wioskę i dwór, z którego pozostały ledwie kominy i ceglana brama.

Ale miałem mówić o Schopenhauerach a ich już wtedy w majątku nie było. Arenda dziada filozofa przypada na początek XVIII wieku. Trzeba przyznać, że Gdańsk nieźle wycenił perłę w swej koronie. Johann Schopenhauer płacił rocznie pięć tysięcy florenów czynszu. Nie było to mało, ale chyba wszystkim się opłacało, bo miasto trzy razy przedłużało dzierżawę. To za jego rządów Sztutowo nawiedził car Piotr Wielki z carycą Katarzyną, żeby spędzić tam noc. Wioska leżała bowiem na szlaku pocztowym, który wiodł z Gdańska do Królewca najkrótszą drogą przez Nehrungę, czyli Mierzęję Wiślaną. Był to marzec a może kwiecień 1716 roku, bo 18 kwietnia tegoż roku w Gdańsku Imperator Wszechrusi wydawał swą ulubioną bratanicę - carewnę Katarzynę Iwanowną za niemieckiego księcia. Coś rosyjskiemu władcy w Gdańsku się bardzo podobało, bo w tymże roku był w mieście nad Motławą kilka razy. Szczęście dla dzierżawców majątku sztutowskiego, że tylko raz miał kaprys zatrzymać się u nich. Wizytę opisała szczegółowo w Gdańskich wspomnieniach młodości Joanna Schopenhauer, matka filozofa. Opierała się na relacji ponad stuletniego starca, wiernego sługi. Jaśnie wielmożni państwo wybrali na nocleg mały pokoik, w którym jednak nie było ani pieca, ani komina i chodziło o to, by przy silnym mrozie ogrzać go w zimie. Znaleziono sposób – wylano na posadzkę z holenderskich kafli kilka beczek spirytusu i podpalono. Operacja była ryzykowna i bardzo musiano się starać, żeby nie spalić dworu. Opowiadano, że skoro się tylko spirytus wypalił, udał się car z małżonką do wypieczonego, gorącego, oparami i wyziewami alkoholu przepojonego małego pokoju na spoczynek. Obydwoje wstali następnego ranka bez bólu głowy i chwalać sobie przyjęcie opuścili gościnne progi gospodarza.

Opary alkoholowe z pewnością nie przeszkadzały carowi Rosji, który szczególnie gustował w okowicie i innych napitkach. Ponoć potrafił spożyć ogromne ilości alkoholu, ale i jemu czasem „gardło puściło”, mówiąc językiem księdza Kitowicza. Rok później po opisanych tu wydarzeniach przebywając w Brukseli zanadto się na oficjalnym bankiecie przejadł, a zwłaszcza przepił. W pewnym momencie musiał opuścić wykwintne towarzystwo, aby „zaczerpnąć powietrza”. Wyszedł i po ciemku trafił do zamkniętej części parku królewskiego, gdzie raczył womitować. Można tam dziś odnaleźć popiersie Piotra nad niewielkim basenem z marmuru. Warto przeczytać napis po łacinie. W nieudolnym tłumaczeniu brzmi: „Piotr Aleksiejewicz, car Moskwy, wielki książę, zasiadłszy nad tą fontanną, uszlachetnił jej wody winem, które wypił 16 kwietnia 1717, o godzinie 3 po południu...” Trudno mi czasem zrozumieć tę bałwochwalczą miłość Zachodu do Rosji...

We wspomnieniach Joanny Schopenhauer Sztutowo jawi się niczym eden: wygodny dwór, zamożna wieś, piękny, jak tylko być może, sosnowy las, melodyjny głos dzwonek krow, pasących się pod wysokimi drzewami na pachnącym, korzennym poszyciu... Ryb też jest pod dostatkiem: dorszy, płastug, wielkich łososi i jesiotrów, z których ikry produkuje się na miejscu kawior. Nie ma wprost końca zachwytom nad tą sielską i szczęśliwą krainą. „Po drugiej stronie, w przeciwieństwie do tej wspaniałej scenerii, Wisła otacza roześmianą, urodzajną dolinę: ogrody, łąki, krzaki, ożywione pojedynczymi, wielkimi zagrodami i pięknie zabudowanymi, bogatymi wsiami, jakie nie wszędzie w Niemczech spotkać można, a które zamieszkane są przez ludzi o pięknym typie urody i odróżniających się odrębnymi zwyczajami.”

Matka Artura jeździła do Sztutowa bardzo chętnie, bo jej ojciec Christian H. Trosiener w roku 1788 wydzierżawił majątek i gospodarował w nim dziesięć lat. Kiedy tylko mogła podążała do obecnej siedziby rodu. „Nie tylko w miesiącu maju, ale i w czasie gorącego lata nie odstraszała mnie daleka, piaszczysta droga do Sztutowa, ile razy było to tylko możliwe. Wypadki te powtarzałam nawet w środku zimy, pędząc w dobrze zaopatrzonych saniach po pokrytej lodową taflą Wiśle, aby przeżyć kilka dni wśród swoich. Szczęśliwe, szczęśliwe czasy, które wtedy z nimi przeżyłam”.

No tak, ale czy to tu urodził się późniejszy filozof? Mało prawdopodobne, żeby Joanna po bardzo wyczerpującej podróży z Londynu, kiedy wreszcie udało się jej z brzuchem pod brodą przejechać przez pół Europy, chciała jeszcze tłuc się do Sztutowa. Zresztą niby po co? Artur Schopenhauer urodził się 22 lutego a jego dziadek Trosiener wydzierżawił dobra sztutowskie w październiku tegoż roku. A czy pobyty w tym rajskim zakątku miały jakikolwiek wpływ na kształtowanie się charakteru wielkiego pesymisty, który „spowity w wieczne mroki, tylko z piołunów ciągnie soki...”? Wątpię.

Tu na popowskich łąkach pasły się kiedyś konie Schopenhauerów. Tu ich parobkowie kosili trawę na siano takimi samymi kosami, jakich używał mój ojciec. Grabki pewnie były identyczne – drewniane, lekkie a mocne. Może kopy stawiali

inaczej. W Stutthof żyli sobie spokojnie wolni chłopci, zwani gburami lub sąsiadami. Wśród buków i sosen, kanałów i rowów, pracowicie powiększając poldery w delcie Szkarpawy rodziny Krause, Hopperath i Epp troskliwie budowały swe bogactwo. Niewiele ich pewnie zajmowało, że od sierpnia 1939 roku na polanie obok leśniczówki i domu starców w lesie stukają młotki cieśli wznoszących baraki, że czasem słychać krzyki i strzały. Przykry był ten dym z krematorium, ale za to można było niedrogo kupić króliki z obozowej hodowli a pewnie też czasem wymienić uprzejmości z obozowymi esesmanami, pijąc piwo i jedząc knedle w restauracji Fritza Gerbera uzgodnić wynajęcie więźniów do robót polowych za całe dwie, trzy Reichmarki.

Ale sielanka się skończyła w 1945 roku. W styczniu mrozy sięgały - 25° C. Tysiące uchodźców z Prus Wschodnich uciekało przez zamrznięty Zalew Wiślany. Na mierzei, na drodze do Krynicy Morskiej rozgrywały się przerażające sceny. Matki w szale wrzucały swoje dzieci do morza, ludzie wieszali się, inni rzucali się na zdychające konie, wykrawali mięso i piekli je nad ogniskiem, kobiety rodziły w wozach. Łód trzymał tak długo aż ostatnie pojazdy dotarły do zbawiennej Mierzei Wiślanej. Chorzy leżąc w swych ekskrementach i błocie czekali na śmierć. Nie było pitnej wody. Pewnego ranka, pod koniec lutego, po cieplejszych wiosennych burzach, łód zniknął, a wraz z nim cała bieda, wszystko, co na nim było.

W tym czasie zarządzono „ewakuację” obozu. W straszne mrozy, bez przygotowania, wypędzono kilkanaście tysięcy więźniów. Ten horror, słusznie nazwany marszem śmierci, kosztował życie dwudziestu pięciu tysięcy nieszczęślików. Do opustoszałych baraków wprowadzili się niemieccy Heimatvertriebene. Ciekawe, czy byli w stanie porównać swój los do tych, których zwożono tu z całej Europy. Czy współczuli ludzkim ceniom, których setka pozostała jeszcze w obozie?

Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego Rosjanie weszli do KL Stutthof dopiero 9 maja, później niż do Berlina. Czy wszystko wyjaśnia przerwanie wałów przeciwpowodziowych i zalanie Żuław przez uciekających Niemców? I dlaczego Niemcy tak zaciekle bronili tego skrawka? Tak zajadle, że potrzeba było aż desantu, bo lasy kosy oddzielającej morze od zalewu były kompletnie zaminowane.

Czy myślałem o tym wszystkim tego lipcowego dnia, kiedy pomagałem tacie zwozić siano skoszone na łąkach, które rozpościerają się nad Wisłą Królewiecką? Chyba nie... Raczej zastanawiałem się, czy uwiniemy się z rozładunkiem i odprowadzeniem koni wystarczająco szybko, żebym mógł zdążyć na wieczorny Teatr Sensacji. Dawano drugi odcinek Pocztówki z Buenos Aires. Dzielny Józek Nalberczak demaskował niemieckich pogrobowców faszystów, którzy w Argentynie marzyli o wskrzeszeniu III Rzeszy. Ale czy mu się udało pokonać niemieckich szpiegów nie pamiętam.

Marek Stokowski

Błazen¹

(fragmenty powieści)

[...]

Polną drogą, przy świetle księżyca, jechało dwóch konnych: rycerz i famulus. Giermek, młody człowiek o zaokrąglonych kształtach wielbiciela sosów, prowadził za wodze trzeciego wierzchowca, na którym przewoził dwie podróżne sakwy i rycerski oręż. Kołysał się w siodle jak smutny nieboszczyk, któremu wypadło celebrować własny pogrzeb. Zdało się, że w każdej chwili może runąć w trawę lub zawadzić skronią o przydrożny kamień. Drugi z jeźdźców, ciosem w ucho, przywrócił martwemu należyty pion dosiada.

– Nie śpij. Nie śpij, chłopcze. Pamiętaj o ślubach.

– To nie ja, lecz tyś ślubował, panie – wymamrotał giermek.

– Ślub jest ślubem.

– Czy to znaczy, że i żonę mieć będziemy wspólną?

Rycerz chciał, w pierwszym odruchu, znowu huknąć chłystka w ciemię, lecz powstrzymał rękę. Poskramiając gniew nauczyciela cnoty, pokiwał jedynie ciężką ze znużenia głową i sapnął jak wałach, który nie jest w stanie sforsować przeszkody.

Sunęli w milczeniu. Wreszcie ktoś, dla ratowania życia – mógł to być famulus, ale równie dobrze jego przeciążony srokacz – spróbował zaśpiewać coś na kształt piosenki o gościnnych karczmach i miękkich posłaniach, gdzie szepczą dobranoc czule fałdy pierzyn.

[...]

Sir Geoffrey Ufford, hrabia Suffolk, mężczyzna w kwiecie wieku (...) przyodziany był stosownie do podróży w błękitną tunikę, która zakrywała kaftan i spływała na wełniane nogawice. Kieczę ozdobiono herbem, bardzo barwnym i urozmaiconym. Ktoś, kto by zobaczył przejeżdżającego jeźdźcę, mógłby zapamiętać zapewne rój gryfów, krzyż św. Andrzeja, spory zestaw kluczy, jedno-rożca, kompleks wież i trąby. Na biodrach Ufforda oparł się rycerski pas; na rapciach u pasa zwisał z lewej strony miecz a z prawej ozdobny puginał. Hrabia podróżował na podjezdku. Na koniu bojowym wioził dwie kopie, sakwy, tarczę i zbroję płytową, którą uzupełniał wysłużony pancerz kolczy. Płyty – wykonane

¹ Wybrane fragmenty powieści historycznej Marka Stokowskiego „Błazen” Wydawnictwo Peregrinus, Gdańsk 2004.

w południowych Niemczech – były w doskonałym stanie. Giermek sir Geoffrey' a musiał je czasami czyścić albo raczej polerować, obracając w beczce z suchymi wiórami i drobniutkim piaskiem.

Wspomniany famulus, Tim Daulton z Newmarket, jechał tuż za panem i wyglądał groźnie. Miał przy swoim siodle przytroczony tasak, a spod szat wyglądał mu kawałek ciała, tak owłosionego, że – jak twierdził – potrafiło wzbudzać respekt nawet najdzielniejszych niewiast. Imponował także niebywałym kunsztem jazdy. Umiał czubkiem głowy sunąć w koleinach traktu, to po jednej, to po drugiej stronie konia.

Sir Geoffrey przyjmował ewolucje giermka z niezwykle spokojem. A ponieważ podejrzewał, iż senny młodzieniec nie do końca jest świadomy ruchów własnych członków, starał się otrzeźwiać go to łokciem, to znów melorecytacją wiersza z kanterberyjskiego szlaku:

*Był w Aleksandrii, gdy ją zdobywano
Na pierwszym miejscu zwykle go sadzano,
Pośród rycerzy wszystkich nacyj w Prusiech,
Bo rzadko walczył na Litwie i Rusi
Równy mu stanem rycerz chrześcijański!*

Hrabia przerwał strofę poematu, bowiem doszedł doń zupełnie inny rytm – kołatek. Wstrzymał konia i przez chwilę nasłuchiwał echa odbitego w ścianie lasu. Ten złowieszczy stukot, płynący zza wzgórza, potrafił obudzić nawet półmartwego giermka, po stokroć skuteczniej niżli recytacje i szturchanie pana.

Kołatki ucichły i ta cisza zdała się być jeszcze cięższa od uderzeń w drewno. Jeźdźcy podjechali do grzbietu wzniesienia. Stąd ujrzeli, nie bez lekkich dreszczy, czwórkę trędowatych, którzy na kolanach tarzali się w prochu.

Sir Geoffrey skierował swego konia w lewo. Starał się ominąć grupę jak najszerszym łukiem. Trzej mężczyźni i niewiasta, w łachmanach na grzbiecie, spojrzeli z przestachem na dwóch dumnych jeźdźców i niemal natychmiast powrócili do pospiesznej grzebaniny w ziemi, w trawie i pod kamieniami drogi. Pochłonięci przez tę gorączkową czynność całą duszą i pozostałymi jeszcze kawałkami ciała, zapomnieli nawet, by wyciągnąć ręce po miskę jałmużny. Rycerz zastanawiał się przez chwilę, czy pomimo tego, nie zostawić bliźnim czegoś na śniadanie. Tim był nieco dalszy od podobnych myśli. Obserwował w podnieceniu tajemne zabiegi, aż wreszcie zawołał w kierunku nieczystych:

– Czego tam szukacie, ludzie?

– Panie, Thomas zgubił palec! – odpowiedział mu najstarszy z grupy.

– To trzeba uważać – zauważył Tim ze znajomością życia.

Daulton skinął trędowatym, ale ci niestety nie dostrzegli jego gestu, zajęci swą pracą. Konni oddalili się już trochę, gdy z tyłu za nimi strzelił nagle w niebo głośny okrzyk szczęścia:

– Jest! Jest palec! Bogu i świętemu Antoniemu dzięki! Palec.

Jeden z trędowatych skakał, widać był w zupełnie niezłej formie. Pozostali powiewali łachmanami, a szczęśliwiec prezentował, z dala, znalezioną zgubę.

– Pięknie – mruknął hrabia. – Może już nie będzie tak bardzo samotny.

Tim nie bardzo wiedział, o kim mówił Ufford.

– Ale ta choroba nie przechodzi z wiatrem, panie? – spytał cicho giermek, licząc swoje palce.

– Raczej rzadko. Zresztą nie wiem, jakie wiatry masz na myśli, Timie – odpowiedział rycerz i powrócił do rozważań o wznioślejszej treści.

[...]

Z rękawicy myśliwego wzleciał sokół. Wzbił się ponad zamek i niewielkie miasto. Twierdza, zbudowana z cegły, jak wszystkie w tym kraju, miała regularny, czworoboczny obrys. Wzniesiona wysoko na wiślanej skarpie, strzegła ruchu rzecznych statków i ważnej przeprawy. Sokół, dosyć nisko, przefrunął nad traktem, lekko płosząc konie rycerza i giermka.

Zatrzymali się przed wjazdem.

Gromada żebraków, siedząca przy moście, od dawna śledziła zbliżające się figury. Teraz strzelił pod niebiosy lament nieszczęśliwych matek, kalek od samego urodzenia i brzemiennych starców. Ciżba, niby jeden stwór o setkach kończyn, sunęła w kierunku dwóch jeźdźców, błagając o wsparcie.

Ufford skinął na Daultona. Giermek prędko pomógł swemu panu założyć przyłbicę, podał tarczę i na końcu kopię, na której powiewał proporzec w wypłowiałych barwach rodu. Żebracy dostrzegli ten rodzaj jałmużny i z pomrukiem gniewu skryli się pospiesznie w norach przed bramami zamku. Wszelako sir Geoffrey nie gustował w wojnach przeciw nieszczęśliwym bliźnim. Zamierzał uderzać w całkiem inne cele. Kazał Daultonowi zadać w róg, a potem otworzył zasłonę żelaznej przyłbicy i zawołał głosem gromkim, nie znającym trwogi:

– Szlachetni panowie tej twierdzy! Posyłam wam słowa pozdrowień i pragnę...

– Kto woła? – ordynarnie przerwał Uffordowi wrotny.

Rycerz przełknął przykrość. Zamilkł. Chamstwo zawsze odbierało mu ochotę do pięknych oracji. Dał Timowi znak, by mówił. Ten się nie opierał. Chrząknął i otworzył usta:

– Wita was sir Geoffrey Ufford, hrabia Suffolk, rycerz wprost nadludzkiej sławy, założyciel i jedyny członek honorowego Zakonu Tarczy Smutnej Damy!

– Dla Smutnej Damy, baranie – poprawił go rycerz, akcentując pierwsze słowo.

Łachmaniarze, którzy znowu zaludniali drogę, głęboko przeżyli rewelacje giermka. Niewiasty zemdlały, a mężczyźni, nawet starcy w agonalnym stanie, wzdychali z podziwu, posypując głowy prochem.

Na blanki nad bramą weszli dalsi knechci i ktoś w białym płaszczu.

Sir Geoffrey ochłonął i podjął przemowę.

– Pragnę teraz wiedzieć, czy w tym zamku jest więziona, doznając ucisku lub hańby, jakakolwiek panna. Jeśli tak, to będę miał prawdziwy zaszczyt podjąć z wami walkę o jej uwolnienie. Odpowiedzcie, proszę.

Tu jedna z zemdlonych przed sekundą niewiast zarzuciła chustę, która – trzeba przyznać – wyróżniała się bogactwem fauny. Dama wybuchnęła szlochem.

– Ratuj mnie, o panie! Wybaw mnie z rąk tego kata, męża. Wolę twoją długą kopię ze stalowym grotem, niżli jego rozpalony wiecznym ogniem taran. Ginę, panie, ratuj! – dama wyszczerzyła czarne rumowisko zębów.

Rycerz nie zamierzał podawać w wątpliwość ani jej urody, ani podstaw prośby. Cekał na odpowiedź z zamku.

– Nie ma za tą bramą więzionej dziewczycy – zawołał z wysoka człowiek w białym płaszczu. – Nie ma żadnych dam, niestety. Są jedynie trzy służące na przedzamczu, nie przypuszczam jednak, hrabio, abyś pytał o pomietła. To jest klasztor, Gniew, siedziba komtura i jego konwentu.

– Skoro tak mi mówisz, panie, ufam twoim słowom bez żadnych zastrzeżeń – odpowiedział Ufford. – Wszakże pozwól, że zostanę u stóp twego domu, aż do rana, na czuwaniu; to dla wypełnienia moich świętych ślubów.

W uznaniu dla pięknej postawy przybysza, licznie zgromadzeni zgotowali mu prawdziwy aplauz. Większość pań z ogromną gracją zakasała suknie, wypinając swe niewieście wdzięki, a panowie rozpoczęli taniec szalonych wiatraków.

Sir Geoffrey spoglądał w milczeniu na niebo. Potem podał Daultonowi kopię, tarczę, a sam sięgnął do kalety i wyciągnął srebrny pieniądz. Owacje uciły. Moneta błysnęła i upadła w ciżbę.

Na świecie, gdzie księżę ciemności i ognia studiuje z podziwem praktyki śmiertelnych, nie było nic więcej, nic, jedynie czaszki, tłukące z łomotem w dzbany innych czaszek, gnaty uczepione gnatów, mięso zanurzone pazurami w mięsie.

Sokół wrócił ze zdobyczą w szponach i usiadł na żerdzi za murem przedzamcza.

[...]

Obozowali przy małym ognisku nieopodal murów komturskiego zamku. Obok pasły się rozkulbaczone konie. Koło ognia leżał pusty sagan po skromnej wieczerzy. Sir Geoffrey, z kamiennym obliczem, wpatrywał się w ciemne, głuche mury twierdzy. Giermek jeszcze raz obrócił łyżką w swojej misce i głowa opadła mu wolno na piersi.

– Nie śpij – mruknął rycerz, nie spuszczać wzroku z murów.

– Panie, trzeba było przyjąć zaproszenie – ocknął się famulus. – Komtur prosił grzecznie.

– A jeżeli pragną uspić moją czujność? Przyjdzie czas na sen, mój Timie, czas p o wypełnieniu ślubów. Teraz słuchaj, chłopcze, nasłuchuj uważnie i rozmyślaj ze mną o czynach dla dziewic.

– Ale ja jestem zmęczony, po prostu potwornie zmęczony.

– To nie słabość ciała. To jest wielka słabość twego ducha, Timie. Jeśli chcesz osiągnąć rycerskie ostrogi, musisz umieć walczyć sam ze sobą. Co byś zrobił, chłopcze, gdyby teraz trwała wojna?

– Panie, ja nie cierpię wojny. W czasie wojny można być zabitym.

– Nie ma lepszej śmierci niż w szlachetnej w walce.

– Wolałbym już chyba, tak jak król Sycylii, dostać róży członka. Ktoś przynajmniej pożałuje, ktoś opatrzy czule. A na polu bitwy...

– Wojna pojawiła się na świecie z Kainem i Ablem. Odtąd zdaje się przymusem, dla złych i dla dobrych. Złą jest rzeczą ją zaczynać, ale powołaniem szlachetnego stanu rycerskiego stała się ochrona ludu, który zwykle bywa przez nią najdotkliwiej doświadczany. Tak, mój synu, naszą świętą powinnością jest obrona słabszych i bezbronnych, przede wszystkim dziewic. I dlatego – zawsze – musimy być czujni!

Sir Geoffrey, wzruszony swą własną przemową, chciał kontynuować tak szczęśliwie rozpoczęte myśli, ale Tim, na podobieństwo rażonego genueńskiej strzałą, osunął się twarzą prosto w miskę z resztką sosu.

[...]

Dwaj jeźdźcy okrążali jezioro, nad którym wznosił się zamek. Warownia skromniejsza od gniewskiej, już samym swym kształtem zdradzała, że nie jest siedzibą komtura, ale krzyżackiego wójta. Sir Geoffrey wpatrywał się długo w refleksy czerwieni w tafli niemal gładkiej wody. Przebudziły go z zadumy wiatry, wypuszczone śmiało przez objuczonego Timem konia. Wrócił więc do lekcji, jakiej – na przestrzeni ostatniej pół mili – udzielał z powagą swojemu giermkowi.

– Pasowanie to sakrament, Timie, jakbyś wchodził dzięki niemu w szeregi aniołów, którzy wnoszą na ten nędzny padół znak Nowego Czasu. Tak, mój chłopcze, zapamiętaj – Joachim de Floris powiada, iż nastanie wkrótce Era Ducha. Będzie to czas cnót: nadziei, wiary, mądrości, dzielności, już nie mówiąc o sprawiedliwości, o miłości i umiarkowaniu. Przyjdzie zatem pora, gdy ubodzy w duchu zostaną panami tej ziemi; epoka, gdy dusza pogodzi się z ciałem. Powtórz, Timie, nie śpij.

Daulton, prawie leżąc na karku wierzchowca, usiłował ruszać szczęką i otwierać usta, ale okazało się to strasznie trudne i nie wszystkie dźwięki zamieniły się na końcu w upragnione słowa. Sir Geoffrey zaniechał skarcenia łajdaka, albowiem dotarli do podnóża twierdzy.

Objechali mury, aby stanąć wreszcie przed ulokowaną od zachodu wieżą bramną. Hrabia Suffolk, w rynsztunku, który przywdział wcześniej, kiedy giermek jeszcze był przytomny, i to tak dalece, że rozróżniał hełm od garnka, postanowił teraz, że sam zadmie w róg w kierunku straży. Forma Tima nie dawała większych szans, by w jego rękach albo raczej w jego ustach, szlachetny instrument wydał głos piękniejszy od niedawnych fanfar spasionego świeżą trawą konia.

Dźwięk rogu Anglika prawdziwie poruszył gromadę żebraków, którzy także tutaj, w Sztumie, czekali cierpliwie na cud deszczu manny lub choćby na resztki z wieczerzy na zamku. Ci nie byli tak rozmowni, jak gromada z Gniewa. Niewiasty, dyskretnie, poprawiły jednak wdzięki, a panowie poślinioną dłonią przyglądali loki.

Nad wjazdem do twierdzy ukazał się wrotny.

– Kto woła?

Tu już nadszedł czas na giermka – i to niezależnie od jego kondycji. Dostał celny cios pod żebro i zaraz przemówił, nie wiadomo czemu wyciągając w górę ręce, jakby modlił się do słońca albo pokazywał światu spracowane dłonie.

– O niebianie, przybył do was sam sir Geoffrey...

– ...Ufford, hrabia Suffolk – przerwał Daultonowi strażnik. – Witaj, panie!

Dumny rycerz, ukontentowany wreszcie świadectwem swej sławy, sam przemówił do żołnierza:

– Skoro znacie mnie, sławetni, to wiecie zapewne, że przybywam z misją...

– To zamek pobożnych rycerzy zakonnych i nie ma tu panien – przerwał już ktoś inny. W jego głosie wyczuć można było godność i dworną ogładę. – Jest kilka do posług, ale nie tych pewnie szukasz, hrabio. Wszakże znając twoje imię i twe sławne czyny, prosimy cię pięknie, abyś raczył przyjąć w naszym zamku gościnę pielgrzyma.

Tu giermek Ufforda przebudził się nagle. Począł robić miny, z całym przekonaniem, że działa dyskretnie, w ścisłej konspiracji. Miny miały bez wątpienia znaczyć: Tak, tak, tak, na świętą Klarę, zostaliśmy tu na noc! Sir Geoffrey nie podjął dialogu z pyskaczem. Zwrócił się ku człowiekowi stojącemu w wieży bramnej.

– Z głęboką wdzięcznością pragnę przyjąć twoje zaproszenie, panie. Nie wolno mi jednak zapomnieć o ślubach i folgować zbyt ciału. Zatem w nocy czuwać będę, będziemy, w kaplicy. Wyruszymy w dalszą drogę najpóźniej w czas jutrzni.

Po ostatnich zdaniach sir Geoffrey'a, Tim westchnął z rozpaczy, osłodzonej nieco wizją gościnnego stołu.

Milczący żebracy nie zdążyli nawet bliżej podejść do obu podróżnych, gdy huknęły rygle bram, łańcuchy i jęknęły belki mostu.

Ufford ruszył bardzo wolno w stronę pierwszej bramy. Jadąc skłonił się wytwornie kilku pięknym paniom w fantastycznych strojach. Niektóre z nich stały z obnażoną piersią, nieruchome, godne, inne w zamyśleniu drapały się w nogę lub pod mokrą pachą. Panowie, z zastygłym obliczem, rozważali kwestię, czy ktoś nie żartuje tutaj niestosownie z niewiast. Tim przejechał z irytacją pośród łańcuchiarzy, patrząc bacznie, by z trzeciego konia nie ściągnięto jakichś cennych rzeczy. Zrównał się z rycerzem dopiero za mostem. Jadąc obok niego w kierunku dziedzińca, zdobył się na śmiałość i cicho przemówił:

– Panie, powiedz, czy ty wiesz, kim są osoby, którym okazałeś swe uszanowanie?

– Nie wiem, chłopcze – odpowiedział Ufford.

– To panie wesole, jak mówią Polacy.

– Mój Timie, wolałbym okazać swój szacunek tuzinowi brudnych dziewczek i upadłych niewiast, niż zaniedbać tego wobec jednej zacnej damy, szczególnie dziewczycy!

Znikli poza bramą. Znowu huknęły łańcuchy i drewniane rygle.

[...]

Co mam robić ze zjawami, które urągają rozumowi? (...) I do tego hrabia Suffolk i ten jego giermek Daulton. Weszli w tę historię bez pytania. Myślicie, nie widzę, że wędrują starym szlakiem, przetartym już dawno przez jeźdźców z La Manczy? Nie, nie jestem, moi drodzy, ślepy! Wszakże oni zdają się być w swojej skórze całkowicie poza moją wolą. Domagają się istnienia. Jeśli chcę być wier-ny opowieści, muszę się pogodzić z twardym faktem, że zostaną w tej historii, wbrew kpinom i wzgardzie. Zresztą – jestem przekonany – oni nie przestaną podróżować nigdy.

W dodatku ci dranie, łażą tak jak chcą i koniec. Ja naprawdę wiem – ufajcie – że zbliżając się od strony Sztumu, można było dostać się do zamku Malbork jedynie przez miasto (bramą od południa) albo omijając je od wschodu wjechać na przedzamcze Bramą Główną zwróconą ku Piaskom, jednak – nie potrafię na to nic poradzić – kiedy zamykałem i zamykam teraz oczy, sir Geoffrey pojawia się stale przed mostem na rzece i uparcie wkracza na podzamcze wjazdem pod kamienną żabą. Zdam sobie sprawę z tego, że Ufford się myli! Bardzo chciałbym to naprawić. Mogłbym oczywiście zmienić zapis, ale – jestem tego absolutnie pewny – to wtedy bym skłamał. I jakkolwiek hrabia Suffolk niewątpliwie nie ma racji, ja, który go widzę, mam rację na pewno, bowiem zachowuję wierność

jemu, nie logice martwej mapy. Więc właśnie dlatego: o rannej godzinie nad brzegiem Nogatu służba będzie poić konie, a po lewej stronie rzeki do przyczółka drewnianego mostu będzie się zbliżało dwóch jeźdźców z Albionu.

I tak pozostanie. Zawsze.

[...]

Na prawym brzegu Nogatu, u stóp zamku, służba poiła konie. Dzwony wzywały zakonników na poranne psalmy.

Do przedbramia, usytuowanego po przeciwnej stronie rzeki, zbliżało się właśnie dwóch dostojnych jeźdźców.

Daulton drzemał w siodle. Rycerz palnął giermka rękawicą w ucho. Chłopak, może jeszcze nie do końca przebudzony, spojrzał w osłupieniu na sylwetę ogromnego zamku.

Żebracy siedzący przed umocnieniami byli wyjątkowo cisi. Tim, zdumiony ich milczeniem, zastanawiał się, czy nie śpiewają w duchu prywatnych godziniek. Jeżeli tak było, jeśli prowadzili wewnętrzne sekwencje, to teraz na widok dumnego rycerza otworzyli usta, objawiając chorał podniosłego kaszlu. Zrazu zabrzmiał solo. Po mistrzowskiej intonacji, podjęto natychmiast formę responsorium. Głos przechodził od solisty do chóru aniołów i wracał do gardła pierwszego kantora, aż w końcu ryknęło potężne organum, polifonia kaszlu, sapań, gwizdów w płucach, menzuralna koda chorału gruzlicy.

– Dzięki! Dzięki, dzięki! – młody Anglik starał się przekrzyczeć huragany rzeżeń. – Panie i panowie, witam z głębi serca głębię waszych trzewi!

Człowiek, który intonował laudes, złapał wreszcie oddech, a potem wyraził poglądy większości:

– Dziś nie ma szacunku. Dziś wyśmieją wszystko.

– Gotowi są zakpić z najlepszego towarzystwa – dodał smutno inny.

– Nawet ze stolicy! – zauważył trzeci.

Rycerz posłał Daultonowi karcące spojrzenie. Chłopak wzruszył ramionami i wjechał za panem przez kładkę nad fosą, i z kładki – przez wrota przedbramia, przypominającego formą niewielki barbakan. Vogelsang, jak nazywano tę partię umocnień, stanowił przyczółek mostu nad Nogatem. Nikt nie pytał konnych o imiona, herby, ani cel wizyty, jakby byli z dawna oczekiwanymi gośćmi.

Przejechali mostem i stanęli u podnóża pary przysadzistych, gigantycznych beczek z cegły, które strzegły wjazdu na obszar podzamecza. Każda z nich zdawała się odpychać brzuchem wszystkich nieproszonych gości i wszelkich natrętów. Na łączniku nad basztami spoczywało nieruchome monstrum. Była to stiukowa żaba o rozmiarach porządnego wieprza. Daulton już rozumiał, dlaczego w tym kraju nad wieżami zamków zwykle krążył bocian.

Ufford był tak zamyślony, że zapomniał się przedstawić wrotnym. Zamiast niego, z murów, odezwał się żołnierz:

– Nie ma tu więzionej damy, ale wielki mistrz Zakonu Konrad von Jungingen prosi, abyś raczył przyjąć, panie, gościnę w Malborku.

Sir Geoffrey uczynił grzeczny gest podziękowania.

Tim był wniebowzięty. Już słyszał wyraźnie swe własne chrapanie na wygodnym łóżku, odbite po stokroć od sklepień sypialni. Już wyczuwał smugi aromatów z kuchni. Nie mógł się doczekać uchylenia bramy. Kiedy dwóch żołnierzy otworzyło wrota, giermek ruszył pierwszy. Otrzeźwiony ciężką rękawicą pana, przepuścił uprzejmie sir Geoffrey’a przodem. Pocieszał się myślą, że jeżeli zaba pluje, to nie trafi tego, który wjeżdża z tyłu.

[...]

Hrabia Suffolk przejeżdżał wolno przez kolejne bramy, prowadzące na dziedziniec głównej części zamku. Tim zmuszony był zostawić swoje konie na przedzamczu, a więc zły i obrażony, szedł za panem pieszo, dźwigając na plecach i pod pachą sakwy i rynsztunek, który – trzeba wiedzieć – bardzo dużo ważył.

W przedostatniej bramie, w której uchylono tylko jedno skrzydło, rumak sir Geoffrey’a, koń wyborny, ale bez ogłady, zostawił po sobie parujące łajno. Daulton byłby chyba bez honoru, gdyby – nie dość, że nie w siodle – miał wkrazać do zamku przez taką ohydę. Mógłby sobie przy tym powalać odzienie albo się poślizgnąć i upaść na głowę. W drugim skrzydle wrót – w tym, którego nie otwarto – była mała furtka, specjalnie dla pieszych. Tim nie deliberował długo. Schylił się i zaatakował dzielnie dosyć ciasne wejście.

Nikt, kto nie próbował przejść przez wąski otwór, z ogromnym bagażem na grzbiecie i w rękach, nie może mieć cienia pojęcia, jak to bardzo boli. Przede wszystkim ciemność. Daulton huknął nim w nadproże i na małą chwilę utracił świadomość. Kiedy już odzyskał poczucie istnienia, istniał intensywniej. W jego czaszce ktoś wytapiał ołów i hodował niesfornego jeża. Nie zważając na cierpienie, które nierozłącznie jest związane z ludzkim losem, giermek sir Geoffrey’a usiłował przeć w kierunku domniemanej kuchni albo dormitorium. Wrotni, którzy nie widzieli jeszcze nigdy zdobywania tego zamku, zastygli w podziw dla niezłomnej woli i męstwa człowieka. Sam, bez artylerii, prawie już pokonał, rozniósł w strzępy bramę z dębu i żelaza, ale – drobiazg – pewne elementy zbroi hrabiego Ufforda okazały się złośliwe. Daulton sapał. Twardy kirys, fartuch, taszki, dwa nabiodrki i nagolenice, już nie mówiąc o naramiennikach, nałokciach oraz zarękawicach, plus sarta zwykłego dobytku, zaparły się mocno we framudze furty, jakby w lęku przed złamaniem świętych ślubów właściciela. Tim zmobilizował wszystkie siły i zaatakował jeszcze raz, z rozpędu. Łomot był tak

wielki, że zaalarmowany nim sir Geoffrey wstrzymał konia i odwrócił głowę. Bez jednego słowa patrzył na wybałuszone oczy giermka i cieniutką smużkę krwi pod jego nosem. Przeniósł wzrok na drugie skrzydło bramy, otwarte na oścież, mogące przepuścić taborowy wóz i spore stado wołów.

– Oto wielka tajemnica – myślał – misterium człowieka.

W głębokiej zadumie ruszył wolno dalej. Wjechał na dziedziniec.

[...]

Janusz Ryszkowski

Wiersze

X X X

Przez całą noc śnieżycą owijała szpital... (Julian Przyboś)

Brnę w śniegu po pas choć to koniec czerwca
Nie rozumiem tych zasp ani większości rzeczy która Jego jest
Medycyna robi dziś kolosalny podstęp
(temat do przemyśleń: rola przejęzyczenia w sloganie reklamowym)
Nie ma odpornych na ciosy – są tylko źle trafieni
Stwierdził kiedyś filozof ringu Jerzy Kulej
Chętnie jeszcze poboksuję się z życiem
Nie rzucajcie między liny ręcznika, choć już nieźle krwawię...

X X X

dziadygi, który wyżebrał od ciebie parę groszy
chyba nie znasz
zapytała żona

powinienem jej opowiedzieć
o podwórkowej bandzie Ryżego Jurasza
tajnym braterstwie krwi
kromce chleba z wodą i cukrem
dziewczynach z przebieralni na plaży

powinienem jej powiedzieć
ale mogła mnie zmylić
jego siwa broda
nietutejszy akcent
naderwane skrzydło
szczegóły się zacierają
poza tym wszystkim
spieszyliśmy się już
do innego świata

x x x

W Grecji wykonuje się
Wyroki śmierci
Tylko w lipcu -
Przeczytałem taką wzmiankę w Gazecie Toruńskiej z 1884 roku
Gdzieś między notowaniami cen zbóż
A wiadomością o wakacie fizyka powiatowego w Lubawie.

Jest akurat pochmurny lipcowy świt
Do portu
Wpływa statek
Z gilotyną
Pod pokładem

Mężczyzna wraca piaszczystym nabrzeżem
Oddycha jeszcze oparami hotelowego pokoju
Nie spodziewał się, że może być aż tak
I to „aż tak” musi wystarczyć za wszystkie słowa
Prawie stracił głowę, choć nie jest żadnym młodzieniaszkiem
Wiele przeszedł
A tu taka niespodzianka
(Jak ten wiersz?)
Wyrzut

Będę szczery: wpieprza mnie ten facet,
Często przychodzi pożyczyć grabie,
jakby nie mógł kupić swoich.
Zabiera ci tylko czas
A ty przecież masz
kwiatki do podlania
i ciągle mnie

x x x

we śnie piszę wiersz
aby przemycić go
na tamtą stronę
naprawdę wiele ryzykuję

teraz sprawdzajcie sobie
czy było warto

Ks. Grzegorz Wąsowski

Wiersze

XXX

Tej jesieni Bóg palce pobrudził
O paletę Vincenta gorącą
Choć wcześniej pisał nam życie
Atramentem poranków wieczorów
Sypnie włosem jasnym babim latem
W Twój sen obudzony
Zanim twarz Ci pogłaszcze
Pulchnym palcem świtanie
A na bukach przed domem
Gwarem szemrzą liście
Czerwienią złoszczone
Każda z lip śle Tobie
List żółtozłoty zapisany nadzieją
Podpisany wiatru pazurem
Tak targują się drzewa
Z niebem snutym chmurami
Z szablą deszczu brzęczącą
W galopie nad głową
Pewnie Bóg palcem gwiazdy zapali
Owinięte w wieczoru błękity
By marzenia jak wstążki
W warkoczyki Ci zaplótł
Ktoś kto czeka....

XXX

Dziś na pewno umarła jakaś miłość
Dwoje ludzi teraz mówić będzie że im świetnie
Tylko deszcz będzie smutny
A czas umazany wapnem nowy dom zbuduje
Deszcz znowu perłami sypnie
Przyniesie je z krajów gdzie nie pada deszcz
A stary śmietnik na podwórku zdjęcia przygarnie
Ulica będzie tańczyć walca a bruk sztuczne ognie odbije
I tylko cienie będą się zwracać w przeciwną stronę
Potajemnie pisząc na ścianach imiona
Tych którzy kochać się odważyli.

XXX

Dziś chcę napisać
Najpiękniejszy wiersz na tej ulicy
Która właśnie zasnęła
Snem telewizorów.
O jaskrawym kolorze płotów
Malowanych chyba latem
O chodniku pędzącym do kościoła
Odgarniającym z czoła liście pomarszczone
O złotych nocnych lampach
Szepczących namiętnie
Sodowym światłem
A wszystko zaczyna się po kolei
Małą stacyjką
Potem snuje się kioskiem z piwem
Szkołą i Kościołem
By wybiec wolno w pola
I tam zaczerpnąć oddechu
Wygasłych grudniem gwiazd
Bo moja ulica jest najpiękniejsza.

XXX

Gawędzę z zakapturzonym wieczorem
Odzianym w zimne podmuchy
Wyszliśmy, by posłuchać
Śpiewu piskliwie zawodzących gwiazd
Na chwałę pani Wiosny
Tymczasem posłyszałem śpiew Aniołów
Tupiących bosymi stopami
Po wierchołkach bezlistnych jeszcze drzew
Wyśpiewały mi, że jestem wyjątkowy
Jak każdy człowiek
A gwiazdy świecą na Chwałę Bożą.

XXX

Nagłe słońce łapie za noski
Bez troskie dziewczęta
By sypnąć piegami na pogodne buzie.
Świeży zapach żeglujących po sznurkach
Białych koszul
Zaprasza pierwsze nieba pomruki.
Chwytam za telefon, by zamówić budzenie
Traw ziół i magnolii.
Leniwe słońcem kocury już dawno namywały gości
Co teraz zasiadają na łące kwietnym biwakiem.
Drobnymi płatkami wypatrzonych obrazków
Wiosna gości sobie miejsce we mnie
Koralikami słów jej odwzajemniam
Bo oczy wypatruje za mną
Bym wreszcie się przebudził z zimy.

Sebastian Kubiak

Wiersze

* * *

czyżbym przejrzał
rzeczywistość?...
aaaa... to zmęczenie!

„drogowskaz II”

wskazuję drogę

przez chwilę stoisz
odchodzisz tam
gdzie pójść nie mogę

„kot”

ugniatając
cały świat

mruczy

* * *

zabił nam ćwieka
cieśla
zmartwychwstały

Janusz Ryszkowski

Andriolli w podróży po Powiślu¹

Dwory porządne (...). Ani kropli tego uroku, jaki nasze otacza. Drzewek kilkanaście wkoło, ale ostrzyżonych, pod sznur sadzonych i kto wie, czy nie numerowanych. Ład wszędzie, to prawda, ale bym tam nie zamieszkał.

Tak Elwiro Michał Andriolli, przybysz z Królestwa Polskiego, opisuje pierwsze wrażenia po drodze do powiatu sztumskiego we wrześniu 1889 roku. Co przebija już tylko z tego fragmentu? Pewna wyższość i lekka ironia („numerowane drzewka”), której nie szczędził także w innych fragmentach relacji *Z wycieczki nad Morze Bałtyckie. Listy ilustrowane E. M. Andriollego do Adama Pługa*.

Warto na chwilę zatrzymać się nad tym, jakiegoż tu gościa mieliśmy? Andriolli (1836-1893), urodzony w Wilnie, studiował malarstwo i rzeźbę w Moskwie, Petersburgu i Rzymie, a za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię. Po ułaskawieniu w 1871 roku dał się poznać między innymi jako ceniony ilustrator, a rozgłos przyniosły mu ryciny do *Pana Tadeusza*.

Listy z podróży były popularnym wówczas gatunkiem prozy reportażowej, adresat zaś Adam Pług (wł. Antoni Pietkiewicz) postacią autentyczną – to poeta i redaktor tygodnika *Kłosa*, z którym Andriolli ściśle współpracował. Za relację znad morza miał otrzymać 300 rubli. Czy to dużo, czy mało? Wyczytałem gdzieś, że nocleg w dobrym hotelu kosztował 4 ruble. Ale sprawdzajmy dalej. W tym czasie za roczną prenumeratę *Kłosów* trzeba było zapłacić 8 rubli. Dziś za kolorowy tygodnik opiniotwórczy, np. *Politykę*, czy *Newsweek* trzeba wydać nieco ponad 200 zł. Gdyby zastosować taki przelicznik cenowy, to dziś Andriolli otrzymałby za swój cykl zdobiony rysunkami – słuchajcie koledzy po piórze – około 7500 zł.

Ale to nie pieniądze (albo nie tylko one...) powodowały, że wyruszył do Prus Zachodnich. „Jak przystało na romantyka, (...) był urodzonym podróżnikiem. Osiedliwszy się w Królestwie, co roku, do samej śmierci, sam lub w dobranej kompanii, odbywał długie wyprawy piesze, konne lub wodne, zbierawszy do teki szkice ciekawszych okolic, zabytków, typów ludowych.” – pisze jego biografka, Janina Wiercińska.

Jeśli wierzyć tekstowi, rysownik został namówiony na wyprawę niejako z marszu przez Juliana Łętowskiego (właściwie: Władysława Książka - 1857-1897), pisarza i poetę, dziennikarza warszawskiego *Słowa*. Do niego jeszcze powrócimy. Z redakcją związany był Antoni Donimirski (1846-1910), rodem z Buchwałdu (Bukowa). Jego brat Jan tam właśnie gospodarował, a Łętowski był już w przeszłości jego gościem. Andriolli szybko skorzystał z kuszącej pro-

¹ Wybrane frgmenty z książki - Janusza Ryszkowskiego - W podróży po ziemi Sztumskiej. Tarnowski, Andriolli, Żeromski, Wańkowicz, Sztum 2010.

pozycji: „Tydzień wypoczynku, morze, Buchwałd, Donimirscy, morze!...”, poza tym w Sopocie przebywała już jego siostra, której obiecał odwiedziny. Jeszcze tego samego dnia wsiadł do pociągu.

Coś zanotować, coś przeczytać

Przygotowania do podróży były zatem krótkie. Andriolli, który jechał w nieznane sobie strony, kilka godzin poświęcił na – jak byśmy dziś powiedzieli – dokumentowanie tematu. Wylicza z czego czerpał wiedzę: encyklopedia, *Święcki* (chodzi o *Opis starożytnej Polski, przez Tomasza Święckiego, mecenasa przy Najwyższym Sądzie Królestwa Polskiego, Podlasianina*), odczyty Antoniego Donimirskiego o Kaszubach i mapy Prus Zachodnich. „Od 1-ej do 6-ej udało się coś zanotować i przeczytać” – dodaje. Wyruszają z Łętowskim pociągiem z Warszawy. „Nudna jazda” – zauważa. „Na stacjach letnicy jedynej gratisowej dostarczają rozrywki: oglądają pociąg, a my się przyglądamy letnikom. Czasem ładna twarzyczka...”. Andriolli stara się czytelnikowi opowiadać ciekawie, unikając, jeśli się da, podróznego banału. Jest więc i miejsce na żartobliwy ton, ostatecznie lektura ma dostarczać przyjemności.

W Iłowie, „pierwszej w Prusiech stacji, nocleg, bo pociąg do Malborka ledwie o 5 rano odchodzi.” Andriolli notuje pierwsze wrażenia obcości:

Jak tu dziwnie cudzo! Mowa obca, bardzo obcy ludzie. Szttywno, ale porządknie. Kelner, który nam przyniósł przekąskę (bywaj zdrowa herbato!), powiada, że możemy dostać na samej stacji pokój z pościelą za skromne dwie marki od osoby.

Nasi podróżni chętnie z tego korzystają. Urzędnicy na stacji użyczają mieszkania na noclegi. I po chwili znowu robi się swojsko:

Jest się jak u siebie. Pokoje duże, porządne, mebelki, firanki, biblioteczka, kilka obrazków na ścianie, ale, o bogowie, bety. W łóżku, zamiast kołdry, piernat, a zamiast poduszki, garstka puchu w ogromnej powłoczce! Staje narada. Wtłacza się piernat do powłoczki i ma się poduszkę, a paletot służy za kołdrę.

Iłowo żegnają, „pijąc jakąś zakazaną kawę...”. Malarz, jak widać, mniej utyskuje niż hrabia Tarnowski, widać wyraźnie, że był przyzwyczajony do skromnego wojażowania.

Dalsza trasa tzw. koleją malborsko- mławską wiodła tak jak zresztą dziś przez Deutsch Eylau (Iławę), Rosenberg (Susz), Riesenberga (Prabuty).

Z fajką i piwem

Na stacji w Mleczewie czekał na gości powóz przysłany z Buchwałdu. Kolejne spostrzeżenia z „obcego” kraju:

Mijamy okolicę żyzną, zamieszkałą. O chatach, krytych słomą, ani mowy. Domki całkiem murowane lub z pruskiego muru pod dachówką. We wsiach obierze, najczęściej „pod królem pruskim”, bardzo porządne i zachęcające, by tam zajechać. Lud w kurtkach, nosi czapki i filcowe kapelusze, spodnie na buty, fajka porcelanowa w ustach. Twarze ogolone, niektórzy mają wąsy i faworyty. Kobiety w chustkach na głowie, a często w potwornych kapeluszach. Noszą się krótko. Na nogach treпки i trzewiki.

Andriolli relacjonuje, że napotkani w niedzielę mężczyźni palili porcelanowe fajki i popijali piwo. Czy trzeba mu wierzyć? Zapewne nie można powątpiewać w jego zmysł obserwacji i oko rysownika. Etnograf dr Józef Łęgowski znający także z autopsji życie codzienne na Powiślu, w publikowanym w tym samym mniej więcej czasie artykule *Urządzenia społeczne, zwyczaje, gwara na Malborskiem* pisał, że „Palenie i żucie tytoniu jest bardzo mało używane, za to powszechny jest zwyczaj wciągania w nos tabaki miałkiej, tak zwane zażywanie”. I dalej: „Nie jest mi znana historia warzenia piwa; zwykle mniemamy, że ten zwyczaj z Niemiec do nas przybył, dlatego nie wiem, czy rodzaj napoju, który czasami, ale to rzadko, z jęczmienia warzą i „czenkuszem” (cienkuszem) nazywają, jest swojski czy obcy”. Andriolli opisuje, że mężczyźni spodnie mają opuszczone na buty, gdy Łęgowski wyraźnie zaznacza, że wpuszczają „buksy” do środka. Niewiasty, wedle opisu rysownika, chodzą w chustkach i kapeluszach, ale Łęgowski twierdzi, że to „czapki z knepkami”.

Jest to czepek, obszyty czarną koronką. W niedzielę do kościoła zawiązują na ten czepek dużą chustkę jedwabną o różnorodnym desenie (...). Chustka, odpowiednio złożona, była okręcana dookoła głowy i zawiązywana nad czołem sutą kokardą.

I komu tu przyznać rację?

Miasteczko Stary Targ

Hrabia Tarnowski porównywał Stary Targ do miasteczka. Nie inaczej Andriolli: *Ciekawe miasteczko. Eleganckie domki z ogródkami; w oknach firanki, kwiaty. Niektóre domy mogłyby w naszych miastach gubernialnych zwrócić na siebie uwagę. Oberża duża, czysta. Domy urzędów wzorowo utrzymane. Ład wszędzie i wygląd wesoły, tak że zazdrość oponowiywa, jak pomyśle, że to miasteczko odpowiada naszemu Karczewowi, czy Latowiczom.*

Że niedziela i słońce, dużo ludzi na ulicach. Strojne to po europejsku, ale jakaż parodia! Pod oberzą główny ruch, a raczej główny postój z fajką w ustach, a kuflem w ręku. Poważne, dość sprytnie twarze, ani śladu ożywienia.

Andriolli nie jest w opisach do końca konsekwentny. Jakby miotał się między podziwem dla porządku, gospodarności „obcych”, a koniecznością trwania przy wartościach „swoich”. Przyznaje, że w poznawaniu „nowej ziemi” zdaje się na gospodarza.

Słucham i śledzę zatem, co mi pan Jan mówi, a zna on kraj gruntownie. Ileż to szczegółów ciekawych o ludziach, zwyczajach, miejscowościach. Miesiące bym musiał siedzieć tutaj, by stworzyć jakie takie pojęcie o okolicy.

Czasu na własne studia ma niewiele. Zdaje też sobie sprawę z tego, że redaktora i czytelników *Kłosów* mniej zainteresuje ziemia sztumską, ale na pewno już malborski zamek, Gdańsk, *Soboty i Helę* czyli Sopot i Hel. Podczas przejażdżki z Buchwałdu do Waplewa notuje, jak to z wysokiej góry (prawdopodobnie chodzi o Szubienicę (ok. 105 m), najwyższą górę Ramockich Waplewskich Wzgórz) w pogodne dni można dostrzec morze, co było oczywistą nieprawdą.

Prześledźmy wojaże Andriollego po powiecie sztumskim. Z Buchwałdu zrobił popołudniowy wypad do Waplewa (poznał w Warszawie żonę właściciela, Adama Sierakowskiego i jej brata Adama Sołtana). Następnego dnia: Stary Targ, Sztum, Szumska Wieś, Zajezierze i dalej koleją do Malborka, potem Gdańska i Sopotu. Po powrocie do Buchwałdu i dniu odpoczynku wyjazd na „stacyjki kolei wodnej”, czyli pochylnię Kanału Elbląskiego w Buchwałdzie (Buczyńcu), a w drodze powrotnej Dzierżgoń, zwiedzanie pałacu w Waplewie; powrót do Sierakowskich na cały kolejny dzień, by poobcować z dziełami sztuki. I dzień ostatni - odjazd pociągiem z Młeczewa do Warszawy. Co trafiło do szkicownika rysownika i potem ilustrowało tekst? Szumski zamek, kamień w Szumskiej Wsi, dworek Donimirskiego w Zajezierzu, kościół z Posildze (Żuławce Szumskiej), wielka, stara lipa w Buchwałdzie.

U Kikuta

Jan Donimirski, jak wspomnieliśmy, był przewodnikiem Andriollego i pokazywał mu na ziemi szumskiej to, co najciekawsze. Jako działacz spółdzielczy nie mógł pominąć banku w Starym Targu, który prowadził Marcin Kikut. Andriolli tak go charakteryzuje: „Postać, z którą germanizacja się rachuje”, „poważny jak Rzymianin, dobroduszny jak Słowianin”, „Nie ochoczy w mowie, ale co powie, to rozumne, z lekkim humorem”.

Kikut nie jest postacią tak zupełnie zapomnianą. Spoczął przy kościele w Starym Targu, co świadczyło o jego wysokiej pozycji w lokalnej społeczności. Dziś jego grób i małżonki sąsiaduje z mogiłami długoletnich proboszczów – Gustawa von Palmowskiego (1889-1927) i Wiktora Gollana (1927-1959).

Troje miejscowych gimnazjalistów pod kierunkiem nauczyciela historii Adama Langowskiego w 2008 roku napisało pracę o działalności organicznicowskiej Kikuta. Plastycznie opisał go Andriolli, ale po latach pozostają nam już tylko suche fakty. Urodził się w Kalwie w 1827 roku w rodzinie dość bogatego chłopca, ale działał w nieodległym Starym Targu. Prawdopodobnie przeniósł się tu po powtórny małżeństwie w 1851 roku. Jego wybranką została także wdowa – Julianna Demska z domu Bojanowska, pochodząca z Postolina. Po mężu dostała gospodarstwo. Kikutowie doczekali się trojga dzieci. W testamencie Marcin, człowiek pobożny, zapisał kwoty pieniężne kościołowi w Starym Targu, Kalwie i Postolinie, aby modlono się w intencji jego rodziców i żony.

W Starym Targu osiedlił się też brat Marcina – Franciszek Walenty. Od 1872 roku prowadził we wsi zajazd. Przez lata *U Kikuta* właśnie organizowano spotkania organizacji polskich. Nie mogę o jednym z nich nie wspomnieć. W sierpniu 1882 roku odbyło się tu zebranie powiatowe przed wyborami do sejmu pruskiego. Z relacji zamieszczonej w toruńskim „Przyjacielu” wynika, że przybyło ok. 60 osób, w tym dwóch księży katolickich. Zebraniu przewodniczył Władysław Szremowicz, zarządca majątku Sierakowskich w Waplewie. Sekretarzami byli p. Michalski z Telkwi i p. Białkowski z Mątew. Tak na marginesie - nieznośna była ta maniera niepodawania imion.... Przybył też Ignacy Łyskowski z Milieszew, pow. brodnicki (jego ojciec był dziedzicem Wilczewa koło Mikołajek), prezes Koła Polskiego w parlamencie Rzeszy.

Donimirski na posła

Podczas zebrania wybrano kandydata na posła – Henryka Donimirskiego z Zajezerza. Startował z okręgu sztumsko - kwidzyńskiego, posłem nie został, choć wynik osiągnął naprawdę dobry. Otrzymał 7136 głosów, co wiele mówiło o sile żywiołu polskiego, jego rywal, landrat (starosta) kwidzyński Müller dostał ich o 832 więcej. Donimirski wygrał w całym powiecie sztumskim, poza Kiszporkiem (Dzierzgoniem), w powiecie kwidzyńskim zaś – w dwóch obwodach leżących już za Wisłą – Piasecznie i Gniewie. W tym miasteczku zebranie z polskim kandydatem na posła odbywało się w zajeździe Marcelego Bartkowskiego, który należał też do komitetu wyborczego. Prowadził również polską spółkę pożyczkową. Dlaczego o tym wspominam? Tak się złożyło, że jego prawnuk, sztumianin Andrzej Lubiński, jest autorem prekursorskiego opracowania o spółdzielczości bankowej, tyle że już na Powiślu.

Gazeta Toruńska przytaczała taki wzruszający epizod z głosowania. „W Straszewie wyborcy polscy prawie w pełnej liczbie stanęli do urny, oddał swój głos nawet 89-letni staruszek Wiśniewski, skoro go pewien krzepki wiarus wniósł po schodach do lokalu, w którym się odbywały wybory”.

Co nie udało się wtedy komitetowi polskiemu, udało się 10 lat później. W wyborach Henryk Donimirski pokonał Müllera i posłem do parlamentu niemieckiego został.

Proboszcz miejscowy, którego Andriolli nie wymienia z nazwiska, to z kolei „twardy Warmiak”. Chodzi o Gustawa von Palmowskiego, który dopiero rozpoczął swoją posługę duszpasterską w parafii i przytrafiła mu się gafa:

Człowiek wielkiej zacności i pracy, ale pod wpływem wychowania i otoczenia, w pierwszej chwili objęcia obowiązków w Starym Targu, chcący przemówić po niemiecku w kościele.

Andriolli zauważa, że napis „starszy żandarm” jest po niemiecku, ale „kasa pożyczkowa” po polsku. W przedsionku banku „kilka osób w tych komicznych, europejskich strojach” i rozmowa polska z akcentem niemieckim toczona z Janem i Henrykiem Donimirskimi.

Andriolli, sam powstaniec styczniowy, przygląda się polskości „za kordonek” uważnie. Nie diagnozuje jej wprost, ale stara się przytaczać fakty. W Waplewie, gdy gości u Sierakowskich, zauważa: „kolacja, gorące życzenia z naszej strony, by zacni ci ludzie długo na tym cyplu Polski języka i zwyczajów naszych bronili”.

Syty lepiej pracuje

W Buchwałdzie rysownik zainteresował się codziennym życiem okolicznych mieszkańców. *Nazajutrz raniutko zwiedziłem wnętrza chat przyległych, podziwiałem wielką różnicę, jaka między niemi a naszymi zachodzi. Tu każdy ma porządną piec, kanapę, firanki w oknie, kilka kwiatów, szafkę, komodę. Donimirski stara się, by u niego ludzie i mieli pod dostatkiem nabiału. Bo – powiada – chłop silny, to silne dzieci, syty, dobrze pracuje, a pracując dobrze, zdobywa dobrobyt i przywiązuje się do ziemi, czego też trzeba. Dobra to droga, bo emigracja stąd ludności ogromna.*

We wspomnianej już rozprawie Józefa Łęgowskiego czytamy podobne uwagi: *Pożywienie ludności rolniczej jest na ziemi malborskiej dostatniejsze, niż w wielu innych okolicach polskich (...). Daleko nie jest tak sute, jak ludności niemieckiej, która prawie nigdy obiadu bez kawałka mięsa nie jada; ale można je nazwać wystarczającym dla utrzymania sił i zdrowia. Godnym naśladowania jest przykład obywatela, pana D., który sprowadzał dla ludzi swych ryczałtem towary kolonialne, dawał im sposobność do nabywania taniego mięsa i w ogóle*

staral się, aby ludzie jak najposilniej jadal, wychodząc z tej słusznej zasady, że wzmocnienie sił i zapewnienie młodemu pokoleniu czerstwego rozwoju fizycznego obywatelowi i ludziom jego więcej przyniesie korzyści, niż zaoszczędzenie małego kapitaliku, który następnie wyzwala chłopą z pod pana na „frejkę” lub do Ameryki, a w obu przypadkach na biedę zwykle. Niewykluczone, że Andriolli znał pracę Łęgowskiego i z niej korzystał.

Co wyrosło z podlotka?

Muszę koniecznie wprowadzić tu jeszcze dwa wątki poboczne. Otóż kiedy Andriolli z Łętowskim przyjechał do Buchwałdu, podczas obiadu poznał córkę Jana Donimirskiego, wówczas podlotka. Nasz rysownik dostrzega ją tylko, nie podając imienia, wiemy jednak, że to była Maria. Czworo jej rodzeństwa zmarło we wczesnym dzieciństwie. Któż by wtedy przypuszczał, że ta jedynaczka będzie mieć takie ciekawe, ale i pełne tragizmu życie?

W 1898 roku opuściła Powiśle, wychodząc za Józefa Chełkowskiego, ziemianina ze Śmiełowa, pow. jarociński. Urodziła mu 14 dzieci (wiem to od wnuka, Andrzeja Heydla z Poznania), ale matczyne obowiązki nie były przeszkodą dla realizowania społecznikowskich pasji i narodowych obowiązków. Gościła w Śmiełowie luminarzy świata politycznego i artystycznego, m.in. Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego. Kiedy zbliżało się Bożego Narodzenie 1918 roku napisała w pamiętniku: „Ani dziesięcioro dzieci, ani bawiaća u nas córka Mickiewicza p. Maria Górecka nie utrzymały mnie w Śmiełowie. Bałtyk i moje rodzinne Pomorze musi wrócić do nas. Trzeba wykorzystać popłoch Niemców, zająć armią Hellera wszystkie miasteczka, trzęsące się „Soldenraty” wyrzucić, rodziców oswobodzić.” Dalej Chełkowska pisze, że dziadowie wyprawili z prowiantem dla Hallerczyków 17-letniego wnuka Szczęsnego (a jej syna), który pomagał w buchwałdzkim gospodarstwie, przygotowując się jednocześnie do matury w malborskim gimnazjum. Ona także udaje się do Gdańska... Święta spędza u dziadków, gdy telefonują do Buchwałdu, że ma być w Komitecie, który będzie witać Paderewskiego w Gdańsku. Potem Paderewski pochwali wiktuały przywiezione na tę okazję z Telkwi i Buchwałdu...

Przepis Sienkiewicza

A jeśli już jesteśmy przy wątku gastronomicznym – Chełkowska we fragmencie wspomnień o Henryku Sienkiewiczu, drukowanym w dwóch numerach Gazety Jarocińskiej na przełomie 1931/1932 roku, pisze o wspólnej wycieczce

parowcem na Hel. *Pisarz użalał się na brak kawy w całych Niemczech – a mianowicie w „badach” nadmorskich. „Zobaczycie - na Heli dadzą nam kawę z rybich oczu” – mówił – patrząc na rozwieszone setki fląder i innych ryb morskich. Mojej matce dawał przepisy i rady dobierania gatunków ziaren i przyrządzania ulubionej czarnej kawy, której, pisząc noc całą – musiał mieć zawsze pełne filiżanki. Wszystkie te rady matka moja wiernie zapamiętała – toteż takiej dobrej kawy jak u niej, nie było nigdzie. Mawiała zawsze, że to pamiątka po Sienkiewiczu.*

Ojciec Marii przygotowywał pobyt Litwosa nad morzem i był jego przewodnikiem między innymi po Malborku w 1888 roku. Pisarz przyjechał z dwojgiem dzieci i teściową – próbował znaleźć ukojenie po stracie żony.

W latach 20. ub. stulecia w majątkach telkwickim i buchwałdzkim osiadł syn Marii Chełkowskiej, Franciszek. Miał głowę nabitą wiedzą teoretyczną, chciał prowadzić nowoczesną – jak dziadek Teodor Donimirski - gospodarkę. Popadł jednak w pułapkę kredytową. W efekcie majątki zostały zlicytowane w 1929 roku. Chełkowscy przenieśli się wtedy do Polski – w Poznańskie. W Telkwicach przyszedł na świat ich syn August, który został w 1991 roku marszałkiem Senatu. Duch dziejów jakoś jednak dał o sobie symbolicznie znać.

Po drugiej wojnie światowej dobiegająca siedemdziesiątki Maria Chełkowska wróciła z mężem do rodzinnych Telkwic. W kampanii wrześniowej straciła dwóch synów, Niemcy wysiedlili rodzinę ze Śmiełowa, w powstaniu warszawskim zginęły jej dwie córki i wnuczka. Potem władza ludowa nie zamierzała oddawać zabranego przez Niemców pałacu... Jako autochtonka dostała w Telkwicach 12 hektarów ziemi, zamieszkała w dawnym dworku. Ale nie dawała już sobie rady. Sprzedała dworek i ziemię miejscowym – rodzinie Neumannów, którzy jej pomagali w gospodarstwie. Ta piękna postać nie jest szerzej znana na Powiślu, dlatego i ten fragment...

Duch Łętowskiego

Nawet ktoś bardzo dobrze obeznany z literaturą niewiele potrafi powiedzieć o towarzyszu podróży Andriollego, Julianie Łętowskim. Wiadomo z tekstu *Z wycieczki...*, że był gościem Donimirskich w Buchwałdzie przynajmniej dwukrotnie. W ogrodowej altanie nad czymś pracował. Podczas wycieczki do Starego Targu Andriolli sugerował, że Łętowski powinien wykorzystać w prozie postać Marcina Kikuta, owego „kwadratowego człowieka”. Nie wiem, czy gdzieś to zrobił. Pewnie nie. Zmarł w 1897 roku, a po zbiorze nowel *Nowocześni bohaterowie* (1888) odszedł od realizmu, prawdy do idyllicznych sielanek.

Już pośmiertnie wydano nakładem rodziny tomik Łętowskiego Sonety i ghazele, zadedykowany matce poety. Zawiera głównie erotyki, jest też kilka motywów morskich. W tomiku znalazła się adnotacja, że utwory pisane były w Ja-

starni, we wrześniu 1894 roku (czy wtedy zajął się pisarstwo także do Buchwałdu?). Ale czy na pewno wszystkie wiersze zebrane w tej 60-stronicowej książeczce powstały nad morzem? Przeczytajmy „Dom błogosławiony”:

*Od południa, pod ścianą, krzewy winogrodu.
Z niemi cichy spór wiedzie o słońce morela.
Przed oknami świerk młody ku niebiosom strzela -
A nad drogą dąb stary szemrze obok sadu...
Walki, jeśli tu były, już z nich nie ma śladu —
Wewnątrz dom cały pełen cichego wesela;
Ledwieś wszedł — już witają w tobie przyjaciela -
Ledwieś spoczął — upaja cię ten obraz ładu...
Spojrzyś smutniej — gospodarz troskę twoją łowi
I pyta: coś utracił na życia rozłogu? —
I milknie, gdy wędrowiec nic mu nie odpowie...
A gdy żegnasz się z tymi ludźmi, tam, u progu,
Szepczesz, chcąc nie chcąc: „Pokój takiemu domowi”
I gdyś grzeszny, polecasz duszę swoją Bogu!*

Czy ten wiersz nie powstał przypadkiem w altance ogrodu Janostwa Donimskich w Buchwałdzie? W dowód wdzięczności. A jeśli nie – to z pewnością powinien...

Krętymi nieco ścieżkami wracamy do Andriollego. *Z wycieczki nad Morze Bałtyckie* to cenny przyczynek do obrazu ziemi sztumskiej. Autor, niczym wytrawny reporter, ciekawy jest ludzi i ich problemów. W kilku miejscach oddaje głos swoim bohaterom (np. rozmowa z Marcinem Kikutem z banku w Starym Targu). Ciągłe ma świadomość, że bardziej szkicuje rzeczywistość niż ją maluje. Podkreśla więc, że musi tu przyjechać na dłużej, „I bez tego szalonego pośpiechu przyjrzeć się całemu światu i okolicy”. Nie było mu to dane.

XXX



Michał Elwiro Andriolli urodził się w 1836 roku w Wilnie. Jego ojciec z pochodzenia Włoch, był kapitanem wojsk napoleońskich, który przybył na Litwę w 1812 roku, zajmował się rzeźbą, konserwacją zabytków i malowaniem obrazów kościelnych. W latach 1855-1858 studiował w Moskiewskiej Szkole Malarstwa i Rzeźby oraz w Cesarzowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu oraz Akademii św. Łukasza w Rzymie.

Wziął udział w Powstaniu Styczniowym. Ranny w bitwie pod Dubiechanami musiał się ukrywać. Aresztowany, uciekł z więzienia i uciekł do Anglii. Jako emisariusz Komitetu Emigracji Polskiej powrócił do kraju i w wyniku zdrady został zatrzymany. W 1868 roku wyrokiem sądu wojskowego Andriolli został skazany na 15 lat robót katorżniczych z pozbawieniem wszelkich praw. W końcu wyrok zmieniono na zesłanie do Wiatki (obecnie Kirow, centralna Rosja), gdzie udzielał lekcji rysunku, malował portrety i obrazy religijne.

W 1871 roku w wyniku amnestii Andriolli powrócił do kraju, gdzie dzięki pomocy przyjaciół zaczął umieszczać swoje rysunki w popularnych warszawskich pismach - "Tygodniku Ilustrowanym", "Wieńcu" i w "Kłosach". Andriolli ilustrował także utwory literackie Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Orzeszkowej i innych. Szybko zdobył popularność. W 1879 roku lwowski wydawca Herman Altenberg zwrócił się do Andriollego z propozycją zilustrowania przez niego "Pana Tadeusza". W 1881 roku ukazało się ilustrowane wydanie eposu narodowej, najpierw w formie oddzielnych zeszytów, a potem pięknie oprawionego albumu. Artysta wyjechał na kilka lat do Paryża, gdzie zdobył również rozgłos jako ilustrator. Malował też obrazy, m.in. dla kościołów w Kownie. Po powrocie do kraju postanowił wykonać ilustracje do ważniejszych dzieł Mickiewicza. Ilustracje do "Dziadów" nie ukazały się jednak, a kartony do "Konrada Wallenroda" wystawił, ze względu na cenzurę, w swojej pracowni.

Zmarł 23 sierpnia 1893 roku w zakładzie leczniczym w Nałęczowie i został pochowany na tamtejszym cmentarzu. Pozostawił po sobie tysiące prac: rysunków, obrazów, szkiców.

Bogumił Wiśniewski

Odkrywanie tajemnic krzyżackiej nekropolii w Kwidzynie

Prace archeologiczne w kwidzyńskiej Katedrze rozpoczęły się w 2006 r. od zeskanowania georadarem powierzchni świątyni. Dzięki poparciu ks. proboszcza Ignacego Najmowicza oraz przychylności burmistrza Kwidzyna Andrzeja Krzysztofiaka oraz radnych, mogliśmy przeprowadzić badania na szeroka skalę. Badania nadzorował dr Antoni Pawłowski, a od strony samorządu miejskiego piszący te słowa. W prace poszukiwania grobu Błogosławionej Doroty oraz krypty wielkich mistrzów krzyżackich, zaangażowało się również pismo „Odkrywca” oraz Stowarzyszenie „Perkun”. Przystępując do badań nie wiedzieliśmy, w którym miejscu katedry znajdują się krypty. Źródła pisane, freski dostojników na górnym kościele podpowiadały, że groby mogą znajdować się w prezbiterium kościoła. Prezbiterium katedry - to wyjątkowe miejsce, w którym jak się okazało chowano biskupów pomezańskich, bł. Dorotę oraz wielkich mistrzów krzyżackich. (Krantz-Domasłowska L. 1999).

Kim były poszukiwane przez nas osoby?

Werner von Orseln, decyzją kapituły generalnej został wybrany w 1324 roku wielkim mistrzem. Dał się poznać jako reformator Zakonu. Wprowadził nowe statuty na mocy, których podniósł życie religijne, dyscyplinę wewnętrzną oraz sprawność wojskową współbraci. Być może przez te działania reformatorskie, które podjął został zamordowany w Malborku przez brata Endorfa dnia 18 listopada 1330 roku.

Ludolf Koenig von Wattzau został wybrany wielkim mistrzem w 1341 roku. Zasłynął z nieudanej wyprawy na Litwę w 1345 roku, w której brali udział królowie Węgier Karol Robert oraz Czech Jan Luksemburski, z synem, przyszłym cesarzem Karolem IV. Najprawdopodobniej w wyniku nieudanej krucjaty musiał pożegnać się z władzą. Złożył rezygnację z urzędu wielkiego mistrza w 1345 roku. Zmarł 1348 roku. Z przekazów wiemy, że popadł przed śmiercią w głęboką depresję.

Henryka von Plauena znamy z brawurowej obrony Malborka przed wojskami polskimi w 1410 roku. De facto dzięki niemu Zakon dalej mógł funkcjonować na arenie międzynarodowej. Nie pełnił długo funkcji wielkiego mistrza, bo w 1414 roku został pozbawiony urzędu i uwięziony na długie lata za zdradę. Zmarł w 1429 roku. (Czaja R., 2009).

Natomiast co wiemy o życiu i śmierci Błogosławionej Doroty w Kwidzynie. Wiadomo że, za namową spowiednika Mikołaja z Pszczółek bł. Dorota udała się z Gdańska do Kwidzyna. Przybyła tu 30 września 1391 r. w celu spotkania się z najwybitniejszym ówczesnym teologiem krzyżackim Janem z Marienwerder (1343–1417) (Wiśniewski J. 1996, 123). Na prośbę Doroty i dzięki wsparciu teologa 2 maja 1393 roku przyszłą błogosławioną zamurowano w zbudowanej specjalnie dla niej celi. Przez zakratowane okno przynoszono Dorocie komunię oraz pokarm. 26 czerwca 1394 r., wyczerpana niezwykle ascezą, Dorota zmarła, mając 47 lat. (Wiśniewski J. 1996, 123–124). Ciało w 18 tygodniu po jej śmierci przeniesiono do krypty katedralnej (Hochleitner J., 1997, 45). W 1396 r. z inicjatywy kapituły katedralnej wybudowano przy grobie błogosławionej drugi ołtarz pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Odprawiano przy nim nabożeństwa za jej rychłą beatyfikację. Przy grobie ustawiono przyozdobioną misterną żelazną kratę i srebrny świecznik ze złoconymi (Krantz, Domasłowski 1982, 62; Borzyszkowski M. 1984, 26).

Niezakłócony kult przy grobie rekluzy trwał do czasów protestanckiego biskupa Pawła Separatusa (1530–1551), który w 1544 r. nakazał usunąć kratę przy grobie Doroty i jednocześnie zakazał jej kultu w Prusach (Borzyszkowski M. 1984, 27). Protestanci bowiem nie uznawali relikwii. Do dzisiaj nie wiadomo, co się stało ze szczątkami błogosławionej. Wiele jest na ten temat teorii. Jedna z nich mówi, że przyszła błogosławiona została usunięta z kościoła katedralnego. Co ciekawe, wcześniej - Zygmunt III Waza, postanowił również odszukać grób bł. Doroty z Mątów w katedrze. W tym celu posłał do Kwidzyna o. Fryderyka Szembeka i o. Kryspina, jezuitów z Torunia, aby odnaleźli i przywieźli szczątki rekluzy do Torunia. Niestety i w tamtym okresie, prowadzone przez zakonników poszukiwania Doroty w kwidzyńskiej katedrze, nie dały oczekiwanego rezultatu (Borzyszkowski M. 1984, 27). Wiemy tylko, że Ojciec Kryspin w 1621 r. wymontował z celi jedynie tablicę kamienną i wywiózł ją do Polski. Do dzisiaj nie wiadomo, do którego kościoła trafiła. Jedynie ci dwaj duchowni poszukiwacze - przywieźli do Torunia, parę cegieł i kamieni z celi bł. Doroty. (Hochleitner 1997, 55).

Wcześniej do kwidzyńskiej pustelnicy przybył również w 1410 roku, król Władysław Jagiełło. Jak podaje Długosz - aby odmówić święte pacierze za kwidzyńską świętą. (Samsonowicz H. (red.) 1984) Natomiast poeta Adam Mickiewicz w poetyckiej powieści- „Konradzie Wallenrodzie”, zamienia imię Doroty na Aldonę, opisując w książce jej cierpienia i wizje. W 1976 roku papież Paweł VI podpisał dekret stwierdzający heroiczną śmierć życia Doroty z Mątów oraz istnienie jej kultu od niepamiętnych czasów. Było to jednoznaczne z aktem beatyfikacji. O randze kwidzyńskiej błogosławionej świadczy także homilia wy-

głoszona na jej temat przez Kardynała Józefa Ratzingera w 1979 roku. (Ratzinger J. 1979). W 1999 roku ówczesny kardynał modlił się w intencji Doroty w kwidzyńskiej katedrze.

Dopiero wyniki badań z 2007 roku przemawiają, że odnaleziona pusta krypta ceglano - kamienna mogła należeć do grobu błogosławionej. Krypta zlokalizowana była w południowej stronie prezbiterium w dawnej salce katechetycznej i scalona została z drugą ceglaną kryptą, w której zostały odkryte trzy szkielety o cechach anatomicznych męskich.

Dopiero wyniki badań interdyscyplinarnych potwierdziły, iż mamy do czynienia ze szkieletami trzech wielkich mistrzów krzyżackich Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie: Wenera von Orseln, Ludolfa Koenig von Wattzau, oraz Henryka von Plauen. (M. Grupa, T. Kozłowski 2009, Cybulski R. 2008). Naukowcy sugerują, że mistrzów zakonnych pochowano w Kwidzynie, gdyż w Malborku nie było dla nich jeszcze odpowiedniego miejsca, choć trudno jednoznacznie stwierdzić czy była to rzeczywista i jedyna motywacja.

Jak wcześniej wspomniałem - na górnym kościele, zachowały się do naszych czasów bardzo ciekawe i pomocne w badaniach freski dostojników zakonnych. Oprócz biskupów pomezkańskich są również namalowani trzech mistrzowie krzyżacy. Freski powstały najprawdopodobniej za czasów świątłego biskupa pomezkańskiego Hioba von Dobenecka (1501–1521), również brata zakonu krzyżackiego, który musiał wiedzieć - zlecając ich wykonanie, kto spoczywa w katedralnej krypcie. Wykopalka potwierdziły, że biskup miał rację, więcej - freski pokrywały się z miejscem pochówku trzech mistrzów.

Przystępując do badań nie było pewności, co zastaniemy pod posadzką (Majda J., 2006 s.5). Julian Ursyn Niemcewicz w książce pt. „Podróże historyczne po ziemiach polskich, między rokiem 1811 a 1828 odbyte” opisał niecodzienną historię, którą sam naocznie doświadczył: „Kwidzyn, miasto opasane murami, z pięknym gotyckim kościołem, gdzie się niegdyś mistrzowie krzyżacy chowali. Niepozostały już i szczątki ich prochów; potężne nawet flizy co przykrywały trumny, na których gotyckimi literami czytano wyryte ich nazwiska i czyny rycerskie, ogromne mówię te kamienie widziałem wyjęte z miejsca, połamane w sztuki i stosami składane” (...) „I gdzież są ci wszyscy bitni książęta rycerze? Ziemia nawet nieprzykrywa ich kości! Wyrzuceni z trumien, a wiatry prochy ich na wszystkie strony rozwiały!”. Jednak ten drastyczny opis nie potwierdził się. Badania w 2007 roku, wykazały, że jednak są pochówki w prezbiterium katedry.



Trumna Werner von Orseln
(fot. B. Wiśniewski)



Trumna von Plauena
(fot. B. Wiśniewski)

W wykopie III/07 pod warstwą spiaszczonej próchnicy i gruzu ceglanego, na głębokości ok. 40 cm poniżej legarów drewnianej podłogi, natrafiliśmy na koronę dwóch krypt. Krypta północna w partii górnej miała pierwotnie wybudowaną kolebkę sklepienną, druga krypta południowa - nie miała sklepienia i była pusta. Krypta północna zawierała w sobie trzy pochówki. Miała pierwotnie ok. 3,25 m długości i ok. 1,3 m szerokości. Komora została wybudowana niestarannie, co świadczy o pośpiechu wykonania przez murarzy. Pierwotne wejście do krypty znajdowało się najprawdopodobniej od strony korpusu katedry w części zachodniej. Partie ścian i posadzki we wnętrzu krypty północnej, zostały wykonane z cegieł palcówek. Pierwotna wysokość krypty wynosiła w strzałce łuku ok. 1,8 m, a przy oporze sklepienia ok. 1,2 m. Odkryte trumny wykonane były z obciosanych toporem dranic sosnowych. Szczyty były łączone ze ścianami bocznymi na wpusty i kołki drewniane. W trumnach znajdowały się szkielety męskie.

Wiek pierwszej trumny zapadło się do środka z powodu naporu cegieł spadających z kolebki krypty. W trumnie znajdowała się zapinka brązowa, a także fragmenty tkanin. W wnętrzu brakowało czaszki, którą później odnaleziono na posadzce krypty. Po wyeksplorowaniu pierwszego pochówku, tzw. nad trumną północną - przystąpiono do otwarcia pozostałych trumien, które były zlokalizowane po stronie północnej oraz południowej krypty. Dwie dolne trumny również zostały uszkodzone przez napór cegieł ze sklepienia krypty. Ich wieka jak w poprzedniej - były zapadnięte do środka. Dwa odkryte szkielety były prawie kompletne. Przy szkieletcie w trumnie północnej w okolicach klatki piersiowej, odsłonięto bardzo dużą ilość fragmentów tkanin jedwabnych. I co ciekawe, trumna była odwrócona dnem do góry. Wiek trumny spoczywało na posadzce krypty, natomiast dno trumny stanowiło podstawę pochówku nad trumną pół-

nocną. W pozostałym pochówku po stronie południowej krypty, w obrębie bioder i klatki piersiowej, zachowały się liczne fragmenty tkanin, tasiemek oraz dwie brązowe sprzączki do spięcia szat oraz fragmenty skózanego obuwia.

Po stronie południowej prezbiterium katedry, odkryto piec giserski, wykonany z kamieni polnych do przekuwania kęsów żużla żelaznego, pochodzący najprawdopodobniej sprzed budowy obecnego kościoła. Korona pieca bezpośrednio wchodzi pod fundament prezbiterium, tworząc wspólnie z innymi otoczkami ławę fundamentową.

W 2007 roku odkryto również pochówki biskupie. Szkielety nie były kompletne. W dwóch przypadkach szczątki biskupów były pochowane wtórnie. Świadczą o tym małe skrzyneczki drewniane, w których znalazły się kości. Dwa pozostałe pochówki były pozbawione trumien, jedynie jeden z nich spoczywał na desce drewnianej. (Wiśniewski B. 2008)

Pod koniec lipca 2010 roku zostanie otwarta kaplica grobowa wielkich mistrzów krzyżackich. Będzie można w niej zobaczyć odtworzone pochówki dostojników zakonu oraz wydobyte artefakty z wykopalisk archeologicznych przeprowadzonych w 2006 – 2008 roku. Na uroczystości ma się pojawić między innymi obecnie pełniący obowiązki wielkiego mistrza krzyżackiego ks. dr Brunon Platter. Zakon Niemiecki, bezpośredni spadkobierca Krzyżaków istnieje bowiem do dziś. Siedzibą Zakonu jest Wiedeń. Zakon składa się z czterech gałęzi: braci zakonnych - kapłanów (ojców) i nie-kapłanów składających śluby zakonne, księży oblatów (księża nie składających ślubów), sióstr zakonnych (składających śluby zakonne), oraz familiares - familiarów - przynależących do zakonu osób świeckich i duchownych diecezjalnych. Obecnie do Zakonu Niemieckiego



Jedna ze znalezionych zapinek wielkiego mistrza (fot. B. Wiśniewski)



Autor na tle odkrytych krypt (fot. z archiwum B. Wisniewskiego)

należy 87 braci - 66 ojców, 11 braci - bez świeceń kapłańskich (w tym klerycy), 9 oblatów, 154 sióstr zakonnych oraz około 750 familiarów. Współczesna reguła Zakonu Niemieckiego oparta jest na zasadach augustiańskich i dlatego członkowie Zakonu Niemieckiego są zaliczani do grupy Kanoników Regularnych.

Literatura

- ks. Borzyszkowski M., Błogosławiona Dorota z Mątówów, Olsztyn 1984.
- Cybulski R., Bracia Werner, Ludolf, Henryk, Kurier Powiatu Kwidzyńskiego, 19 grudnia 2008.
- Grupa M. Kozłowski T., Katedra w Kwidzynie – tajemnica krypt, Kwidzyn 2009.
- Czaja R., Pochówki wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego w katedrze w Kwidzynie w świetle źródeł pisanych.
- Hochleitner J., Głębia zaufania, Elbląg 1997.
- Krantz L., Domasłowski J., Katedra i zamek w Kwidzynie, Wrocław–Toruń–Gdańsk 1982.
- Krantz-Domasłowska L., Katedra w Kwidzynie, Toruń 1999.
- Majda J., Trzy rozmowy, trzy wymiary, Kurier Powiatu Kwidzyńskiego, 21 lipca 2006.
- Niemcewicz J. U., Podróże historyczne po ziemiach polskich, między rokiem 1811 a 1828 odbyte, Paryż 1859.
- Ratzinger J., Drogi ku wnętrzu – Święta Dorota z Mątówów, Biuro Prasowe Archidiecezji Monachium i Freising, München 1979.
- Samsonowicz H. (red.), Polska Jana Długosza, Warszawa 1984.
- Wiśniewski B., Sprawozdanie – Badania archeologiczne w katedrze kwidzyńskiej pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty w latach 2006—2008, Gdańsk 2008.
- ks. Wiśniewski J., Pomezania z dziejów kościelnych, Elbląg 1996.

Piotr Podlewski

Dwory ziemiańskie Dolnego Powiśla

Czernin (Hohendorf)

We wsi zachował się dwór z parkiem oraz budynki dawnego folwarku. Nazwa Czernynen pojawiła się po raz pierwszy w 1295 roku w przywileju dla wsi Postolin. Kompleks dóbr czernińskich obejmował również Ramzy Wielkie i Małe, gdzie na początku XV wieku mieszkali „Jacob” i „Clauco” oraz majątek w pobliskich Kątkach. Udokumentowana historia Kątek sięga 1345 r., kiedy to wymieniony został ówczesny jego właściciel, Klaus von dem Kante, od którego miana pochodzi nazwa wsi. Przed 1626 r. majątek w Kątkach został podzielony na dwie części, a granicę stanowił głęboki rów. Zachował się tutaj dwór mocno przebudowany oraz budynek gospodarczy, dawna stajnia. Ciekawostką jest kamień, zwany „diabelskim” znajdujący się za dworem.



„Diabelski kamień” w Kątkach.
(Fot. P. Podlewski).

W 1440 r. dobra czernińskie znalazły się w posiadaniu Hansa von Osterode, a następnie, na początku XVI w. rodziny von Brandt, która dzieliła się na dwie linie: von Hohendorf i von Kontken. Znanym z Brantów czernińskich był Ahasverus (+ 1560), dyplomata, członek w Radzie Księcia Albrechta Hohenzollerna, znany z licznych poselstw między innymi do cesarza i króla polskiego. Po Brantach dobra przejmują w 1648 r. Szeliscy, w 1788 Kczewscy, następnie radca wojenny króla Prus Schlemmer, który mrocznie zapisał się w pamięci przedwojennych mieszkańców Czernina dzięki masonskim praktykom. Majątek posiadał w dalszej kolejności von Haiński, a w 1810 roku rodzina von Puttkamer.

Kłęska dosięgnęła dobra czernińskie w latach 1768 – 1772, kiedy to w czasie konfederacji barskiej stacjonujące na tych terenach oddziały carskie obrabowały i zdewastowały dwory i okolice. W Kątkach Rosjanie wycieli nawet część lasów.

Około roku 1840 Czernin i Ramzy przejęła rodzina Donimirskich, która przybyła na te tereny z Donimierza. Zapisła się ona trwale w historii regionu w związku z nieugiętą postawą patriotyczną w czasach prześladowań Polaków przez nazistów. Ostatni z Donimirskich, zarządzający Czerninem, Witold został zamordowany w obozie w Sachsenhausen 6 grudnia 1939 r.



Widok na dwór w Czerninie.
(fot. P. Podlewski)

Po II wojnie światowej pałac czerniński został zajęty przez PGR i mocno zdewastowany. Obecnie znajduje się w rękach prywatnych. Budynek zachował barokowy charakter bryły. Został zbudowany w XVII wieku, prawdopodobnie przez rodzinę Szeliskich, przebudowany na przełomie XIX i XX wieku. Czasy świetności dworu przypominają dziś jedynie, bogato rzeźbio-

ne barokowe schody. Za pałacem znajduje się park dworski ze zniszczoną kaplicą rodziny Donimirskich, wybudowaną dla tragicznie zmarłego Wacława Donimirskiego.

Waplewo Wielkie (Gross Waplitz)

W miejscowości Waplewo Wielkie znajduje się największy dwór (o cechach pałacowych) na Ziemi Sztumskiej otoczony parkiem. Bogata historia i stylowe budowle sprawiają, że warto odwiedzić to miejsce i zachwycić się nastrojem oraz architekturą.

Historia tego miejsca sięga początku XIV wieku. W tym to czasie mistrz krajowy Zakonu Krzyżackiego Konrad Sack nadał Prusowi Thessym dobra stanowiące m. in. kompleks późniejszych dóbr waplewskich. W 1323 roku potomkowie Thessyma - Głabuno i Wappel otrzymali odnowienie przywileju od Fryderyka Wildenberga na zamku w Dzierzgoniu. W zamian zobowiązani zostali do stawiania się zbrojnie, w lekkiej zbroi w czasach zagrożeń. Wappel osiadł w Waplewie i od jego imienia pochodzi nazwa wsi. W XV-wiecznych aktach istnieje Segenanda von Wapils, rycerz Zakonu Krzyżackiego, znany z działalności dyplomatycznej i politycznej. W drugiej połowie XV wieku dobra przejęła pochodząca z Miśni rodzina Rabe. Anzelm Rabe pochowany został w kościele w Starym Targu, gdzie do dziś znajduje się jego płyta nagrobna przedstawiająca go w pełnej zbroi. Następnie Waplewo przeszło w ręce Cemów, a po nich w Gildensternów.

W dalszych latach Niemojowski sprzedał w roku 1641 Waplewo wraz z okolicznymi miejscowościami kasztelanowi gdańskiemu i wojewodzie parnawskiemu- Janowi Zawadzkiemu herbu Rogala za cenę 78 tys. złp. Zawadzki w następnych latach zrealizował plan scalenia dóbr waplewskich i postawił murowany dwór, który w swym obrysie zachował się do dnia dzisiejszego.

W Waplewie przyszedł na świat Kazimierz Zawadzki poseł na sejm, postać znana w całej Rzeczypospolitej nie tylko ze swych bezkompromisowych publikacji i przyjaźni z królem Janem III Sobieskim, ale i z awantur tak charakterystycznych dla XVII-wiecznej szlachty. Miał on na swoje zawołanie własnych rajtarów i dragonów, na czele których nie raz dowodził swych praw siejąc postrach w Prusach Królewskich. Kolejnymi właścicielami byli Chelstowscy i Bagniewscy.



Widok na dwór w Waplewie od strony wjazdu
(fot. P. Podlewski)

W XVIII wieku dobra waplewskie odziedziczyła rodzina Sierakowskich. Hrabia Alfons Sierakowski wraz z rodziną doprowadzili majątek do kwitącego stanu. W 1888 r. rozbudował dwór, nadając mu cechy założenia pałacowego. Wcześniej, bowiem w ostatniej ćwierci XVIII w., powstał obok pałacu park angielski w stylu krajobrazowym, z szpalerem lipowym usytuowanym na przedłużeniu osi dworu. Wnętrza dworu stały się prawdziwą skarbnicą sztuki. Ściany zdobiły portrety rodzinne i postaci historycznych, płótna mistrzów flamandzkich, włoskich i niemieckich. Jeden z obrazów, przedstawiający św. Krzysztofa posiadał monogram Albrechta Dürera. W jednym z pokoi znajdował się zbiór broni pochodzącej z różnych zakątków świata, przywiezione osobiście przez hrabiego.

Obok parku dworskiego wznosi się do tej pory kaplica, której największą ozdobą jest średniowieczna figura Matki Bożej pochodząca z głównego ołtarza Bazyliki Panny Maryi w Gdańsku. Pod posadzką kaplicy spoczywają członkowie rodziny Sierakowskich.

Pod koniec XIX wieku majątkiem zarządzał hrabia Adam Sierakowski, szambelan króla Prus Wilhelm II Hohenzollerna. Sierakowscy utrzymali majątek waplewski do II wojny światowej, kiedy to Stanisław Sierakowski, ostatni z Sierakowskich zarządzających Waplewem, prezes Związku Polaków w Niemczech został bestialsko zamordowany przez Niemców. Po wojnie dwór przeszedł na własność Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej.

Zabytek został zbudowany na planie prostokąta. Do dłuższego boku od strony wschodniej dostawiono dwa skrzydła w formie alkierzy. Od frontu dwór sprawia wrażenie skromnego, parterowego budynku z ryzalitem pośrodku i dwoma niższymi skrzydłami bocznymi. Natomiast tylna część po przebudowie w stylu



Założenie dworskie w Waplewie od strony parku. (fot. P. Podlewski)

neoklasycznym nabrała cech antycznej budowli. Nadbudowane piętro zwieńczone zostało trójkątnym naczółkiem wspartym na smukłych kolumnach kryjących balkon. Dziś we dworze powstaje muzeum kultury szlacheckiej.

Stążki (Stangenberg)

Dwór w Stążkach obecny wygląd, stylizowany na włoski renesans uzyskał po przebudowie, która miała miejsce w roku 1866. Otynkowany dwór posiada od strony frontowej wieżę oraz arkadowy podjazd.



Dwór w Stążkach. Widok od strony frontowej.
(fot. Sz. Okrój)

Historia tego miejsca jest jednak o wiele starsza, sięgająca czasów średniowiecza. Warta jest uwagi.

Wieś Stążki znajduje się na południowym krańcu ziemi sztumskiej, pomiędzy jeziorami Balewskim i Dzierzgońskim. Nazwa Stangenberg pojawiła się po raz pierwszy w dokumencie z 10 kwietnia 1285 r., dotyczącego dóbr Rodau - Dakaeur (rodowsko - gdakowskich). W tym dniu przybyły z Miśni rycerz Dietrich Stange zawarł

umowę z kapitułą pomezańską w Kwidzynie. Otrzymał znaczne ziemie od kapituły w zamian za rezygnację z dotychczasowego zarządu dominium biskupim. Kapituła w zamian za 50 grzywien długu oddała także Dietrichowi 50 włók ziemi w Gdakowie i Rodowie mierzonych w kierunku Stangenbergu. Tym negocjacjom pośredniczył mistrz krajowy zakonu krzyżackiego Konrad von Tyrberch. Dwa tygodnie później 26 kwietnia ten sam mistrz krajowy nadał Dietrichowi Stange w Elblągu w dziedziczne posiadanie, według prawa chełmińskiego „castrum Stangenberg” wraz ze 100 włókami i jeziorem Balewskim. Ten zapis świadczy o istnieniu w Stążkach zamku, który Dietrich Stango wybudował w latach 1275 – 1277 na miejscu grodu pruskiego. Nazwał go swoim nazwiskiem - Stangenberg i uczynił stolicą rozległych włości. Dietrich Stange przybył do Prus w ramach akcji kolonizacyjnej Pomezanii organizowanej przez Krzyżaków, którzy powierzali przybyłym rycerzom zagospodarowanie tych terenów. Prędzej podczas powstań pruskich zarządzał grodem kwidzyńskim i bronił go przed atakami Prusów w latach 1260 – 1273.

Za dworem wznosi się dawne wzgórze zamkowe porośnięte starodrzewem. Od dworu oddziela je wąwóz, dalej otacza je dawna rzeka młyńska oraz staw. Wzgórze jest najlepiej dostępne od strony południowej. W XIX wieku prowadzono w tym miejscu prace archeologiczne. Znaleziono wtedy skorupy garnków oraz fragmenty wałów. Ciekawym znaleziskiem były niewątpliwie ostrogi ry-

cerskie z czasów krzyżackich. Zamek zbudowano prawdopodobnie jako założenie o konstrukcji drewniano-ziemnej, możliwe, że także z elementami architektury murowanej. Na pewno w obrębie wałów znajdował się budynek mieszkalny - domostwo Dietricha, a także stajnie i budynki gospodarcze. Wały mogły wzmacniać typowe dla warowni z tego okresu podboju Prus drewniane wieże.



Stążki. Miejsce w którym przed wiekami stał zamek Stangenberk. (fot. P. Podlewski)

Dietrich Stango zmarł ok. roku 1313. Jego spadkobiercy wybudowali istniejący do dzisiaj dwór, a zamek opuścili. Drewniano - ziemna warownia stała się mieszkaniem zapewne dość prymitywnym. W dokumencie z 1453 r. wymieniony jest już sam dwór z wsią. Zachowany zabytek, posiada ślady swojej pierwotnej, średniowiecznej architektury w postaci gotyckiej piwnicy datowanej na XIV w., znajdującej się w części wschodniej budowli. Piwnica składa się z dwóch pomieszczeń i posiada sklepienia: krzyżowe i beczkowe.

Średniowieczny dwór zniszczyli Szwedzi podczas „potopu”. Do dnia dzisiejszego zachowały się jeszcze zdobnicze motywy wykonane z terakoty, pochodzące z lat późniejszych.

Kolejnymi właścicielami Stążek byli w XV w. Bażyńscy, po nich Kostkowie, następnie dobra Stangenberk przeszły w ręce rodu Schack von Wittenau. Przedstawiciel tego rodu Albrecht Schack von Wittenau wybudował na wschodnim stoku pagórka w 1676 r. kolejny, reprezentacyjny dwór, charakteryzujący się wyśmienitym wyposażeniem wewnątrz. Dwór ten został niestety zniszczony podczas II wojny światowej.

Pod koniec XVIII w. Stążki przeszły w ręce niemieckiego rodu Rittbergów. W 1874 roku zarządzał majątkiem Heinrich Graf von Rittberg, a następnie rodzina von Goltz. W 1913 roku dobra należą do majora Grafa von Rittberg, w 1914 roku do nadinspektora Faßmann, a w 1945 roku do gospodarza ze Stążek Regnera. Po II wojnie światowej majątek zamieniono na PGR. Obecnie znajduje się w rękach Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa.

Tropy Sztumskie (Troop, Trupy)



Dwór w Tropach. (fot. P. Podlewski)

Za czasów pruskich znajdował się tutaj gród warowny. W roku 1267, kiedy to Prusowie pomezkańscy przyjęli chrzest gród obległo pruskie plemię Pogezan. Od oblężenia odstąpili w momencie kiedy przybyły na odsiecz grodowi wojska krzyżackie. Atak Krzyżaków był tak gwałtowny, że oblegający fortyfikację Prusowie uciekli z placu boju, a wódz ich zginął.

Po roku 1773 w Tropach znajdowały się dwa folwarki, jeden chełmiński o powierzchni 5 włók, a drugi emfiteutyczny, utworzony zapewne po reformie przeprowadzonej w 1775 r., polegającej na wydzierżawieniu dawnych królewskich czyn na 50 lat celem zwiększenia dochodów państwa. Oba majątki posiadał jako dożywotnie tenuty Tomasz Grąbczewski, miecznik ziemi pruskiej. Przed Grąbczewskim majątek chełmiński posiadali Hutten – Czapscy. Drugi folwark stał przez dłuższy czas pusty, dopóki okoliczni gburzy nie podzielili go między siebie.

W 1682 roku dziedziczył go już jednak Jacek Bąkowski, a po nim wspomniany Grąbczewski. W 1874 roku zamieszkuje dwór Gustav Päsler, a od 1904 roku dobra przejęli Donimirscy z Buchwałdu (Bukowa). W 1934 roku dworem i folwarkiem zarządzał Paul Thimm, w 1945 roku August Hartel z Trankwic. Obecnie dwór pełni funkcję mieszkalną.

Telkwice (Telkwitz)

Dobra rycerskie w Telkwicach rozciągały się na przestrzeni 233 ha (211 ha roli, 11 ha łąk). Początki majątku sięgają roku 1303, kiedy to Prusowie Bute i Tulikoyte, wywodzący się od Prusa Kropolto otrzymali od Krzyżaków w Dzierzgoniu przywilej nadający im w dziedzictwie po mieczu i po kądzieli dobra: Azmiten (Telkwice), Rudithen, nazwane w czasach późniejszych Buchwald oraz pole Woze. Na wydzielonym terenie poza wymienionymi miejscowościami znajdowały się wsie Brzozówka, Nowa Wieś, Komorowo i Tulice. W 1454 roku w ostatnich latach swoich rządów na tych terenach Krzyżacy zabrali dobra Michałowi z Buchwałdu i nadali je Fritzowi Lokau. Jako wynagrodzenie za szkody, które poniósł on w służbie Zakonowi. Kiedy majątek znalazł się w granicach Prus

Królewskich Lokau stracił go. W XVI stuleciu pojawia się tutaj rodzina Gablentz. W 1664 roku Anna Magdalena Gablentz zarządzała nimi dożywotnio. Po jej zgonie przejęli dobra Balińscy, a następnie ród Muellern. Jedna przedstawicielka tego rodu wyszła za mąż za Wężyka, a kolejna za Szydłowieckiego co spowodowało przejście całych dóbr buchwaldzkich w XVIII wieku przez Wężyków i Szydłowieckich. W 1742 majątek znajdował się w rękach niejakiego von Unruha, a w 1772 roku szambelana Macieja Grąbczewskiego. W 1804 roku majątek wart 80,000 talarów przejęli Donimirscy. W 1885 roku posiadał dwór Jan Donimirski z Buchwałdu (Bukowa).



Widok na dwór w Telkwicach od strony wjazdu. (fot. P. Podlewski)

Zajezierze (Hintersee)

Dwór i park znajdujący się nad jeziorem Zajezierskim (Sztumskim). Dwór zbudowali Wilczewscy w II połowie. XVIII wieku. Budynek jest parterowy z wystawką na osi i dwoma alkierzami. Całość otoczona została parkiem.

W dokumentach z 1477 r. pojawia się nazwa Sloissthendorf. Forma Zajezierze wystąpiła pierwszy raz w 1592 r. Od 1710 roku używana była jej niemiecka forma Hintersee.

W 1507 roku kupił Zajezierze Ebert z Powierza. Pod koniec XV wieku posiadaczami dworu byli Pomerski i Wenedygerowie, natomiast pod koniec wieku XVI Kostka von Stangenberga. W 1710 dobra zajezierskie mieli w swoim rękach Konopaccy, w 1772 Wilczewski. W tym okresie właścicielami byli również Wałdowski, graf Sierakowski, Szeliski i Wyczechowski. W 1789 roku majątek zapisany został jako dobra szlacheckie z karczmą Lindenkrug, młynem. W pierwszej połowie XIX w. Zajezierze przeszło do rąk Donimirskich. Dziedzic Brochwicz – Donimirski był posłem do parlamentu niemieckiego na powiat sztumsko – kwidzyński wybrany w 1892 r. 8432 głosami przeciw 7330 głosom, które otrzymał jego konkurent Wessel.



Dwór na Zajezierzu z charakterystycznymi alkierzami. Widok od strony frontowej. (fot. A. Opalińska)

W latach swojej świetności na folwarku dworskim hodowano bydło holerderskie i konie wyścigowe oraz wierzchowe. Po 1945 r. zabytek popadł w ruinę. Obecnie odrestaurowany znajduje się w rękach prywatnych.

Zielonki (Grünfelde)

We wsi istnieje dwór z folwarkiem i parkiem dworskim. Dobra Zielonki/Grünfelde istniały już w XIII wieku nadane przez mistrza krajowego Reinharda von Querfurt. Wnuk ówczesnego posiadacza Jacob i jego brat, dnia 31 marca 1316 roku otrzymali nowe potwierdzenie nadania od wielkiego mistrza Luthera von Braunschweig. Podzielono także grunty pomiędzy braci.



Dwór w Zielonkach. (fot. P. Podlewski)

Pod koniec XVI wieku majątek kupił rodzina Cemów, który przeszedł w ręce ich spadkobierców - rodziny Güldenstern. Kolejno dobra przejmowali Łosie, Kretkowscy, Wałdowscy i w 1805 Sierakowscy. Majątek wart był wówczas 70050 talarów.

W latach 1700 – 1800 dobra Grünfelde należały także do następujących rodzin: Chrzastowskich, Bagniewskich, Kruszyńskich, Piwnickich i Zboińskich. Do majątku należały następujące miejscowości: Gintro, Iggeln, Jordanki i Śledziówka (Heringshöft), w której do dziś stoi ciekawy stylowo budynek będący ośrodkiem zarządzania tą częścią majątku.

W 1874 roku majątek posiadał radny okręgu, deputowany na powiat Herrmann Rötteken, a od 1888 roku do około 1906 Franz Strich ze Szrop. W 1910 roku przejął go dzierżawca domeny Robert Suhr z Zielonki, a w 1916 roku pierwszy urzędnik Max Schelling z Jordank. Od roku 1922 dobra posiadał dzierżawca dóbr kościelnych Weisner ze Szrop, w 1934 roku gospodarz rolny Gustav Teschendorf ze Szrop, który zarządzał nim do końca 1945 roku. Dziś dwór i folwark znajduje się w rękach prywatnych.



Dwór w Śledziówce. (fot. P. Podlewski)

Leszek Sarnowski

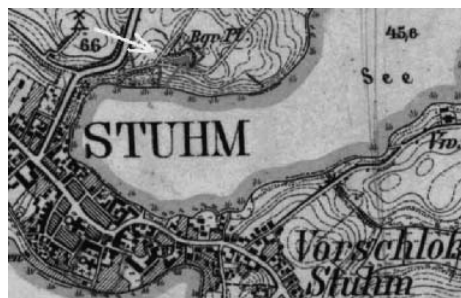
Co się stało z cmentarzem żydowskim w Sztumie czyli „śledztwo” w internecie

To przykład, że historia przywracania pamięci dzieje się na żywo i na różnych płaszczyznach świata realnego i wirtualnego. Zaczęło się w świecie wirtualnym. Forum internetowe Marienburg. Wtorek 6 lutego 2007 roku, godzina 21.45. Nick (po staroświecku - pseudonim) Azaziz, mieszkaniec Malborka, postanowił stworzyć pierwsze forum poświęcone miastu i okolicom oraz jego mieszkańcom. Już z niemieckiej nazwy Forum Marienburg można domniemywać, że istotnym elementem debat i dociekań będzie przeszłość.

Powiem szczerze, że do tej pory jako historyk i dziennikarz byłem dość sceptycznie nastawiony do wszelkich internetowych forów, choć oczywiście z nich korzystałem. Raziła mnie skrótowa forma porozumiewania się i bardzo często dość ubogi język komunikacji, nie mówiąc już o anonimowości wypowiedzi, co w praktyce oznaczało nie tyle brak autorstwa, ale i brak odpowiedzialności za słowo. Forum malborskie, przeczy na szczęście wszelkim tym opiniom. Można by, trawestując jeden z telewizyjnych tytułów, powiedzieć - „Urzekła mnie Twoja historia”, a właściwie historie, bo jest ich wiele. Mnie szczególnie zafascynowała jedna. Historia odkrywania cmentarza żydowskiego w Sztumie, po którym wydawało się, nie tylko mieszkańcom miasta, że nie pozostało żadnych śladów. Akcja rozgrywa się w kilku rzeczywistych i wirtualnych planach- Forum internetowe, Park Miejski w Sztumie, Warszawa, Izrael, Sztokholm.

27 lutego 2007 roku Azaziz po raz pierwszy rzucił na Forum Marienburg hasło, że interesują go losy cmentarzy żydowskich. Odpowiedział mu Hagedorn, że jest poszukiwaczem i też jest zainteresowany tym tematem. Przesłał współczesne zdjęcie Parku Miejskiego w Sztumie, w którym przed wojną znajdował się żydowski kirkut. I zaczęło się. Pojawiły się pierwsze zdjęcia historyczne, na których widać prawdopodobnie ogrodzenie cmentarza i schody do niego prowadzące, które, jak się okazuje, jeszcze dziś są częścią parkowego amfiteatru. Informację uściśla Hagedorn: *„amfiteatr i scena nie znajdują się na terenie dawnego cmentarza, a zniszczony został definitywnie w 1968 roku - do tego roku był może opuszczony i zaniedbany, ale przynajmniej stały na nim macewy! Obecnie ślad po nich zaginął..”*

Na starych mapach, które pojawiają się na forum udaje się zlokalizować żydowski cmentarz, na obrzeżach Parku. 9 marca 2007 roku Hagedorn pisze nieco zniechęcony, że traci nadzieję, że uda im się odnaleźć ślady cmentarza w realu.



13 marca 2007 roku do dyskusji i poszukiwań włączył się Pacoss z informacją o sztumskiej gminie żydowskiej. Okazuje się, że „*Pierwsze nazwiska sztumskich Żydów pojawiają się w aktach w roku 1806 i dotyczą deklaracji króla pruskiego, która zezwalała im na swobodne osiedlanie się. Żydzi przybyli głównie z terenów byłego Księstwa Warszawskiego i szybko stali się liczną mniejszością narodową, stanowiąc 11,2% mieszkańców Sztumu (86 osób). Znane są nazwiska niektórych przedstawicieli sztumskiej gminy żydowskiej, takie jak: Gumprecht, Eisenstaedt, Flatow, Schwarz, Berendt. W 1938 r., podczas kryształowej nocy nazistowskie bojówki spaliły okazałą synagogę w Sztumie, a leżący na terenie parku miejskiego cmentarz został stopniowo dewastowany. W latach powojennych na cmentarzu stały jeszcze nagrobki, które zostały w latach późniejszych zabrane i wykorzystane jako płyty na placu jednej z sztumskich firm (nie mam pojęcia jakiej). Sama nazwa miejsca „żydowski cmentarz” nie jest już używana przez obecnych mieszkańców miasta. Poszła w zapomnienie*”. Pacoss dodaje później informację o tym, że ponoć na dziedzincu PGKiM w Sztumie powinny być ukryte żydowskie macewy, być może pod betonowym dziedzińcem zakładu. To ślad do dalszych poszukiwań.

15 marca 2007 roku do dyskusji włącza się KB z Warszawy, który opracowuje stronę poświęconą żydowskim nekropoliom i właśnie poszukuje informacji o cmentarzu w Sztumie. 16 marca, po wzajemnych konsultacjach na forum gotowa jest już strona o cmentarzu żydowskim w Sztumie (www.kirkuty.xip.pl) opracowana przez KB, ze zdjęciami Hagedorna i przy współpracy Pacossa. KB w nagrodę za pomoc zaprasza Hagedrona do Warszawy na spacer z przewodnikiem po cmentarzach żydowskich i ...piwo.

1 kwietnia Hagedorn informuje forumowiczów, że właśnie dokonał epokowego odkrycia. W pobliżu dawnego cmentarza znalazł fragment żydowskiej płyty nagrobnej. Gratulacje, oklaski, zachwyt i rozpętuje się wymiana myśli i opinii. Na stronie forum tego samego dnia pojawiają się zdjęcia z odnalezioną macewą.

KB próbuje rozszyfrować napisy na nagrobku pisząc: „*Te pierwsze dwie litery na górze nagrobka to oczywiście Pe Nun, stanowiące abrewiaturę słów „po nikbar” lub „po nitman”, co oznacza „tu pochowany/a”, ale żeby być precyzyjnym zobowiązuje się skontaktować ze znajomym hebraistą. Przy okazji przesyła fragment opracowania na temat żydowskich inskrypcji cmentarnych. Okazuje*



Macewa odnaleziona w pobliżu nieistniejącego cmentarza żydowskiego w Sztumie
(fot. P. Głogowski)

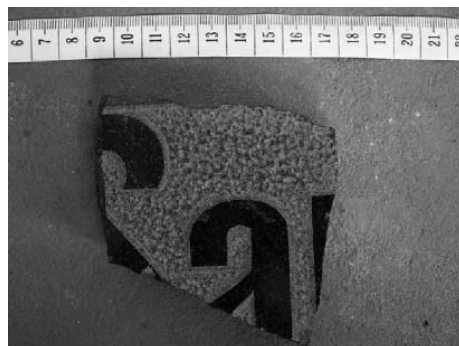
się, że początkowo napisy na macewach były wykonywane wyłącznie w języku hebrajskim. Od XIX wieku zaczęły pojawiać się epitafia w językach używanych w danym kraju, w tym przypadku niemieckie: *„Standardowy układ inskrypcji składa się z kilku charakterystycznych elementów. U góry płyty nagrobnej widnieją hebrajskie litery PN czyli „tu pochowany/a”. Poniżej z reguły następuje epitet, określający cechy zmarłego, typu: „kobieta poważa, szanowana i znacząca”, „mężczyzna doskonały i prawy”, „mężczyzna stary i sędziwy” czy „niewiasta cnotliwa”. Wspomniany epitet czasem poprzedza cytat lub sentencja, na przykład „odgłos płaczu i lament nad śmiercią”, „strumienie łez popłynęły z mych oczu”. Na starszych macewach nie znajdziemy nazwisk, a jedynie imiona zmarłych oraz imiona ich ojców. Przez setki lat Żydzi określali tożsamość imieniem oraz imieniem ojca.... Na macewie nie umieszczano daty urodzenia. Wiek zmarłego określano, pisząc: „mąż stary i sędziwy”, „młody mężczyzna”, „wyrwana w młodych latach”.. Na nagrobkach pomija się najczęściej pierwszą cyfrę roku. Przykładowo datę śmierci 5 miesięcy 5673 roku zapisuje się jako „5 tiszri 673”, uzupełniając ją o formułkę „według małego rachunku” lub „według skróconej rachuby”. W zakończeniu inskrypcji umieszcza się słowa, tłumaczone jako „niech dusza jego będzie włączona w wieniec życia wiecznego” lub „oby dusza jego była związana w węzłku życia”. Standardowa, prosta inskrypcja może zatem brzmieć: „Tu pochowany. Strumienie łez popłynęły z mych oczu. Mężczyzna sędziwy, pan Dawid syn Abrahama, pamięć sprawiedliwego niech będzie błogosławiona. Zmarł 5 Av 683 roku według skróconej rachuby. Niech dusza jego będzie włączona w wieniec życia wiecznego”. Na żydowskich płytach nagrobnych często jednak znajdziemy bardzo kwieciste i poetyckie epitafia”.*

2 kwietnia przychodzi odpowiedź od hebraisty Arie z Izraela na temat sztumskich inskrypcji: *„These are initials thay say -”according to the years count of the Goyim”. Goyim are non-jews. It looks like a date according to the christian calender. I will look more into it. Best, Arie”* czyli, że jest to fragment tekstu według chrześcijańskiego kalendarza gregoriańskiego i że może to być część tytułu, gdyż żydowskie inskrypcje nie zaczynają się od daty zgonu. Do debaty

włącza się student hebraistyki Wojtek: „Jedyny pomysł jaki wpadł mi do tej pory do głowy, zakładając, że poprawnie zidentyfikowałem litery, co wcale nie jest oczywiste (np. widzę resz tam, gdzie Pana kolega, jeśli się nie mylę widzi lamedy i podejrzewam kuf, tam gdzie Arie widzi samech:)), to ‘rosz kehila, ha rav’, czyli ‘przewodniczący gminy, rabin’ i tu powiedzmy mogłoby nastąpić imię. Spróbuję jeszcze jutro w szkole pogrzebać w hebrew speaking internecie, może się uda...”. Forumowicze tymczasem zastanawiają się nad rozszyfrowaniem niemieckiej części inskrypcji z nagrobka, że jest to prawdopodobnie nagrobek „znaczącego mężczyzny”, być może właśnie rabina. 7 kwietnia włącza się Pacoss: „Racja. Płyty rabinów opatrzone były zazwyczaj w symbole. Trudno to teraz ustalić bez pozostałej części macewy, a ta część, która pozostała poświadczająca skromną stylistykę płyty. Niezachowały się też daty. Społeczność żydowska w Sztumie od ok. 1925 roku topniała, więc nagrobki mogły być coraz uboższe. Zresztą fundowała je rodzina zmarłego. No cóż... Pozostają nam tylko hipotezy. Ale cieszę się, że ocalał ten fragment. Jeszcze raz BRAWA dla odkrywcy!!”. Wszyscy uznali, że nagrobek musiał być „znaczącej osoby”, bo był marmurowy.



Odnaleziony fragment macewy ze sztumskiego cmentarza żydowskiego. (fot. P. Głogowski)



Odnaleziony fragment macewy ze sztumskiego cmentarza żydowskiego. (fot. P. Głogowski)

8 kwietnia Hegedorn przekazał znalezisko do tworzonego przez Sławomira Michalika Muzeum Regionalnego w Sztumie. KB z Warszawy tak to skomentował: „Dobry chłop z Ciebie. Niby normalne, że przekazałeś do muzeum, ale ja już spotkałem takich, co odnalezione macewy próbowali sprzedawać na Allegro (w ubiegłym roku parę takich akcji razem ze znajomymi skutecznie zablokowaliśmy)”. Następny wpis Hagedorna z 1 listopada 2007 roku: „Żydzi oczywiście nie obchodzą Święta Zmarłych w takiej postaci (i terminie) w jakiej znamy je w kulturze chrześcijańskiej. Odległym odpowiednikiem tego święta jest jorcajt (jahrzeit), obchodzony w rocznicę śmierci członka rodziny. Rodzina i krewni odwiedzają wówczas grób zmarłej osoby, zapalają specjalną świecę, płonącą przez 24 godziny bez przerwy. Trzykrotnie w ciągu dnia recytuje się kadsisz, zwyczaj nakazuje również dawanie jałmużny ubogim. O tym święcie w przypadku cmentarzy

żydowskich w naszych okolicach możemy oczywiście zapamiętać, ale ponieważ dziś jest 1 listopada, poczuliśmy z młodą wewnętrzną potrzebę" i razem z synem zapalili znicze w domniemanym miejscu cmentarza żydowskiego.

Następny wpis Hagedorna jest z 17 maja 2009 roku: „*Ponad rok po znalezieniu dużego fragmentu macewy ze sztumskiego kirkutu zajrzeliśmy dziś z Juniorem w miejsce tamtego znaleziska. Nie trwało 5 sekund gdy bystre oczy młodego wypatrzyły kolejny, dużo mniejszy tym razem fragment płyty nagrobnej!!! Zabraliśmy go do domu, umyliśmy i teraz zastanawiamy się co to za napis - wygląda jak początek imienia (lub ew. nazwiska), a że na 99 % nagrobek pochodził z kirkutu obstawiamy imię „Sara”...swoją drogą zastanawiam się teraz nad solidniejszym przekopaniem miejsca znaleziska...*”.

7 grudnia 2009 roku na forum, ku radości Hagedorna, pojawia się wpis sygnowany nickiem Harry: „*W minioną sobotę znalazłem płytę nagrobną. Wykonana jest z gysu bazaltowego wtopionego w ciemny beton. Napisy są dwujęzyczne niemieckie i hebrajskie. Możliwe, że ...pochodzi z cmentarza ze Sztumu, gdyż znalazłem ją około 100 m od niego. Dziś pokazałem ją Panu Sławkowi z kościółka z centrum. Chyba mu się spodobała. Jest w idealnym stanie, waży najmniej 150 kg. Sam nie mogłem jej ruszyć. Zdjęć nie robiłem, fatalna pogoda, do tej pory mam ubłocone buty. Co ciekawe oprócz macewy znajduje się tam jeszcze kilka sześciennych bloków betonowych z wyżłobionymi liniami. Spotykałem takie ozdobiaki na innych starych cmentarzach. Możliwe, że pod nimi są także inne płyty nagrobne*”.

12 grudnia 2009 roku nastąpił dalszy ciąg dyskusji i spotkanie obu poszukiwaczy - odkrywców: „*Dziś z Harrym udaliśmy się na gruzowisko, gdzie znalazł macewę - udało nam się ją trochę odczyścić i odcyfrować parę danych. przy okazji rozejrzeliśmy się w okolicy i znaleźliśmy sporo fragmentów ewidentnie pochodzących z cmentarza! Planujemy w związku z tym małą akcję wczesną wiosną (przełom marca i kwietnia - któryś słoneczny weekend) i zapraszamy wszystkich ewentualnych chętnych do pomocy - uzbroimy się w kilof i łopatę i postaramy się przetrząsnąć całą tę górę gruzu i kamieni - być może znajdziemy kolejne płyty lub przynajmniej ich fragmenty! Wracając do odkrytej przez Harry'ego macewy - to chyba pierwsze konkretne imię i nazwisko ze sztumskiego kirkutu! Płyta jest jednostronna - u góry napis w języku hebrajskim, poniżej po niemiecku: „Hier ruht unsere... Mutter... etc.” i tu mała ciekawostka: Therese Friedländer geb. Tarczinski oraz daty: ur. 1840 - zm. 1919 zważywszy na fakt, że „Teresa” jest raczej katolickim imieniem (do tego z domu Tarczyńska!) być może było to mieszane małżeństwo, a sama Therese przeszła na judaizm po ślubie? Poniżej kilka dzisiejszych fotek - płyta zostanie przetransportowana do muzeum na Rynku*”.



Odnaleziony nagrobek Therese Friedlander ze sztumskiego cmentarza żydowskiego.
(fot. M. Wudarczyk)

14 grudnia Hagedorn ustala, dzięki informacji uzyskanej od Freda Zimmaka ze Sztokholmu, który skontaktował się z nim drogą elektroniczną, poza forum, dzięki pośrednictwu KB, że nazwisko Dawida Friedlandera (zm. 1916) oraz jego żony Theresy (zm. 1919) istnieje w ewidencji sztumskiego cmentarza żydowskiego. I na tym kończą się wpisy na forum.

Fred Zimmak, z którym udało mi się bezpośrednio skontaktować, dzięki pośrednictwu Hagedorna, okazał się potomkiem żydowskich mieszkańców, położonego w pobliżu Sztumu, Postolina. Jego rodzina mieszkała tam do 1937 roku. W obliczu narastającego terroru hitlerowskiego próbowali emigrować. Części rodziny się to udało, między innymi ojcu Leonardowi Zimmakowi, ale jego dziadkowie Otto i Helena zostali zamordowani w Rydze, w czasie próby dotarcia do Skandynawii w 1942 roku.

W Central Archive for the History of the Jewish People in Israel, a także Archiv der Stiftung „Neue Synagoge” Berlin Centrum Judaicum Fredowi Zimmakowi udało się odnaleźć listę Żydów pochowanych na sztumskim cmentarzu. Z pisanej gotykiem niemieckiej listy, przetłumaczonej przez Danutę Thiel - Melerską, wynika że najstarszy grób Meyer Seeliger pochodził z 1818 roku. Ostatni, według zachowanej listy, to grób Berty Abraham z domu Friedlander z 26 sierpnia 1931 roku. Na liście zmarłych są między innymi rodziny - Israelovitz, Edel, Behrendt, Schwartz, Flatow, Krombach, Gumprecht, Wellmann, Blum, Eisenstadt, Sommerfeld, Rosenberg, Rosenthal, Holz, Seeliger, Gerson, Ginsberg, Cohn, Levy, Wunderlich. Na podstawie dwóch zachowanych list można stwierdzić, że na sztumskim cmentarzu znajdowało się ponad sto nagrobków. Większość stanowiły grobowce rodzin ze Sztumu. Cztery nagrobki należały do Żydów ze Starego Targu (Wunderlich, Frau, Stein, Eisenstadt, Lewadowski), dwa z Postolina (Luis Rosenthal, Hermann Casper), jeden ze Sztumskiej Wsi (Markus Levy), jeden z Gruczna koło Świecia (Jenny Stein) i jeden z Mysławic (Benjamin Holz). Pojawiają się też nazwiska o prawdopodobnym polskim ro-

dowodzie takie jak - Henrietta Lipowski z domu Lewandowska (zmarła w 1880 roku), Johanna Lewandowski ze Starego Targu z domu Kunicka (zmarła w 1914 roku), Boas (?) Lewandowski ze Starego Targu (zmarł w wieku 96 lat w 1924 roku). Być może były to osoby, które przeszły na judaizm lub po prostu Żydzi, którzy przyjęli polskie nazwiska. Na cmentarzu znajdowały się również dwa groby żołnierzy rosyjskich - Hornist Goldenberger i Moissu Morduchowitsch Pertschik z Pińska. Trudno stwierdzić z jakiego okresu pochodzą, gdyż nie są datowane. Przy jednym z nich jest jedynie informacja, że urodził się w 1892 rok w Pińsku. Być może są to żołnierze, którzy trafili do Sztumu w czasie pierwszej wojny światowej i tu zostali pochowani.

Na podstawie listy zmarłych można z dużym prawdopodobieństwem ustalić, że odnaleziony przez Hagedorną fragment macewy z inskrypcją „Sa..” mógł należeć do Samulea Gumprechta, który zmarł 22 stycznia 1890 roku.

Fragment listy Żydów pochowanych na sztumskim cmentarzu. (fot. F. Zimmak)

Redagując gazetę lokalną „Sztumska Solidarność” w 1990 roku opublikowaliśmy tekst Pani Władysławy Thiel poświęcony losom ludności żydowskiej na ziemi sztumskiej. Był to pierwszy tekst poświęcony Żydom sztumskim po polsku. Powstał on w oparciu o pracę zbiorową pod nazwą „Kreis Stuhm”, opublikowaną w Osnabruck w 1972 roku, a także książkę Aschkewitsza „O historii Żydów w Prusach wschodnich”, wydaną w Marburgu w 1967 roku. Wynika z nich, że Żydzi na ziemi sztumskiej pojawiali się już w XIV wieku, ale ze względu na zakaz osiedlania się na tych terenach wydany przez Krzyżaków, dopiero jak ziemie te znalazły się w posiadaniu króla polskiego, po II pokoju w Toruniu w 1466 roku, osiedlanie się Żydów stało się możliwe. Cmentarze

żydowskie w Sztumie i Dzierzgoniu należały do najstarszych po tej stronie Wisły, gdyż są informacje, że na tych cmentarzach grzebano także żydowskich mieszkańców Elbląga (w Dzierzgoniu do 1811 roku) i Kwidzyna (w Sztumie do 1815 roku), co świadczy o tym, że mimo że były to większe miasta nie miały one pozwolenia na rytualny pochówek. Wynikało to też z faktu, że liczba Żydów była tam znacznie mniejsza. Gminy w Sztumie i Dzierzgoniu też nie należały do najliczniejszych, bo nie miały swojego rabina. Rabin, który opiekował się tym terenem urzędował w Brodnicy. Z dokumentów niemieckich wynika, że w 1792 roku był to Abraham Mendel. Na początku XIX wieku w Sztumie i Dzierzgoniu mieszkało ok. 12% Żydów. W skali całego powiatu odsetek ten był niewielki, w granicach 1%. W 1885 roku w Sztumie mieszkało 102 Żydów, a w 1925 roku zaledwie 74. W okresie nasilonych prześladowań, po dojściu Hitlera do władzy, Żydzi właściwie zniknęli z Prus Wschodnich, część zdążyła wyemigrować, a część niestety trafiła do obozów koncentracyjnych. Podczas „kryształowej nocy” Niemcy spalili synagogę w Sztumie, która od 1862 roku stała niedaleko Kościoła Św. Anny, przy ulicy Związku Jaszczurczego (dawniej Kościelna). W tym czasie również zdewastowano cmentarz żydowski w Sztumie.

Fred Zimmak, który opracowuje w tej chwili w Sztokholmie historię swej rodziny z Postolina, odnalazł również w berlińskim archiwum listę członków sztumskiej synagogi z czerwca 1901 roku. Okazuje się, że prawa wyborcze w synagodze miało wówczas 26 Żydów z ziemi sztumskiej: ze Sztumu (17), Starego Targu (4), Mikołajek Pomorskich (1), Postolina (1), Sztumskiej Wsi (1), Kalwy (1) i Straszewa (1). Jak wynika z wpisów wśród członków gminy byli między innymi sędzia obwodowy, zegarmistrz, rzeźnik i fryzjer.

Pora przedstawić autorów internetowego „śledztwa” na Forum Marienburg, którzy do tej pory znani byli jedynie z forumowych nicków:

Azaziz to Jacek Kmiec - organizator forum, mieszkaniec Malborka, pasjonat historii, na co dzień inspektor PZU. *Pacoss* to Piotr Podlewski, sztumianin z urodzenia, muzyk, nauczyciel historii w Liceum Ogólnokształcącym w Dzierzgoniu, członek Bractwa Rycerzy Ziemi Sztumskiej, uczestnik historycznych inscenizacji między innymi - Oblężenia Malborka czy Misterium Męki Pańskiej w Gdańsku. *KB* to Krzysztof Bielawski - mieszka w Warszawie, gdzie organizuje stronę internetową poświęconą żydowskim cmentarzom i ewidencjonuje kirkuty istniejące kiedykolwiek na ziemiach polskich. *Harry* to Marcin Wudarczyk, policjant ze Sztumu, który przypadkiem, szukając na nielegalnym wysypisku w sztumskim parku kamieni na skalniak do swojego ogródka, natknął się na drugą macewę i swoim odkryciem podzielił się z uczestnikami forum. *Hagedorn* to Paweł Głogowski - odkrywca tajemnic sztumskiego cmentarza żydowskiego, z wykształcenia jest politologiem, absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Stacji Hodowli i Unasieniania Zwierząt w Czerninie, pasjonat historii lokalnej, uczestnik grupy rekonstrukcyjnej z okresu wojen napoleońskich.

Lista wszystkich uprawnionych do głosowania członków synagogi w Sztumie w 1901 roku

Lp.	Nazwisko, imię	Miejscowość	Wiek	Czas przynależności w latach
1	Aron, Hermann	Sztum	44	10
2	Ascher, Julius	Sztum	29	
3	Casper, Isidor	Sztum	58	30
4	Eisenstädt, Arthur	Sztum	32	5
5	Friedlander, David	Sztum	65	46
6	Gumprecht	Przedzamcze	55	11
7	Geisenberg, rzeźnik (skreślone)	Przedzamcze	23	
8	Krause, Aleksander	Sztum	33	8
9	Krombach, Julius	Sztum	38	6
10	Leiser sędzia obwodowy	Sztum	40	4
11	Levy Hermann	Sztum	37	13
12	Philipp Louis	Sztum	38	7
13	Rosenthal Jul.	Sztum	44	15
14	Salomon zegarmistrz	Sztum	29	4
15	Salomon fryzjer (skreślone)	Sztum	25	
16	Seelinger Meyer	Przedzamcze	65	30
17	Seelinger Wolff	Przedzamcze	48	20
18	Edel Samuel	Mikołajki	69	42
19	Grumach Louis	Stary Targ	50	10
20	Hermann S.	Straszewo	55	3
21	Levy Marens	Sztumska Wieś	76	40
22	Lewandowski B.....	Stary Targ	73	6
23	Rosenthal Louis	Kalwa	45	15
24	Rosenthal Samuel	Postolin	73	48
25	Ruben Jacob	Stary Targ	69	6
26	Stern Benjamin	Stary Targ	38	6

Główny bohater tej historii, który zaangażował się w odkrywanie cmentarza żydowskiego, Paweł Głogowski, trafił do Sztumu w wyniku swoich zainteresowań kulturą indiańską. A Sztum, jak mówią pasjonaci indiańskiej kultury, za sprawą między innymi braci Michalików i Rzatkowski, zawsze był indiańską

stolicą Polski. Indiańskie pasje sprawiły, że Paweł Głogowski został w Sztumie do dziś, bo tu znalazł klimat którego szukał - ciekawe i inspirujące miejsce, świetni ludzie, a i do morza nie daleko. Z urodzenia jest warszawiakiem, choć ze stolicą się nie identyfikuje, bo jak mówi, to nie jest miejsce do życia. Są rodziną migrującą - matka z Galicji, ojciec z kieleckiego, żona z Opola. Tylko syn Witek (na Forum występuje jako „młody” lub „junior”) jest stąd, urodził się w Sztumie i bardzo ochoczo uczestniczy w eksploracyjnych wyprawach ojca. Ojciec chętnie go zabiera, bo ma dobre oko i często wypatruje w terenie więcej ciekawych szczegółów od niego. Historia jest prawdziwą pasją Pawła Głogowskiego. Forum Marienburg dało mu i innym pasjonatom historii, możliwość spotkania, najpierw w świecie wirtualnym, a następnie w „realu”, kiedy to rozpoczęto prawdziwe poszukiwania między innymi cmentarza żydowskiego. Zainteresowanie cmentarzem zainspirowane było wieczorem żydowskim sprzed kilku lat w sztumskim kinie. Prelekcję prowadził Janusz Ryszkowski, który między innymi mówił o zaginionych macewach z żydowskiego cmentarza, zatopionych prawdopodobnie w jeziorze. I wtedy w Głogowskim, jak sam mówi, zapalił się Indiana Jones. Na dodatek z bloku w którym mieszka na Osiedlu Parkowym, widać miejsce po dawnym cmentarzu i jezioro. Zaczął nurkować w poszukiwaniu macew, ale nic nie znalazł. Wtedy wyruszył z dziesięcioletnim synkiem na poszukiwania w okolicach parku i efekty swoich działań relacjonował na Forum Marienburg.

Dziś żydowski cmentarz powoli odsłania swoje tajemnice, choć trudno się spodziewać, że odsłoni wszystkie. To przede wszystkim zasługa internetowych pasjonatów. Być może ich dalsze poszukiwania doprowadzą do ustalenia dokładnego wyglądu cmentarza, a wyjątkowym szczęściem będzie odnalezienie kolejnych nagrobków lub ich fragmentów. Te odnalezione do tej pory trafiły do Muzeum Regionalnego „Alyem” Sławomira Michalika, które znajduje się w poewangelickim kościele na Placu Wolności. Wraz z poszukiwaniami wraca też pamięć. Dorośli sztumianie przypominają sobie, że jeszcze w latach sześćdziesiątych, jako dzieci, bawili się w pobliżu dawnego kirkutu, z niezrozumiałym liternictwem na marmurowych płytach, który już wtedy z roku na rok zapadał się pod ciężarem mchu, cmentarnych powojów i niepamięci. Niektórzy mieszkańcy wspominają, że fragmenty marmurowych macew widywali na ścieżkach pobliskich ogródków działkowych.

Paweł Głogowski zamyśla się, że być może znajdzie się jakaś forma upamiętnienia żydowskich mieszkańców Sztumu, choć Park Miejski w którym odbywają się rozrywkowe imprezy pewnie nie będzie najlepszym ku temu miejscem. Bardzo go to porusza, kiedy widzi biesiadującą i roztańczoną w tym miejscu młodzież i dorosłych, którzy pewnie nie zdają sobie sprawy z tego, że zabawiają się na obrzeżach dawnego cmentarza. Że gdzieś tam spoczywają kości, nie bezimiennych już przecież, między innymi dzięki niemu, ale znanych z imienia i nazwiska, dawnych mieszkańców Sztumu i okolic, których najbliżsi nie odeszli stąd z własnej woli.

Kordian Kuczma

Patroni naszych ulic Jaki patron?

Od lat moim marzeniem było opracowanie cyklu artykułów na temat wybitnych ludzi związanych z regionem Żuław i Dolnego Powiśla, którzy zostali uwiecznieni na tym terenie w nazwach ulic. Mam nadzieję zainteresować czytelników „Prowincji” pasjonującymi biografiami Pomorzan i Warmiaków - patronów ulic Malborka, Kwidzyna, Sztumu, Nowego Dworu Gdańskiego i okolic. Planuję również zwrócić uwagę na niektóre mniej znane postaci, których działalność miała zasięg ogólnopolski, oraz poświęcić trochę miejsca nazwom ulic w naszym regionie przed drugą wojną światową i w pierwszych latach powojennych.

Nie ulega wątpliwości, że patroni powinni inspirować społeczność lokalną do naśladowania czynów, którym zawdzięczają upamiętnienie przez władze samorządowe. Dlatego też im więcej zasłużonych jednostek związanych z daną okolicą staje się częścią miejscowej tradycji nazewniczej, tym łatwiej identyfikować się z nimi kolejnym pokoleniom. Takie spostrzeżenie może wydać się banalne każdemu, kto choć trochę interesuje się historią, jednak stosunkowo rzadko znajduje to odbicie w praktycznych posunięciach. Z moich obserwacji wynika bowiem, że w ostatnich latach wnioskodawcy nazw ulic kierują się głównie względami estetycznymi. Zakładają oni, że odniesienia do kwiatów, kamieni szlachetnych bądź bohaterów baśni służą kreowaniu przyjaznego klimatu miejsca zamieszkania. Zasięg tego zjawiska nie ogranicza się do naszego kraju, należy jednak pamiętać, że jest to relatywnie nowy trend nazewniczy. Jego znaczenie wydaje się nieproporcjonalnie duże ze względu na niski poziom urbanizacji w Polsce w okresie dominacji innych tendencji, którym warto w tym miejscu poświęcić więcej uwagi.

W średniowieczu, kiedy pojawiały się pierwsze nazwy ulic, miały one wysoce zdroworozsądkowy charakter. Nawiązywały do zawodu uprawianego przez mieszkańców okolicznych zabudowań, patronów kościołów, zakonów lub miast, do których prowadził dany szlak. Stąd na planach naszych „starówek” tyle ulic Szewskich, Świętojańskich, Franciszkańskich czy też Krakowskich. W epoce monarchii absolutnej XVII i XVIII wieku wiele ulic, szczególnie reprezentacyjnych, nazywano na cześć władców i innych członków dynastii. Praktyka ta była powszechna jeszcze na początku XX stulecia. Np. w carskiej Rosji nazwy upamiętniające inne postaci historyczne pojawiały się jedynie okazjonalnie.

Za pewien przełom można uznać decyzję władz Paryża w 1791 r. o likwidacji nazw przypominających o panowaniu Burbonów. Nowo wprowadzone inwokacje do wolności, równości i rewolucji przetrwały jedynie kilka lat, jednak stanowiły czytelny sygnał, że nie tylko szlachetnie urodzeni zasługują na pa-

mieć potomnych. XIX-wieczny rozkwit idei nacjonalistycznych sprzyjał poszukiwaniu postaci mogących symbolizować miłość do własnego narodu. Rolę tę z powodzeniem spełniali wybitni dowódcy wojskowi, przywódcy powstań, pionierzy kolonialni, bohaterowie średniowiecznych sag. Jednocześnie romantyzm przewartościował pozycję społeczną artysty, rewolucja przemysłowa wynosiła na piedestał rzutkich przedsiębiorców i wynalazców, zaś religijnie motywowany konserwatyzm nakazywał doceniać społeczników i najofiarniejszych działaczy charytatywnych. Wszystkie te czynniki, w połączeniu z gwałtowną urbanizacją kontynentu, sprawiły, że w większości państw europejskich osoby żyjące w latach 1800 -1918 (ewentualnie 1800-1939) stanowią najliczniejszą grupę patronów ulic. Pojawiające się w tym okresie nazwy należące do innych kategorii semantycznych również nie miały charakteru czysto abstrakcyjnego. Najczęściej przypominały o polach zwycięskich bitew i zmianach granic (po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w centrum Warszawy pojawiły się ulice Poznańska i Górnośląska) lub odnosiły się do typu zadrzewienia nowo wytyczanych alej (Kasztanowa, Lipowa). W mniejszych miejscowościach upamiętniały poszczególne etapy rozbudowy infrastruktury (Szkolna, Parkowa, Kościelna).

Opisane powyżej prądy umysłowe wywarły wpływ również na elity społeczeństwa polskiego, jednak w warunkach braku własnej państwowości nie towarzyszyły im takie atrybuty, jak np. w Niemczech - monumentalne pomniki, „Świątynie Chwały” czy odpowiednia polityka nazewnicza. Jak już wspomniałem, w zaborze rosyjskim ulice nosiły imiona carów, ich namiestników, prawosławnych świętych lub zupełnie przypadkowe, za to łatwe do zapamiętania, bo krótkie. Robotnicze i żydowskie dzielnice rozbudowujących się miast zarożyły się dziesiątkami Ptasich, Chłodnych, Próżnych itd., co do dziś można zaobserwować na warszawskim Muranowie, łódzkich Bałutach oraz w centrum Sosnowca i Białegostoku. Ze względu na ówczesnie niskie standardy socjalne często nabierały one ironicznego posmaku, co oddał w swoim wierszu „Ulica Miła” Władysław Broniewski.

W zaborze pruskim nazwy ulic stanowiły element wielkomocarstwowej polityki germanizacyjnej. Większość nawiązań do specyfiki lokalnej stanowiły próby uhonorowania prezesów prowincji i wywodzących się z danego miasta ministrów. Sporadycznie pojawiały się nawiązania do bardziej zamierzchłej przeszłości, np. aleja Piastów we Wrocławiu, ulice książąt Barnima i Bogusława (Bogislavstrasse) w Szczecinie czy niektóre nazwy w Gdańsku. Np. przedwojennym patronem ulicy Marynarki Polskiej (i schroniska Hitlerjugend na Biskupiej Górze) był Paweł Beneke, który sprowadził do miasta obraz Hansa Memlinga „Sąd Ostateczny”. Najlepsze warunki do manifestowania uczuć narodowych posiadał zabór austriacki, jednak ze względu na niskie tempo urbanizacji, proces upamiętniania wybitnych Polaków w poszczególnych miastach przebiegał tam powoli.

Lata międzywojenne to okres konsekwentnego spolszczania przestrzeni miejskiej. Mimo, że z tego okresu pochodzą dla wielu niezbyt już czytelne nazwy związane z tradycjami romantycznymi (np. Kornela Ujejskiego, Władysława Syrokomli, Wincentego Pola), wbrew stereotypowi honorowano wówczas nie tylko powstańców i zagrzewających ich do boju wieszczów. Śmiem twierdzić, że obraz Polski jako kraju, gdzie sławę zdobywa się jedynie przy pomocy szabli i pióra, zaś logiczne myślenie nie jest w cenie, został w przeważającej mierze ukształtowany przez zabiegi propagandy komunistycznej. Przed wojną patronami zostawali bowiem również wybitni uczeni, inżynierowie, pedagodzy, mecenas kultury. Niestety wiele z tych ulic (m.in. w Gdyni i niektórych dzielnicach Warszawy) po wojnie zniknęło z planów miast.

Idealistycznie nastawiony, „miłujący lud” literat na pewno był łatwiejszy do zaakceptowania przez nową klasę rządzącą niż pragmatyczny, łączący dbałość o dobro ogółu z chęcią zysku przedsiębiorca. W języku nazw przekładało się to na niemal setki ulic Nałkowskiej, Tuwima, Broniewskiego, Kruczkowskiego, Iwaskiewicza, którzy z racji samych ograniczeń przestrzennych wypierali Konarskich i Śniadeckich, nie wspominając już o mniej znanych postaciach. Dziewiętnastowiecznych bohaterów – Traugutta, Kilińskiego, Głowackiego, Lelewela – nietrudno zaś było przedstawiać jako pionierów Polski Ludowej, czego dowodem plakaty „zdobiące” polskie miasta w okresie obchodów Tysiąclecia w 1966 r.

Charakterystyczną cechą nazewnictwa okresu PRL stanowił również niekonsekwentny stosunek do dorobku pierwszych lat powojennych w tej dziedzinie. Od lat nurtowało mnie pytanie, dlaczego w niektórych miastach polskich eksponowane ulice noszą imiona wybitnych działaczy PPS (najczęściej Ignacego Daszyńskiego i Bolesława Limanowskiego), SL (np. Macieja Rataja), SD lub ruchu spółdzielczego (przede wszystkim Romualda Mielczarskiego), w innych zaś znajdują się one na głębokich peryferiach lub nie ma ich w ogóle? Studiując różnego rodzaju mapy i dokumenty okazało się, że m.in. w Warszawie i w dużej mierze w Gdańsku ulice te w latach 1949 - 50 spotkał ten sam los, co partie, do których należeli ich patroni – zniknęły lub zostały całkowicie podporządkowane nowo powstałej PZPR. Z analizy dostępnych mi danych wynika, że ludzie, którzy budowali polski ład na tzw. Ziemiach Odzyskanych, na równi z Konstantinem Rokossowskim i Michałem Rola-Żymierskim stawiali Władysława Sikorskiego i Stefana Starzyńskiego, Stalinowi zaś niejednokrotnie na planach miast towarzyszył F. D. Roosevelt. W gdańskim Nowym Porcie była nawet ulica Obrońców Londynu! Dopiero Kongres Zjednoczeniowy z 1949 r. zapoczątkował kult Marchlewskiego, Nowotki et consortes.

Patrząc na znaczki pocztowe z tego okresu czy też czytając wykazy odznaczonych Orderem Krzyża Grunwaldu można wywnioskować, że dopóki ówczesne władze nie czuły się dostatecznie silne oraz musiały liczyć się z opinią Zachodu, wołały oswajać co bardziej lewicowe tradycje polskiej demokracji niż lansować

własną zafałszowaną wizję polskiej historii. Fluktuacje propagandowej wizji przeszłości przedstawię w jednym z odcinków na przykładzie losów nazw ulic w Malborku. Niestety, w tym konkretnym przypadku zmiany oznaczały przede wszystkim „czystkę” wśród patronów regionalnych, których zastąpiły komunistyczne ikony. Z usuniętych wtedy nazwisk po latach powróciło tylko jedno...

Wierzę, że ten cykl będzie dla czytelników przyjemną i wartościową lekcją historii regionalnej. Mam nadzieję, że pozwoli im zrozumieć, że obcując na co dzień z dziedzictwem ziemi rodzinnej, dzięki temu czujemy się bardziej „u siebie”. Być może obudzi on w nich również pewnego rodzaju niedosyt. Jeżeli moje teksty skłonią przynajmniej jedną osobę do zaproponowania dla nowej ulicy, ronda lub skweru nazwy związanej z przeszłością tego zakątka Pomorza, uznam, że mój wysiłek nie poszedł na marne. Zbiorowym bohaterem pierwszego odcinka będzie rodzina, której członkowie są patronami ulic w dwóch ośrodkach naszego regionu: Nowym Dworze Gdańskim i Malborku. Ich nazwisko kojarzy się jednak, całkowicie zresztą słusznie, z innym pomorskim miastem. Mam na myśli Wejherów.

Ernest i Jan Wejherowie

Jak podaje XVII-wieczny polski heraldyk Kasper Niesiecki, Wejherowie uważali za swojego protoplastę Teodoryka (Ditricha) Weihera rodem z frankońskiego miasta Würzburg (obecnie południowowschodnie Niemcy). Miał on być dworzaninem żyjącego w IX wieku cesarza Karola Łysego i przybyć na Pomorze jako rycerz w służbie krzyżackiej. W ten sposób uczony jezuita najwidoczniej połączył legendę z faktami historycznymi, ponieważ rzeczywisty Dytryk Weiher otrzymał w 1373 r. w lenno od wielkiego mistrza Winricha von Kniprode, o którym będzie jeszcze w naszym cyklu mowa, miasto Łebę. Nie dziwi więc, że Hans Weiher, dziadek Ernesta i pradziad Jana, w okresie wojny trzydziestoletniej wystąpił po stronie Krzyżaków. Mimo że po pokoju toruńskim ziemia łęborsko-bytowska stała się lennem króla polskiego, Weiherowie pozostali dziedzicznymi wójtami Łeby i, lojalnie służąc nowym władcom, z każdym pokoleniem zyskiwali na znaczeniu. Syn Hansa, Mikołaj (Klaus) sprawował w połowie XVI wieku godność starosty słupskiego, zaś jego wnuk Marcin jest uważany za ostatniego katolickiego biskupa kamieńskiego (1549 - 66). Pod koniec życia prawdopodobnie przeszedł na luteranizm.

Brat Marcina, Ernest Wejher (1517 - 98), również przez większą część życia należał do zwolenników nauk Marcina Lutra. W 1585 roku zdecydował się przejść na katolicyzm, co było w dużej mierze zasługą sławnego kaznodziei Piotra Skargi oraz żony Anny Ludwiki Mortęskiej, podkomorzanki malborskiej i siostry wojewody chełmińskiego. Za młodu przebywał na dworze Zygmunta Au-

gusta. Mimo braku formalnego wykształcenia, brał udział w misjach dyplomatycznych. Przede wszystkim jednak pozostawił po sobie sławę jednego z wybitniejszych polskich dowódców XVI wieku. Z powodzeniem walczył ze Szwecją o Inflanty w latach 60. tego stulecia, przeciw zbuntowanemu Gdańskowi w 1577 r. i w wyprawie moskiewskiej Stefana Batorego. Szczególnie odznaczył się podczas oblężenia Połocka i Sokoła. Dosłużył się stopnia pułkownika wojsk koronnych. Zatwierdzony przez króla udział w łupach zagarniętych przez Ernesta Wejhera w zdobytej w 1567 r. na arcybiskupie ryskim twierdzy Dahlen znacznie poprawił sytuację materialną rodu. Jako starosta pucki, magnat ten dowodził polską flotą kaprów i kierował rozbudową portu w tym mieście.

Oprócz rodzinnej Łeby, Wejher posiadał włości w rejonie Lęborka, Pucka i Wejherowa, natomiast w 1579 r. – co nas najbardziej interesuje – objął dzierżawę (ekonomię) nowodworską. Był to akt wdzięczności ze strony Stefana Batorego za pomoc w przełamaniu oporu gdańskich mieszczan dwa lata wcześniej. Wdowa po poprzednim zarządcy żyznych terenów w delcie Wisły, Estera Loitz, próbowała dochodzić swoich praw do spuścizny po mężu na drodze sądowej, jednak dziejowa rola tego szczecińskiego rodu finansistów po ich spektakularnym bankructwie była skończona. Z racji procesu nowy dzierżawca mógł zamieszkać dopiero w 1581 roku w zbudowanym przez Loitzów zameczku, który znajdował się w rejonie obecnej ulicy Chrobrego. W okresie rozbiorów został on przebudowany na kościół ewangelicki i służył potrzebom duchowym mieszkańcom miasta aż do II wojny światowej.

Mimo, że podwaliny pod sławę Żuław Wiślanych jako jednego z najżyźniejszych i najlepiej zagospodarowanych regionów rolniczych Królestwa Polskiego położyli XVI-wieczni dzierżawcy ekonomii nowodworskiej: gdański patrycjusz Reinhold Feldstedte i Loitzowie, czasy świetności regionu w dużej mierze związane są właśnie z rządami Wejherów. Właśnie dlatego pierwszy właściciel Nowego Dworu Gdańskiego z tego rodu jest dzisiaj patronem ulicy, która przed wojną zgodnie z ówczesną nazwą Marktstrasse stanowiła centrum miejskiego handlu, w latach PRL zaś nosiła imię Bolesława Bieruta. Po śmierci Ernesta ekonomią nowodworską zarządzała wdowa po nim, wspomniana Anna Mortęska (1598-1606), po niej zaś jej syn Ludwik (1606 - 17), podskarbi pruski i podkomorzy chełmiński, jeden z dwóch Wejherów, którzy ukończyli włoski uniwersytet w Padwie i jako studenci sprawowali tam funkcję „konsyliarza nacji polskiej” (drugim był jego brat Marcin Władysław).

Szczególnie zasługi dla Nowego Dworu Gdańskiego położył ostatni Wejher związany z Żuławami - Melchior (dzierżawca w latach 1617 - 24). Zasłużył on na miano właściwego twórcy tego miasta, ponieważ około 1600 roku nakazał wytyczyć po wschodniej stronie rzeki Tugi ulicę, przy której powstały warsztaty rzemieślnicze. Stała się ona osią osady targowej zwanej Weihershof, a w następnych stuleciach – Tiegenhof (dosłownie „dwór nad Tugą”). Jej pierwszymi mieszkańcami byli menonici – członkowie holenderskiej sekty protestanckiej,

którym pozwolono osiedlać się na Żuławach, chcąc wykorzystać ich doświadczenia związane z pracami melioracyjnymi. Decyzja magnata pozwoliła im wykonywać zawody, w których pracowali w swojej ojczyźnie, nie wszyscy bowiem pochodzili z rodzin o rolniczych tradycjach.

Melchior Wejher należał do pierwszych senatorów w rodzie. W 1619 r. otrzymał godność kasztelana elbląskiego, zaś w 1626 r. - wojewody chełmińskiego. Oprócz nowodworskiego dzierżawił kilka innych starostw, m.in. tczewskie i uważane za szczególnie dochodowe człuchowskie. Zyskał rozgłos wśród szlachty Prus Królewskich jednak z innego powodu niż posiadane majątności. Słynął bowiem z niechęci i publicznie okazywanej szorstkości wobec płci przeciwnej oraz zamiłowania do wyłącznie męskiego towarzystwa. Jego rodzina niejednokrotnie była zmuszona dementować prawdopodobnie nieprawdziwe pomówienia o skłonności homoseksualne wysuwane pod adresem syna. Faktem jest, że ożenił się późno i jedynie pod groźbą wydziedziczenia, nie dochował się też potomka.

Melchior Wejher odznaczał się również nietolerancją. Mimo że był katolikiem jedynie w drugim pokoleniu, zaś większość jego żuławskich poddanych stanowili innowiercy, sprzeciwiał się przywilejom dla luteranów i menonitów. Właśnie z tego powodu Zygmunt III Waza w 1624 r. odebrał mu dobra nowodworskie i przekazał je świeżo uszlachconemu Jacobowi Jacobsonowi Gehema (1576 - 1639). Ten potomek fryzyjskiej rodziny kalwinistów dzierżawił kilka mennic, w tym największą w ówczesnej Europie bydgoską, co czyniło z niego czołową postać ówczesnej polskiej polityki finansowej. M.in. był inicjatorem ustawy sejmowej z 1627 r. wprowadzającej jako jedyną jednostkę monetarną w Rzeczypospolitej talara, co miało zapobiec inflacji i ucieczce kapitałów za granicę. Jego syn i następca w roli rządcy Żuław Wiślanych, Abraham, należał do najznakomitszych lekarzy swoich czasów.

Potomkowie Ernesta Wejhera kontynuowali wojskowe tradycje rodziny. Pamięć o służbie kolejnego z jego synów, Jana (1580 - 1626), w armii i marynarce Zygmunta III przetrwała m.in. w nazwie najdłuższej ulicy malborskiego osiedla Wielbark. Już jako kilkunastolatek brał udział w walkach z Turkami na terenie należącego wówczas do Węgier Siedmiogrodu oraz w wojnie o tron szwedzki. Szczególnie zasłużył się w 1606 r. w obronie Zatoki Gdańskiej i Helu, kiedy z własnych funduszy wystawił flotyllę kaperską złożoną z kilkunastu okrętów. W 1607 r. doszło do próby zamachu na młodego oficera, jednak zemsta Szwedów za poniesione na Bałtyku porażki nie powiodła się. Niedoszli siepacze zostali schwytani i powieszeni. W latach 1609 - 11 odznaczył się w kampanii przeciw Carstwu Rosyjskiemu na ziemi smoleńskiej.

W uznaniu swoich zasług dla tronu Jan Wejher otrzymał wysokie godności: kasztelana elbląskiego (1613), wojewody malborskiego (1615) i chełmińskiego (1618). Aż do śmierci sprawował pieczę nad stacjonującymi w Pucku okrętami, równocześnie dbając o porządek publiczny w Prusach Królewskich. Kres bły-

skotliwej karierze szlachcica położył przedwczesny zgon, który nieszczęśliwie nastąpił bezpośrednio przed szwedzkim najazdem na Pomorze Gdańskie. Jego współcześni nie mieli wątpliwości, że sama sława bojowych czynów zwycięzcy z 1609 r. zniwelowałaby niszczycielskie skutki wyprawy Gustawa II Adolfa. Ich przekonanie znajduje oparcie w fakcie, że Szwedzi jeszcze kilka lat po śmierci wojewody przypisywali swoje porażki w basenie Zatoki Gdańskiej jego zdolnościom organizacyjnym.

Jednym z ośmiorga dzieci Jana i Anny Szczawińskiej był Jakub Wejher (1609 - 57), chyba najbardziej znany współcześnie członek rodu. Podobnie jak jego najbliżsi krewni był człowiekiem wykształconym, studiował bowiem na prestiżowym uniwersytecie w Bolonii. Ich wzorem nabywał również ogładę jako królewski dworzanin, w tym wypadku Władysława IV. Odziedziczył po ojcu od wagę, której dowody dał podczas wojny trzydziestoletniej. Przysporzyły mu one tytuł hrabiowski od cesarza Ferdynanda II Habsburga, w którego armii dowodził chorągwią jazdy. Pełnił tę funkcję jako podkomendny hrabiego Albrechta von Wallensteina, uważanego za najwybitniejszego wodza tej doby, unieśmiertelnionego w dramacie Fryderyka Schillera. Pomorski wielmoża nie szczędził również trudów w służbie polskiej. Doświadczenia wyniesione z lat pobytu w Niemczech wykorzystał w misji dyplomatycznej w 1636 r., podczas której poznał śląską szlachciankę Annę Elżbietę Schaffgotsch, którą w niedługim czasie poślubił.

Jego kariera wojskowa i polityczna przypominała życiorys Jana. Nie mogło być inaczej, skoro Rzeczpospolita wchodziła wówczas w okres nieustannych wyniszczających wojen znanych z kart Sienkiewiczowskiej „Trylogii”. Tak jak ojciec, Jakub sprawował urząd wojewody malborskiego (w latach 1643 - 57) oraz bronił rejonu Zatoki Puckiej przed szwedzkimi zakusami. W czasie „potopu” dowodził garnizonem Malborka, który po dwumiesięcznym oblężeniu skapitulował na honorowych warunkach. Walczył także z Kozakami pod Beresteczkiem i z wojskami rosyjskimi w kolejnej odsłonie zmagania o Smoleńszczyznę.

Właśnie w 1633 r. pod Białą Smoleńską miało miejsce wydarzenie, które dostarczyło Jakubowi głównego powodu do chwały. Będąc prawie że zasypany żywcem wskutek wybuchu nieprzyjacielskiej miny, pułkownik złożył ślub, który zobowiązywał go do wybudowania kościoła ku czci św. Trójcy i św. Franciszka, jeżeli uda mu się ocalić życie. Swoją obietnicę zrealizował w 1643 r. Przy świątyni umiejscowionej w okolicach Rzucewa na Kaszubach magnat lokował osadę, którą na jego cześć nazwano Wejherowską Wolą lub Kolonią (Wejheropolis). W 1650 r. Jan Kazimierz nadał jej prawa miejskie. W 1647 r. Jakub Wejher przekazał swoją fundację franciszkanom-reformatom, którzy w 1649 r. rozpoczęli budowę Kalwarii Wejherowskiej. Do dzisiaj stanowi ona cel pielgrzymek z całej Polski północnej.

Jak na ironię, Wejherom nie było dane oglądać rozwoju miasta, którego nazwa przypomina o tej zasłużonej rodzinie współczesnym Polakom. Jakub zmarł jeszcze przed ukończeniem budowy Kalwarii, nie pozostawiając męskiego po-

tomka. Dobra rzucewskie przejęli krewni jego drugiej żony – Radziwiłłowie, a po nich Sobiescy. Co ciekawe, zwycięzca spod Wiednia i jego bezpośredni potomkowie dzierżawili na przełomie XVII i XVIII w. również ekonomię nowodworską. Mimo, że przedstawiciele innych linii Wejherów posiadali majątki ziemskie na Mazowszu również w kolejnych stuleciach, nie odegrali już większej roli w historii naszego kraju. Oprócz pamięci o ich zasługach dla Łeby, Człuchowa, Pucka, Malborka i Żuław, po pomorskich Wejherach pozostał wielokrotnie przebudowywany pałac w Nowęcinnie na Pomorzu Środkowym, pomnik Jakuba w Wejherowie, kilka nazw ulic oraz róże z rodowego klejnotu, zwanego Skarzyną lub Pomerzaninem, w herbie Nowego Dworu Gdańskiego.¹

Źródła

M. Czajka, M. Kamler, W. Sienkiewicz, Leksykon historii Polski, Warszawa 1995.

G. Gola, M. Opitz, Tiegenhof – Nowy Dwór Gdański, Nowy Dwór Gdański 2001.

F. Mamuszka, Elbląg i okolice, Gdańsk 1978.

<http://pl.wikipedia.org>

<http://www.soplica.com.pl>

<http://www.nowydworgdanski.fora.pl>

<http://kalwariawejherowska.pl>

<http://www.jednota.pl> (o Jacobsonie)

<http://www.jastrzebia.net>

¹ W następnym numerze zajmiemy się kolejnym rycerskim rodem, który odcisnął swoje piętno na historii Ziemi Malborskiej. Proszę o nadsyłanie uwag i propozycji tematów wartych poruszenia na adres: kordian.kn@gmail.com.

Zbigniew Ptak, Jerzy Wcisła

Pętla Żuławska



Pętla Żuław

Wokół Wielkich Jezior Mazurskich funkcjonuje 180 ośrodków wczasowych, w których wypoczywa rocznie ok. 40.000 turystów. A przecież to wierzchołek turystycznej góry – bo przecież wodniacy najczęściej na wczasy wybierają się z własnym dachem, wymykając się w ten sposób statystykom. Kto nie posiada własnego jachtu, musi spieszyć się z decyzją o jego wynajęciu, bo w kwietniu może już nie znaleźć wolnej łódki. Tak napawdę nikt nie jest w stanie policzyć, ile osób pływa latem po mazurskich jeziorach – nie ma jednak wątpliwości co do jednego: na jeziorach jest tłoczno.

Tymczasem na zachodnich rubieżach województwa warmińsko-mazurskiego i wschodnich krańcach województwa pomorskiego znajduje się akwen trzykrotnie większy od jeziora Śniardwy i zaledwie o 30 % mniejszy niż wszystkie Wielkie Jeziora Mazurskie razem wzięte! Niegdyś stanowił część morza, lecz natura wydzieliła sobie lagunę o powierzchni 838 km kw. (to tyle ile wynosi powierzchnia trzydziestu największych jezior w Polsce!), a Stalin podzielił ją między Polskę a Związek Radziecki, zostawiając nam 328 km kw. (powierzchnia pięciu największych naszych jezior) zbiornika długiego na 35 km i szerokiego na 6 - 13 km.

Zalew Wiślany – bo tak nazywa się ów akwen, entuzjaści żeglarstwa nazywają „morskim przedszkolem”. Można tu bowiem doznać wrażeń porównywalnych z żeglarstwem morskim, bez ponoszenia takiego jak na morzu ryzyka.



Zalew Wiślany nie jest zawieszony w próżni. Prowadzą do niego odnogi Dolnej Wisły. Trzysta kilometrów spokojnych rzek i kanałów, zachęcających do żeglugi. Można powiedzieć: turystyczne El Dorado.

Dlaczego tu nie ma turystów?

Takie pytanie padło 12 lat temu, podczas konferencji, której przedmiotem była dyskusja o tworzeniu regionalnych markowych produktach turystycznych. Autorzy niniejszego tekstu w tejże konferencji uczestniczyli, a Zbigniew Ptak był jej współorganizatorem.

Rzeczywiście można było przepłynąć dziesiątki kilometrów żuławskimi rzekami i kanałami i nie spotkać żaglówki. Na Zalewie Wiślanym znakomicie ogarnianym wzrokiem z wysokich wzgórz Wysoczyzny Elbląskiej lub Mierzei Wiślanej można było policzyć jachty używając palców jednej ręki. Najczęściej pływali miejscowi entuzjaści żeglarstwa „szuwarowo-bagiennego” - jak ironicznie mówiono o tym akwenie.

Odpowiedź na pytanie o przyczynę brak turystów można sprowadzić do stwierdzenia: bo nie ma markowego produktu turystycznego w Delcie Wisły. Nie ma hoteli, przystani, marin. Rzeki są nieoznakowane, zwodzone mosty są najczęściej zamknięte dla jachtów, nad rzekami niebezpiecznie nisko zwisają linie energetyczne... Nie ma zlotów, regat ani innych imprez dla żeglarzy. Nie ma wreszcie promocji tego regionu...

Następne lata po rzeczonej konferencji to pasmo dziesiątek działań na rzecz podnoszenia standardów uprawiania turystyki w Delcie Wisły i na Zalewie Wiślanym. Złoty w Rybinie, rejsy szlakiem św. Wojciecha, regaty na Zalewie, eliminowanie kolejnych barier – od walki o podniesienie linii energetycznych po namawianie samorządów do inwestowania w poprawę infrastruktury w portach i przystaniach. Oraz dyskusje kończące się zwykle apelami, memoriałami czy deklaracjami poparcia dla działań proturystycznych.

Wraz z liczbą działań rosła też liczba osób przekonanych, że w turystykę wodną w Delcie Wisły warto zainwestować. Dziesięć lat po wspomnianej konferencji praktycznie w każdym samorządzie nad Dolną Wisłą i Zalewem Wiślanym byli zwolennicy wykorzystania tych walorów turystycznych.

W międzyczasie Polska przystąpiła do Unii Europejskiej. Przechodziliśmy przyspieszony kurs korzystania ze środków unijnych. A na nasze małe ojczyzny zaczęliśmy patrzeć przez pryzmat europejskich standardów.

W takim klimacie w 2007 roku zrodziła się myśl zbudowania infrastruktury turystycznej dla całego obszaru Delt Wisły i Zalewu Wiślanego.

Narodziny Pętli Żuławskiej

Pętla Żuławska poczęta została w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Pomorskiego. Ówczesny marszałek województwa pomorskiego Jan Kozłowski powołał Biuro Rozwoju Dróg Wodnych, powierzając kierownictwo nad nową

jednostką Zbigniewowi Ptakowi. Nieco później marszałek województwa warmińsko-mazurskiego Jacek Protas podniósł rangę Biura Regionalnego w Elblągu, a Jerzy Wcisła został jego dyrektorem.

8 grudnia 2008 roku marszałkowie obu województw podpisali umowę w sprawie przygotowania Projektu „Pętla Żuławska”. Liderem Projektu zostało Województwo Pomorskie. „Pętla Żuławska” przestała być li tylko piękną idea fixe entuzjastów wykorzystania turystycznych walorów, lecz stała się konkretnym wyzwaniem.



Zadanie przygotowania i sfinansowania prac nad Projektem wzięły na siebie oba samorządy wojewódzkie. W trakcie wielu spotkań zaczęła rodzić się wizja ponad dwudziestu zadań, które można by wykonać w obszarze Delt Wisły.

W rezultacie powstał Projekt pod wieloma względami nowatorski. Skala, liczba partnerów, działanie na obszarach wrażliwych ekologicznie, kreowanie produktu jednolitego turystycznie na rzekach i kanałach o długości 303 km (Wisła, Martwa Wisła, Szkarpa, Wisła Królewiecka, Nogat, Kanał Jagielloński, Elbląg i Pasłęka) oraz akwenie o powierzchni 328 km kw. Zalew Wiślany - powoduje, że kreujemy nową jakość w podejściu do rozwoju turystyki. Po zrealizowaniu Programu nasz region stanie się bezsprzecznie jednym z najlepiej przygotowanych do obsługi żeglarstwa na polskich drogach wodnych. Liczba miejsc cumowniczych szacowana obecnie na ok. 500 miejsc, wzrośnie o kolejne 200 miejsc - nie mówiąc o podniesieniu ich jakości (dostęp do wody, kanalizacji, elektryczności). Żaden z obecnych produktów turystycznych związanych z uprawianiem sportów wodnych w Polsce nie oferuje tak kompleksowej oferty! Tym bardziej, że powstanie też jednolity system informacji i promocji, obejmujący m.in.: oznakowanie dróg wodnych przy pomocy tablic informacyjno-promocyjnych, kampanię reklamową oraz działania promocyjne Pętli Żuławskiej (np. ulotki, foldery, przewodniki, promocja na targach). Istotną częścią działań propagujących Projekt będzie uruchomienie portalu www.petla-zulawska.pl.

W lipcu 2008 roku Projekt „Pętla Żuławska – rozwój turystyki wodnej” uzyskał dofinansowanie w ramach Działania 6.4 „Inwestycje w produkty turystyczne o znaczeniu ponadregionalnym” Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka.

Realizacja 24 zadań wartości 83,6 mln zł, w 60 % - czyli kwotą 50 mln zł - zostanie dofinansowana ze środków unijnych. „Pętla Żuławska” zaczyna żyć.

Decyzja o przyznaniu środków na realizację Projektu oznaczała, że trzeba szybko przejść od ogólnych idei do tworzenia konkretnych dokumentów: projektów wykonawczych, ocen oddziaływania przedsięwzięcia na środowisko oraz – co ważne – ujęcia zaplanowanych inwestycji w budżetach gmin, powiatów i instytucji. Ten proces tak naprawdę nie zakończył się jeszcze do tej pory.

Pokazał jednak, że kosztorysy zaplanowanych przedsięwzięć trzeba skorygować – i to niestety – w górę. Zadania, na które planowano 84 mln zł, w rzeczywistości będą kosztowały 136 mln zł. Przy ich realizacji, dofinansowanie spadłoby z planowanych 60 do niespełna 40 %. Dla niektórych samorządów taki wzrost kosztów byłby nie do udźwignięcia nawet biorąc pod uwagę fakt, że praktycznie połowę kosztów własnych wzięły na siebie samorządy wojewódzkie.

Podjęto więc decyzję o rozłożeniu Projektu na dwa etapy. Pierwszy ma być zrealizowany do roku 2012, drugi do 2014.

14 zadań w I etapie

W I etapie zostanie zrealizowanych 14 zadań o łącznej wartości 81 mln zł oraz szeroki program promocji walorów turystycznych regionu. Łączna wartość tych zadań wynosi 85 mln zł. Z tego 50 mln zł pokryte zostanie ze środków unijnych, a 35 mln zł ze środków partnerów uczestniczących w Projekcie. Warto dodać, że Urzędy Marszałkowskie wsparły program kwotą ok. 5 mln zł (1,1 - województwo pomorskie, 3,8 mln zł – województwo warmińsko-mazurskie). W ramach I etapu zostaną zbudowane lub rozbudowane:

- 3 porty żeglarskie (Elbląg, Krynica Morska, Tolkmicko),
- 6 przystani żeglarskich (Biała Góra, Braniewo, Nowa Pasłęka, Błotnik, Osłonka, Malbork „Park Północny”),
- 2 pomosty cumownicze (Tczew oraz Drewnica),
- stanowiska cumownicze przy służbie Michałowo,
- 2 mosty zwodzone (Gdańsk-Przegalina, Nowa Pasłęka),
- elektryfikacja służby Gdańska Głowa.

Zadania w strefie Zalewu Wiślanego

PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA W BRANIEWIE. W obrębie starego miasta w centrum Braniewa na lewym brzegu rzeki Pasłęki powstanie przystań dla jachtów i małych jednostek żeglugi śródlądowej. Koszt przedsięwzięcia wyniesie 3,2 mln zł.

PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA W NOWEJ PASŁĘCE. Nowa Pasłęka to wieś, nieopodal bazy rybackiej, poniżej mostu Baileya. Działa tam prężny Yacht Club Nowa Pasłęka, organizator m.in. regat w ramach Pucharu Polski Jachtów Kabinowych. Klub wzbogaci się o 22 miejsca postojowe dla jachtów. Przebudowany też zostanie most (na zwodzony) dziś skutecznie utrudniający wypływanie na Zalew Wiślany. Koszt: 6,6 mln zł.

PORT ŻEGLARSKI W ELBLĄGU. Kosztem 11,8 mln zł istniejący basen portowy Jachtklubu Elbląg zostanie dostosowany do jednostek o zanurzeniu do 2,5 m oraz wyposażony m.in. w urządzenia odbioru ścieków, dostęp do energii elektrycznej i wody pitnej oraz solidną wyciągarę.

PORT JACHTOWY W KRYNICY MORSKIEJ. W Krynicy Morskiej są dwa porty (rybacki i jachtowy) oddalone od siebie o 500 m, do których prowadzą osobne tory wodne. Inwestycje będą realizowane w porcie jachtowym. Rozbudowane zostaną falochrony, zmodernizowana keja i nabrzeża, powstaną nowe pomosty, wykonana zostanie sieć elektryczna, wodociągowa i kanalizacja sanitarna. Koszt zadania: 13 mln zł.



PORT W TOLKMICKU. Kosztem 3,5 mln zł przebudowane zostanie nabrzeże zachodnie (doprowadzone zostaną media, wykonane ciągi piesze i jezdne oraz miejsca postojowe) i zamontowane nowe pomosty. Liczb miejsc cumowniczych zwiększy się o 12.

Zadania na Nogacie



PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA „PARK PÓLNOCNY” W MALBORKU. W ramach inwestycji powstaną pomosty o długości 50 m wraz z pochylnią, pozwalające na jednoczesne cumowanie 24 jachtów. Koszt zadania: 5,7 mln zł.

STANOWISKA CUMOWNICZE PRZY ŚLUZIE MICHAŁOWO. Zbudowane kosztem 0,7 mln zł stanowiska cumownicze o długości 15 m pozwolą kilku jachtom poczekać na otwarcie śluzy.

PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA W BIAŁEJ GÓRZE. W miejscu, gdzie bierze swój początek Nogat znajduje się zabytkowa śluza komorowa Biała Góra. Powstanie tu przystań żeglarska na 5 miejsc cumowniczych, z dostępem do instalacji wodno-kanalizacyjnej i elektrycznej. Koszt przedsięwzięcia: 8,2 mln zł.

Zadania na Szarpawie

PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA W OSŁONCE. Przy brzegu rzeki Szarpawy, u podstawy istniejącego wału przewiduje się wykonanie kosztem 1,7 mln zł drewnianego pomostu cumowniczo-rekreacyjnego na 6 jachtów.

POMOSTY CUMOWNICZE W DREWNICY. W Drewnicy koło zwodzonego mostu powstaną pomosty cumownicze wraz z trapami zejściowymi. Koszt: 0,7 mln zł.

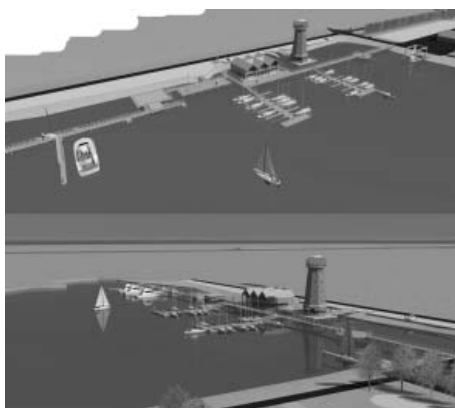
ŚLUZA GDAŃSKA GŁOWA. Jest to zabytkowa śluza komorowa z wrotami uruchamianymi ręcznie. Koszt 1,7 mln zł mechanizm zostanie zelektryfikowany.

Zadania na Wiśle

PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA W BŁOTNIKU. Na „zamknięciu” Martwej Wisły powstaną m.in. pływające pomosty cumownicze dla 30 łodzi, z punktami poboru wody pitnej i energii elektrycznej. Koszt: 6,9 mln zł.

MOST ZWODZONY NAD ŚLUZĄ W PRZEGALINIE. Tu Martwa Wisła łączy się z Wisłą. Brak mostu zwodzonego skutecznie utrudnia wypływanie jachtom z Gdańska na Wisłę. Wkrótce to się zmieni. Koszt 16,8 mln zł zostanie zbudowany most zwodzony o rozpiętości przęsła 18,3 m przy całkowitej długości 22,5 m.

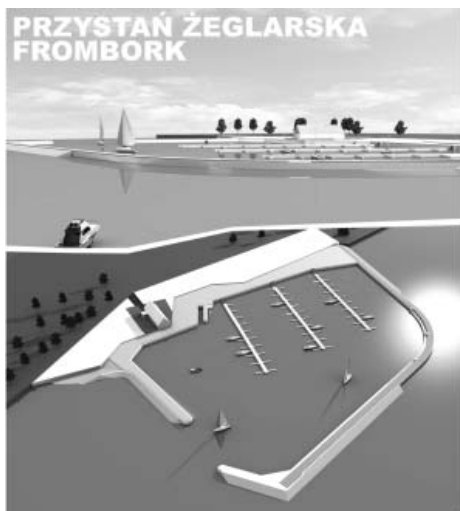
POMOSTY CUMOWNICZE W TCZEWIE. W Tczewie w ostatnich latach zbudowano jedno z nowoczesniejszych miejsc cumowniczych nad dolną Wisłą. Teraz wzbogaci się ono o kolejne dwa pomosty wyposażone w trapy zejściowe, sieć elektryczną i wodno-kanalizacyjną. Koszt przedsięwzięcia: 0,6 mln zł.



W poczekalni

Osiem projektów wartości ok. 56 mln zł zostało przeniesionych do II etapu. Są duże szanse na ich realizację do 2014 roku. Dotyczy to następujących zadań:

- rozbudowa portu żeglarskiego we Fromborku – 17,8 mln zł
- budowa przystani żeglugi turystycznej w Gniewie – 2,9 mln zł
- budowa przystani żeglarskiej przy Wzgórzu Zamkowym w Gniewie – 2,0 mln zł
- budowa przystani żeglarskiej w Sobieszewie – 9,2 mln zł
- budowa przystani żeglarskiej „Park Północny” w Malborku – 6,1 mln zł
- budowa przystani żeglarskiej w Rybinie – 4,4 mln zł
- rozbudowa portu w Kątach Rybackich – 6,7 mln zł
- budowa stanowisk cumowniczych przy śluzach: Biała Góra, Szonowo, Rakowiec, Gdańska Głowa, Przegalina – 5,6 mln zł



Szacuje się, że efektem realizacji Programu będzie wzrost liczby żeglujących po naszych drogach wodnych o ok. 50 %, czyli, że każdego roku będziemy gościli na naszych rzekach i na Zalewie Wiślanym ok. 3 tysiące jachtów. 20 tysięcy turystów będzie korzystało z dobrodziejstw „Pętli Żuławskiej”!

Dużo to czy mało? Pewnie za mało, by porównywać się z Wielkimi Jeziorami Mazurskimi, ale wystarczająco, by o Pętli Żuławskiej mówiono jako o „wartym zachodu” regionie turystyki wodnej.

Marek Opitz

Przenosiny domu podcieniowego czyli wyzwanie dla konesera *Skąd biorą się szaleńcy, którzy przenoszą domy*

Na co dzień jestem fotografem regionu. W kolejnych albumach staram się pokazać ulotne piękno delty Wisły – jej architekturę i surowy krajobraz. Już na zdjęciach widoczne było postępujące działanie czasu i jego wpływ na niszczenie wspaniałych obiektów. Kiedy spotyka się zdewastowany cmentarz, niechciany dom, który zachował ślady dawnej dumy jego mieszkańców, rozkradaną ruinę kościoła, budzi się chęć działania. Z przyjaciółmi założyliśmy Muzeum Żuławskie. Realizujemy projekty chroniące regionalne dziedzictwo kulturowe, dlatego też kiedy spłot różnych wydarzeń sprawił, że mogłem uratować dom, zaczęła się historia, która zaangażowała nie tylko mnie ale ekspertów, rzemieślników, regionalistów oraz osoby, które chcą przeżyć podobną przygodę, do których głównie kieruję tę opowieść o zmaganiach z przenoszeniem domu.

Dom podcieniowy, który przeniosłem do Żelichowa / Cyganka, wielokrotnie widywałem już jako mały chłopiec, kiedy mijałem go odwiedzając Jelonki na trasie rejsów z Żuław na pojezierze Iławsko - Ostródzkie. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie można było zobaczyć dwa domy podcieniowe obok siebie. Do 2006 roku nie przypuszczałem, że kiedyś przyjadę zakłócić ten obraz. Dziś nie mam wątpliwości, że postąpiłem słusznie - jeden z domów podcieniowych został uratowany. Dom chętnie pokazywany w folderach i wyliczany w inwentarzu zabytków niszczał na oczach mieszkańców i włodarzy regionu. Ludzie, którzy ten dom zbudowali byli bogatymi chłopami. Mieli ponad 100 hektarów ziemi, dom był zatem częścią dużego gospodarstwa; folwarku, w którym zatrudniano kilka osób. Czasy powojenne przyniosły nową sytuację ustrojową i gospodarczą. Domy podcieniowe były zasiedlane przez kilka rodzin, co sprawiało, że pierwotny układ budynku często zagubił się w przybudowach i adaptacjach. Niewielu właścicieli przysłużyło się trwałości tych domów. Najgorzej było w domach gdzie jakaś jego część stanowiła współwłasność. Były to najczęściej zdewastowane miejsca. Sąsiedzi przerzucali się odpowiedzialnością za wykonanie remontu nie poprawiając chociażby dachówki.

Dom, który mnie zainteresował początkowo miał dwóch właścicieli, ale w latach 80-tych na szczęście tylko jednego. Potrzeby rodziny sprawiły, że z pierwotnych ośmiu pomieszczeń zrobiło się z czasem piętnaście – kotłownia, łazienki, spiżarnia, pokoje dla dzieci. Niewiele żuławskich domów miało szczęście być remontowanych po wojnie zgodnie z zasadami sztuki konserwatorskiej. Jedyna akcja remontowa odbyła się na przełomie lat 60-tych i 70-tych. Kilku najpiękniejszym domom przedłużyło to życie (np. w Marynowach, Rozgarcie, Żuławkach, Nowej Kościelnicy). Część jednak padła ofiarą nadopiekuńczości

urzędników, jak w Tropach Elbląskich, gdyby pozwolono w niektórych przypadkach na zmianę poszycia dachu – być może do dziś zachowałyby się więcej domów, a wioska doczekałaby czasów, kiedy posiadanie zabytku jest nobilitacją, a uregulowania prawne odpowiednio wspierają finansowanie zarówno właścicieli prywatnych jak i samorządowych.

Kupić nie kupić - oględziny domu

Dom, który nam się podoba warto oglądać z postronnymi osobami, które nie są emocjonalnie zaangażowane. Często oglądając dom widzimy oczyma wyobraźni, jak będzie pięknie napalić w piecu i słuchać jak świerszcz gra w kominie. Wszelkie usterki wydawały mi się mało znaczące. Do samego momentu rozbiórki nie wierzyłem, że uratuje się mniej niż połowa elementów drewnianych. Oględziny przeprowadzałem kilka razy angażując w to różnych ekspertów budowlanych cieśli, stolarzy. Każdy oceniał dom pod innym kątem.



Dom podcieniowy w Jelonekach (fot. M. Opitz)

Dom drewniany niszczy się najbardziej w miejscach, gdzie woda nieustannie zalewa drewniane elementy z utrudnioną możliwością wysychania. Te miejsca łatwo rozpoznać i ocenić ich stan - są to miejsca zazwyczaj z widocznymi deformacjami elementów, zbutwiałe i zgrzybiałe. Podwalina niemal w każdym starym domu jest do wymiany, a w przypadku opisywanego domu podwalina praktycznie zniknęła. Mimo, że była wykonana z dębowych

belek zachowały się jedynie jej zmurszałe fragmenty. Łatwo zauważyć otwory po szkodnikach, odchylenia od pionu. Można wykonać nakłucia szpikulcem sprawdzając, jak daleko jest miękka warstwa pamiętając, że powierzchowna korozja drewna nie dyskwalifikuje materiału. Najczęściej zniszczona jest część północna budynku pozbawiona promieni słonecznych. Jest doskonałym miejscem dla rozrostu grzybów i porostów. Największą trudnością jest stwierdzenie stanu drewnianych elementów w miejscu styku belek, złączy, zaczepów, połączeń przy murze. Stan tych miejsc odkrywamy dopiero podczas demontażu i musimy nastawić się na najgorsze. W przypadku domu z Jelonek udało zachować się około 40-50% drewna. Deski podłogowe były kładzione bezpośrednio w ziemi, więc do niczego się nie nadawały. Zdrowe belki, nawet mocno wygięte z powodu osunięcia się fundamentów wróciły do swoich pierwotnych kształtów po zlikwidowaniu obciążeń. Wszelkie elementy ozdobne jak np. zdobienia szczytów, choć mają ślady zużycia, można po konserwacji i flekowaniu zastosować ponownie. Czym więcej

zachowamy oryginalnych detali, to dom będzie miał bardziej sędziwy i szlachecki wygląd. Sposoby wyceny najlepiej skonsultujemy z ekspertem od nieruchomości. Jedno jest pewne, że w przypadku przenoszonego domu nie bierzemy pod uwagę pięknego położenia budynku, widoku z okien itd. Należy brać pod uwagę: wielkość i materiał z jakiego został wykonany, stan zachowania poszczególnych elementów, wartość architektoniczną, zdobienia, urodę domu, oryginalność wykonania, wartość historyczną (data powstania, wydarzenia historyczne, którego świadkiem był obiekt np. podpisanie jakiegoś ważnego porozumienia, zamieszkanie przez sławną osobę), stan prawny (ilość właścicieli, wpis do ewidencji lub rejestru zabytków).

Formalności

W przypadku domu w Jelonkach właściciel ze względów rodzinnych nie był zainteresowany dalszym użytkowaniem tak dużego domu. Występował wielokrotnie do służb konserwatorskich o wydanie zgody na rozbiórkę, chcąc z pozyskanego materiału wybudować mniejszy dom. W tym przypadku konsekwentne odmawianie zezwolenia na rozbiórkę uratowało dom. Tu zaczyna się historia procedur, pozwoleń, dokumentacji. Po zakupie domu wystąpiłem do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków z wnioskiem o przeniesienie domu do miejscowości Żelichowo/Cyganek. Konserwator wydanie pozytywnej decyzji uzależnił od: wykonania inwentaryzacji budynku z detalami w odpowiedniej skali, wykonania dokumentacji fotograficznej, wykonania na podstawie inwentaryzacji projektu budowlanego, uzyskania pozwolenia na budowę.

Po spełnieniu tych warunków mogłem wystąpić do urzędu powiatowego w Elblągu o pozwolenie na demontaż. Warunkiem jego uzyskania była pozytywna decyzja konserwatora, plan demontażu, plan bezpieczeństwa BIOS. Moment rozpoczęcia prac należało zgłosić pisemnie do urzędu powiatowego oraz Państwowej Inspekcji Pracy. Konserwator ustanowił też nadzór konserwatorski, który sprawował z ramienia urzędu ochrony zabytków w Olsztynie – Jerzy Domino.

Zanim zdejmemy pierwszą dachówkę

Dobrze zrobiona inwentaryzacja to gwarancja, że to co wybudujemy będzie podobne do domu, który demontowaliśmy. Trzeba pamiętać, że zazwyczaj kosztowna dokumentacja jest podstawą wykonania projektu budowlanego. Przed rozpoczęciem prac konieczne trzeba oznaczyć poszczególne elementy. Robi się to najczęściej przybijając do każdego elementu domu numerowane blaszki o wy-

miarach około 2 x 4cm. Numery na blaszkach muszą odpowiadać elementom przeznaczonym w inwentaryzacji. Takie rozwiązanie zapewnia nam brak problemów przy składaniu domu.

Ważne jest odpowiednie składowanie demontowanych elementów, tak aby odpowiadało to kolejności przy ponownym składaniu. Tu ważna rada- dobrze jest aby ten sam fachowiec demontował i montował budynek, zaoszczędzi to dużo czasu. Kolejne zaoszczędzenie czasu to przygotowanie się do dokładnego zbadania poszczególnych elementów pod względem zużycia. Najlepiej w oparciu o inwentaryzację przygotować osobne zestawienie. Oceniamy, czy potrzebne jest flankowanie (uzupełnianie ubytków) czy może wymiana całego elementu. Często belki stropowe, elementy ścian i krokwie w miejscach zaczepów są mocno zniszczone. Powinno się wówczas zaplanować wymianę całego elementu pamiętając, że stare, skrócone elementy mogą być jeszcze użyte w innym miejscu. Dokładna analiza stanu zachowania elementów domu pozwoli przygotować zamówienie do tartaku, tak aby zamówienia dokonać tylko raz, zaoszczędzając na koszcie transportu. To teoria, którą warto znać, jednak nikomu ze znanych mi inwestorów nie udało się dokładnie trafić z określeniem potrzebnej ilości materiału, zawsze wychodzi coś nowego przy budowie. Ale nie ma się czym martwić - nic się nie zmarnuje. Strefy niebezpieczne oraz teren budowy należy oznaczyć i ogrodzić. Odizolowanie terenu demontażu, oprócz wymogów prawnych jakie nakładają na nas przepisy, mają dodatkową zaletę umożliwiającą ochronę obiektu przed poszukiwaczami skarbów i wandalami. Obserwując aukcje internetowe można zauważyć, że sprzedaje się wszystko – klamki, gwoździe, okucia do okien.

Odkrywanie tajemnic domu - demontaż

Podczas demontażu dom zaczyna odkrywać swoje tajemnice – dokładniej-szy czas budowy, przeznaczenie pomieszczeń, przebudowy, wydarzenia np. pożar. W domu w Jelonkach szczytowe szyby w oknach były przestrzelone jeszcze z czasów wojennych (udało się jedną uratować). Napisy upamiętniające remont i pobyt radzieckiego żołnierza, czy zapiski ilości ziarna zgromadzonego na poddaszu. Użyte do budowy cegły okazały się prawdziwym skarbem – o wymiarach gotyckiej cegły, robione ręcznie z wieloma śladami palców strycharza i zwierząt. Dom był przebudowywany wielokrotnie jeszcze w latach międzywojennych, a podwójne reprezentacyjne drzwi z wielkiej izby zawędrowały już przerobione do pomieszczeń gospodarczych. Wszelkie odkrycia zostały skrzętnie zapisane, stanowiąc cenną dokumentację konserwatorsko-historyczną budynku istotną przy ubieganiu się o wpis do rejestru zabytków. Ciekawa, zapewne dotycząca każdego domu, jest historia tapetowania od tych pierwszych, najstarszych, kładzionych tapet na materiale i gazetach spełniających rolę wyrównującą i zapewniającą oddychanie ścian, po współczesne – winylowe. Warto zachować próbki tworząc

zapis gustów i mody jakim podlegał nasz dom, jakim ulegali jego mieszkańcy. Zebrane zostały próbki farb naściennych i tynków, aby ocenić kolejność przemalowań; kolory – można zeskanować na zwykłym skanerze do dokumentów, a zobaczymy całą historię stosowanych barw. Warto zwracać uwagę na różnego rodzaju ręcznie malowane zdobienia sufitów, belek stropowych, kalkomanii, malunków powstających przy pomocy szablonów. Jeśli takie się pojawią wymagają specjalnego traktowania podczas demontażu.

Demontaż zaczął się od odłączenia energii elektrycznej, usunięcia zbędnych ścianek działowych i dykt, tak aby odkryć właściwe elementy nośne budynku. Uzbierały się tego dwie przyczepy niepotrzebnych odpadów. Przy tej operacji ważna jest ocena stanu konstrukcji budynku, biorąc pod uwagę, że dom podlegał wielokrotnym przebudowom, które mogły naruszyć elementy nośne. Ślady pożaru powinny być również powodem do dokładnych oględzin stanu konstrukcji. W tych miejscach podczas demontażu elementy budynku mogą ulec niekontrolowanemu zawaleniu się. Stary dom to niebezpieczna zagadka, niewidoczne pęknięcia, ubytki elementów, poluzowane kołki łączące mogą przysporzyć kłopotów. Zdjęcie dachówki holenderki należy wykonać równomiernie – jedna dachówka waży 3,5 kg, a cały dach liczy ich kilka tysięcy, czyli mamy do czynienia z kilkutonową pokrywą. Nierównomierny nacisk na zużytą konstrukcję budynku z pomocą wiatru może doprowadzić do nieprzewidywalnych sytuacji z katastrofą budowlaną włącznie. Od momentu zdjęcia dachówki dom jest narażony na działanie deszczu, a szczególnie wrażliwe są elementy stolarki drzwi, okien. Dużym elementom niewielkie deszcze nie zaszkodzą. Jednak niesprzyjająca aura może wydłużyć prace demontażowe. Rozbieranie drewnianego domu budowanego tradycyjną metodą łączenia jest proste. Wybija się kołki lub rozwierca luzując dany element. Nie bójmy się stuknąć belką o belkę, każde takie starcie, o ile nie mamy do czynienia z belkami rzeźbionymi, malunkami, jest testem sprawdzającym wytrzymałość. Miejsca łączenia belek, ścian kołkami najczęściej mają oznaczenia. Daje to pojęcie o miejscach mocowania i możliwość zastosowania techniki rozłączenia elementów. Przydają się żabki, łapki, lewary, proste windy, podkładki drewniane zapobiegające kaleczeniu drewna. Warto zbierać wszystkie kute gwoździe, okucia, można je ponownie użyć.

Dom w częściach

Kiedy już wszystko przewieźliśmy na nowe miejsce budowy, trzeba zadbać o dobre składowanie drewnianych elementów, zapewniając przewiew i zabezpieczenie daszkiem przed opadami. Jeśli zakładamy gazowanie drewna trzeba sprawić, żeby ułożone elementy zajmowały jak najmniejszą kubaturę. Firmy wykonujące gazowanie kalkulują cenę za usługę głównie na podstawie metrów

sześciennych do zgazowania. Stolarkę drzwiową i okienną, jeśli ma dłużej czekać na zamontowanie, najlepiej schować w suchym magazynie. Kiedy dom czeka na postawienie konieczne są kolejne decyzje.

Impregnacja. Walka ze szkodnikami

Rozważałem pozbycie się szkodników w sposób impregnacji. Impregnacja zanurzeniowa wygląda w ten sposób, że wykonuje się długi, wąski wykop w ziemi, wykłada go szczelnie kilkoma warstwami folii (najlepiej plandek) i tak do przygotowanej wanny wkłada się poszczególne elementy, a potem zalewa się je impregnatem. Jeśli ma to być naturalny impregnat to polecany jest pokost lniany i terpentyna w proporcjach pół na pół. Jest to najczęściej polecany sposób zabezpieczenia drewna nieszkodliwy dla ludzi. Terpentyna powoduje, że pokost głębiej wnika w drewno, jednak trzeba uważać bo ma ona niską temperaturę zapłonu (60° C). Wybierając tę metodę sprowadza się fachowców np. skutników. W internecie można spotkać dokładne opisy stosowania metody pokostowo-terpentinowej pod względem zachowania zasad bezpieczeństwa. Metoda zanurzeniowa jest niestety bardzo kosztowna i nie zapewnia całkowitego zniszczenia szkodników - impregnat wnika najwyżej kilka centymetrów. Kolejna metoda na szkodniki to fumigacja drewna – gazowanie. Złożony dom okrywa się szczelnie folią a do środka wstawia trujący gaz. Po tygodniu takiej operacji wszystkie robaki w drewnie giną. Ta metoda ma sens jeśli zaraz po gazowaniu drewno zostanie zaimpregnowane substancją odstraszającą szkodniki. Taki sposób został wykorzystany w Cyganku. Pamiętajmy, że gazowanie może wykonać tylko specjalistyczna firma mająca aktualnie pozwolenie na stosowanie śmiertelnie trującego gazu. Nie powierzajmy tych działań konserwatorom - amatorom. Ważne jest tutaj zastrzeżenie, że sposób zastosowania zabezpieczeń należy dobrać do konkretnego obiektu ustalając stopień zużycia, rodzaj i wielkość użytego materiału, jego przeznaczenie oraz strefę klimatyczną itd. Wszystko to ma wpływ na rodzaj i zakres stosowanych impregnatów czy sposobów niszczenia szkodników. Najwłaściwszy moment konserwacji to bieżąca impregnacja w trakcie tworzenia konstrukcji domu- chroni to w miarę szybko przed ponownym wejściem do naszego domu szkodników (w przypadku gazowania) oraz zabezpieczy przed działaniem wilgoci. Przedłużające się prace i deszcz sprawiają, że na ocienionych niezaimpregnowanych elementach pojawi się grzyb, mech, powodując wrażenie, że cała praca zaraz pójdzie na marne i będziemy mieszkać w zagrzybionym domu.

Materiały

Idealnie byłoby mieć przygotowane na wymianę drewno o tych samych parametrach. Jeśli planujemy z wyprzedzeniem taką operację możemy spróbować pozyskać materiał z rozbiórek innych domów. Szczególnie polecane jest użycie takiego materiału przy odtwarzaniu stolarki okiennej i drzwiowej oraz flekowaniu starych elementów. Najczęściej pozostaje nam zakupienie nowego surowca prosto z tartaku, jednak użycie takiego drewna będzie problemem bez jego sezonowania. Nowo pozyskane drewno aby przybliżyło się do parametrów starego musi odczekać odpowiednio 2 - 3 lata. Drewno zmienia podczas sezonowania swoją objętość, więc jeśli użyjemy surowego drewna do budowy domu to możemy być pewni, że po kilku latach ściana skróci się o kilka centymetrów. W opisywanym domu, drewno nie doczekało się idealnych parametrów, mam nadzieję, że stare z nowym się ułoży wspomagane uszczelnieniem.

Na uszczelnienie między belkami wybrałem wełnę drzewną, najbardziej dostępny i tani materiał. Wybierając rodzaj uszczelnienia należy pamiętać, że powinien to być naturalny materiał, który będzie pracował razem z elementami drewnianymi niezależnie od nacisku kolejnych warstw, będzie pęczniał niezależnie od warunków atmosferycznych. Pierwotnie w domu użyte były włókna konopne. Świadomie pominę tu kwestię konstrukcyjną zawartą w projekcie, który często udostępniam naśladowcom czy osobom, które chcą zмагаć się z podobną operacją.

Większość prac ciesielskich wykonywanych było metodami dawnych mistrzów. Wyjątkiem było zastosowanie elektrycznego struga i piły spalinowej. Majstrowi najczęściej potrzebne były dłuta z japońskiej stali, siekierka, komplet przedwojennych wiertel i kilkanaście bukowych młotków. Do nakładania na siebie drewnianych bali używano prostych wind i bloków.

Zaczynamy budowę - fundamenty

Posadowienie fundamentowe tylko z kamieni przełożonych zaprawą wapienną z jajkiem i miodem jest trudne do wykonania tym bardziej, że przepisy nakazują zapewnić odpowiednią głębokość, zapewniającą posadowienie w warstwie gruntu, która nie przemarza (na Żuławach to średnio metr). Dom w Jelonekach, co było zaskoczeniem, stał na kamiennych fundamentach mających 40 cm głębokości. Fundament nie stanowił jednego poziomu więc ściany w różnych miejscach były osunięte, a co za tym, idzie belki stropowe ugięte nawet do 15 cm. Wybrałem wariant współczesny kamienno-betonowy. Została wylana zbrojona ława fundamentowa o szerokości 80 cm. Ściana fundamentowa, posadowiona na ławie, do poziomu gruntu została wykonana z bloczków betonowych. Powyżej poziomu gruntu zaczyna się pas kamienno-betonowy. Na zewnątrz



Przenosiny domu podcieniowego do Cyganka -
budowa fundamentów. (fot. M. Opitz)

kamienie ułożone na zaprawie cementowej, a wewnątrz betonowa wylewka stabilizująca kamienny mur. Dodatkowo główne ławy fundamentów zostały związane ze sobą mniejszą ławą żelbetową, tworząc rodzaj krzyża łączącego przeciwległe fundamenty. Przy tak dużych wymiarach budynku (20 x 10 m) istnieje możliwość rozchodzenia się fundamentów szczególnie w mokrej żuławskiej ziemi.

Odtwarzamy dawny układ pomieszczeń

Pomieszczenia zostają odtwarzane zgodnie z pierwotnym układem – wielka sień z której przechodzimy do pokoju reprezentacyjnego z podwójnymi drzwiami, piec narożny, czarna kuchnia z zachowaną funkcją wędzarni, wielki korytarz oddzielający część mieszkalną od gospodarczej. Dodatkowym elementem, który często był stosowany w zagrodach holenderskich i domach podcieniowych był podcień kuchenny, zwany też gospodarczym. Jest to miejsce gdzie umieszczone zostały drzwi z 1753 roku z karczmą założonej jeszcze przez Krzyżaków z Marynowa. Zanosi się, że będzie to najprzyjemniejsze miejsce do odpoczynku z widokiem na park. Podcień wykonany został z elementów, które nie nadawały się do ponownego użycia jak np. słupy podcienia, fragmenty belek stropowych i krokwi. Podobnie postępowano dawniej. Żaden kawałek drewna nie mógł się zmarnować co widać było po demontażu domu. Można by się pokusić o wykonanie mapy wędrówek niektórych elementów z historią zmian funkcjonalnych pomieszczeń. Takie badania można tylko wykonać podczas demontażu, kiedy możemy przyjrzeć się każdemu kawałkowi domu. Ściany podcienia między bel-



Budowa domu w Cyganku. (fot. M. Opitz)

kami zostały wypełnione otynkowaną cegłą tzw. murem pruskim. Piasek, który posłużył do murowania podcienia, wcześniej użyty był podczas powodzi 14.10.2009. W starszych domach podcieniowych używano gliny zbrojonej gałęziami i witkami. Bardziej luksusowe wykończenie było wykonane z cegły holenderki, która przybywała do nas z Niderlandów jako balast okrętu. Głównym towarem, dla którego odby-

wała się wymiana towarowa między Niderlandami a Gdańskiem, było żuławskie zboże, do którego były przystosowane statki. Zboże zapewniało odpowiednie zaopatrzenie. Natomiast na trasie powrotnej potrzebny był towar zapewniający odpowiednią wagę. Przeważnie były to cegły ceramiczne, płytki delfickie.

Nic nie może się zmarnować

Wszelkie odpady drewna są selekcjonowane pod kątem wykorzystania. Zniszczone belki, o ile została w nich część zdrowego materiału, doskonale nadają się na ścianki działowe czy uzupełnienia (fleki) starego drewna użytego w konstrukcji budynku. Z końcówek belek, zamków zamierzam utworzyć małą galerię sposobów łączenia zrębowych konstrukcji domów. Fragmenty zdobień, powierzchnie zniszczonych desek stanowią same w sobie dzieła sztuki. Wyczyszczone i zadbane będą podkreślać klimat domu z historią. Części ram okiennych udało się zachować, tylko niektóre wymagały kilku fleków. Coraz trudniej znaleźć warsztat i fachowca, który wykona okna, tak aby przypominały stolarkę z dawnych czasów. W przypadku domu z Jelonek trwało to rok, ale warto było czekać – mam świetne okna dzielone tzw. szprosami na 6 szybek, łączone na kołki, szklone kitem z widocznymi śladami pracy narzędzi stolarskich. Do wykonania stolarki okiennej przydają się wszelkie pasujące wymiarem, bez sęków, odpady starego drewna. Odpady belek można też wykorzystać wykonując z nich bruk, który będzie dobrze wyglądał w części gospodarczej. Dach domu pokryty był dachówką holenderką aż w pięciu rozmiarach. Przed jej położeniem dokonano inwentaryzacji i rozdzielono na poszczególne połacie dachu. To jednak spowodowało, że dachówki z jednym wymiarem starczyło na połowę dachu. Na dachu znalazło się około 50 % pierwotnego materiału. Tu z pomocą przyszli sąsiedzi zza płotu- Rada parafialna kościoła grekokatolickiego św. Mikołaja w Cyganku, która przekazała starą dachówkę z kościoła. Mimo, że dachówka kościelna miała inny wymiar niż oryginalna, to najważniejsze, że sytuacja została uratowana.

Czym więcej zrobione tym więcej widać ile jest do zrobienia

Dom w tej chwili jest wykonany w stanie tzw. surowym zamkniętym. Na wiosnę rozpoczyna się przygotowania do wykonania instalacji grzewczej, wodnej, elektrycznej i kanalizacyjnej. Sercem instalacji grzewczej będzie piec opalany drewnem z wymuszonym rozprowadzeniem ciepłego powietrza po całym domu. Piec będzie ukryty obok kuchni w kaflowym piecu chlebowym. Kanały doprowadzające ciepłe powietrze zostaną umieszczone pod podłogą oraz w stropie.

Regulacja poszczególnych kanałów zapewni sterowanie temperaturą w pomieszczeniach. Dom będzie najczęściej wykorzystywany w okresie od wiosny do jesieni. Zimą pozostanie dogrzanie pomieszczeń piecami. Jak wskazuje praktyka adaptacji podcienia na cele mieszkalne, zimą nie jest możliwe dogrzanie tego pomieszczenia dlatego od razu zakładam, że będzie to pokój letni. Doprowadzenie zewnętrznego powietrza do pieca będzie przechodziło przez podziemny tunel z kamieniami polnymi. Zimą zapewni to większą sprawność ogrzewania podając cieplejsze niż na dworze powietrze a latem będzie możliwość zasilania w domu w chłodne powietrze. Instalacja wodna i kanalizacja będzie ukryta pod podłogami w stropie i murach czarnej kuchni. W domu ma być jak najmniej śladów nowoczesnych rozwiązań. Instalacja elektryczna będzie wykonana z największą pieczołowitością. W projekcie zakłada się unikanie prowadzenia przewodów w drewnie, założenie wyłączników przepięciowych. Hermetyczne gniazda, aby nie szpecić ścian, zostaną zamontowane w specjalnych podłogowych zamknięciach odcinane w razie powodzi. Ograniczone zostanie zastosowanie oświetlenia halogenowego bowiem temperatura jaką wytwarza rodzi zagrożenie pożarowe. Oświetleniem ekspozycyjnym będzie światło LED, które cechuje oszczędność i bezpieczna temperatura, głównym zaś żarówki o odpowiedniej temperaturze barwowej. Podłogi zostaną wykonane tradycyjnie. W pomieszczeniach reprezentacyjnych szerokie deski bite widocznymi gwoździami. W sieni i korytarzu cegła, a w dawnych pomieszczeniach gospodarczych bruk z drewna i cegła.

Kiedy otwarcie?

Jeszcze dwa lata temu znałem jego przybliżony termin. Dziś, cieszę się, że dom zaczyna funkcjonować zgodnie z marzeniami. Już kilkanaście osób chcących przejść podobną drogę mogło gruntownie zapoznać się z postępem prac i skorzystać z naszych doświadczeń. Kilka osób zatrzymało się na dłużej żeby podpatrywać pracę majstra. Odbyła się konferencja ekologiczna, spotkania integracyjne etnografów i szkolenie liderów projektu Tradycyjny dom żuławski, gdzie uczestnicy mogli zapoznać się z technologią i materiałami jakie stosuje się przy budowie tradycyjnymi metodami. Dom w budowie odwiedził Marszałek Województwa Pomorskiego Jan Kozłowski, Konsul Niderlandów Pani Magdalena Pramfelt, eksperci europejskiej rady ICOMOS Międzynarodowej Rada Ochrony Zabytków i Miejsc Historycznych. Jeśli tylko jest to możliwe udostępniamy dom do zwiedzania turystom. Dom będzie miejscem otwartym na inicjatywy chroniące i rozwijające nasz region. Spotkania, kameralne konferencje, szkolenia, laboratorium kuchni żuławskiej, artystyczne i historyczne wystawy czasowe, a przede wszystkim miejsce spotkań z prawdziwą historią Żuław nieskrzywioną komercyjnymi potrzebami rynku turystycznego.

Danuta Thiel-Melerska

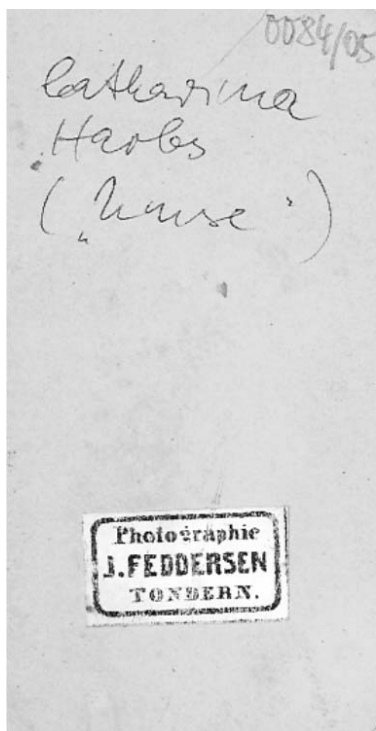
Fotorevers Leksykon fotografii

Fotografią, jako obiektem zbieractwa zainteresowałam się zupełnie przypadkowo. Moim konikiem przed paru laty była genealogia rodzinna. Mieszkając 50 metrów od granicy szwajcarskiej i pół kilometra od granicy z Francją, tam znalazłam możliwości poszukiwania moich przodków. Jeździłam co sobotę do Archiwum Genealogicznego do Bazylei i przeglądając sfilmowane przez Mormonów księgi metrykalne, wyszukiwałam moich przodków. Po pewnym czasie naszła mnie myśl, żeby dowiedzieć się – jak Oni wyglądali?

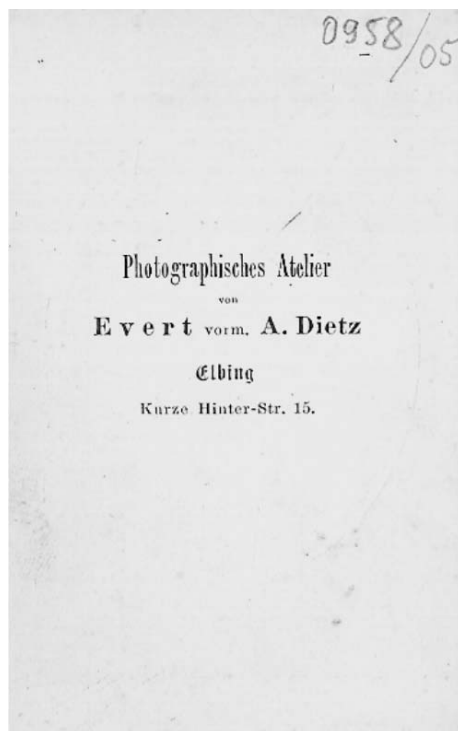
I przypomniało mi się, że album rodziny Omieczyńskich, z których pochodzi moja prababka, podarowałam znanemu mi fotografowi z Malborka. Po 20 latach skontaktowałam się z nim i był on gotowy oddać mi te fotografie, w zamian za inne, tak samo stare zdjęcia. Zaczęłam szukać i kupować zdjęcia. I tak to się zaczęło. Zbiór mój liczy obecnie około 7000 fotografii. Jest to jeden z nielicznych, tak dużych prywatnych kolekcji fotograficznych w Polsce.

Jednakże moje zainteresowanie zwróciło się nie w kierunku podziwiania osób fotografowanych lecz odezwał się zew archiwisty-historyka. Zaczęłam gromadzić fotografie przyjmując, jako główne kryterium, działalność fotografów. Jakże byłam naiwna myśląc, że znajdę wiele informacji na temat fotografów zawodowych. Po latach wiem, jak trudno jest znaleźć dane o istnieniu zakładów fotograficznych i jak wiele nazwisk fotografów zostało zapomnianych. Możemy powiedzieć, że miłośnikom starej fotografii towarzyszy szczęście wówczas, gdy fotograf otrzymał tytuł „Nadwornego Fotografa”, co oznacza, że w archiwach możemy znaleźć dokumenty potwierdzające nadanie mu tego tytułu. W pozostałych przypadkach pozostają zbieraczom tylko lokalne gazety z ich reklamami i książki adresowe. Musiałam zadowolić się strzępami wiadomości znajdujących w internecie czy starych dokumentach. Zawsze jednak pierwszorzędym źródłem informacji jest rewers zdjęcia. Na mojej stronie internetowej - www.fotorevers.eu - zajmuję się przede wszystkim dokumentowaniem działalności fotografów i ich atelier w latach 1839 - 1920.

Pierwsze fotografie na papierze albuminowym były tak cienkie i delikatne, że trzeba było je naklejać na tekturkę. Początkowo tylnej strony zdjęcia nie opisywano, dopiero później pod koniec lat 50-tych XIX wieku wpisywano nazwisko, imię, miasto i zawód autora zdjęcia.



Tondern, J. Feddersen.



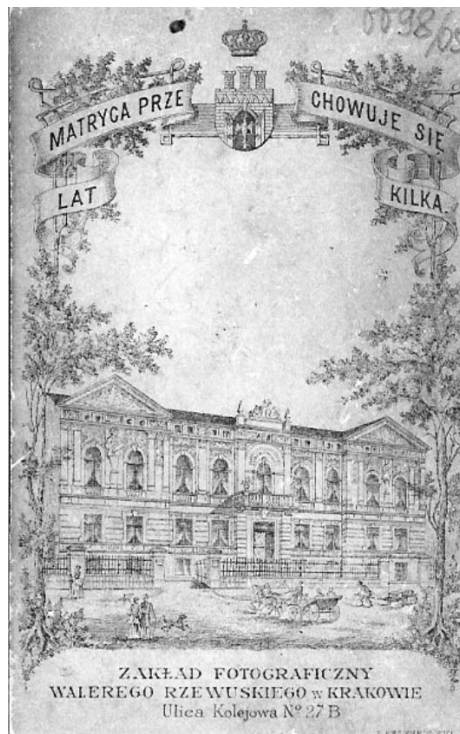
Elbląg, Evert.

Często bowiem fotografami w tym czasie byli naukowcy, pasjonaci, malarze artyści, aptekarze, chemicy, fizycy, litografowie, ale także aktorzy.

W kolejnej dekadzie lat 60-tych XIX wieku, rewers był w dalszym ciągu niepozorny ale z czasem odkryto tylną stronę zdjęcia znakomicie nadającą się do umieszczania na niej reklam własnego zakładu.



Lwów, J. Dutkiewicz.



Kraków, Walery Rzewuski.

Zróznicowano ozdobne napisy i rozbudowano treści informacyjne. Litografie stają się bardziej ozdobne, barwne, często złożone. Zaczęto umieszczać na nich coraz więcej informacji o otrzymanych nagrodach, nadanych tytułach. Podkreślano także walory artystyczno - malarskie zdjęć, a nawet zamieszczano informację „zapewnia się o całkowitym podobieństwie do oryginału”.

Okolo roku 1890 pojawiają się piękne secesyjne winiety, podnoszące jeszcze bardziej rangę zdjęć. Nieprawdopodobnie duża konkurencja spowodowała, że zaczęto dążyć do ulepszenia nie tylko jakości zdjęć, ale często rozbudowywano ornamentykę i kolorystykę rewersów.



Wadowice, J. Gach.



Częstochowa, Maksymilian Kohn.

Litografie na rewersach zdjęć przyczyniły się do podniesienia ich urody, dawały fotografiom wyższej rangi, natomiast rozpatrywane pod względem dokumentalnym, ułatwiają nam datowanie zdjęć i czerpanie informacji o dziejach zakładów fotograficznych.

Ostatnio coraz częściej otrzymuję zapytania, ale także informacje od wnuków czy krewnych fotografów. Te kontakty cenię sobie najbardziej.

Pani Jutta Brauer z Berlina przysłała mi informacje o swoim przodkach fotografach. Pradziadek jej Carl E. Schinkowsky urodzony dnia 22.01.1826 w Kłajpedzie, zmarły w 1871 w Królewcu, z zawodu był księgowym potem został fotografem w Królewcu. Syn jego także Karl ur. dnia 19.09.1857 w Rynie, zmarły 12.06.1945 w Berlinie. Od 1878 pracował jako drogerzysta w Tylży. Około 1880 roku przeniósł się do Grudziądza i tam przy ul. Solnej 2 otworzył swoje atelier fotograficzne. Następnie od 1921 zamieszkał z rodziną w Berlinie.



Carl Eduard Schinkowsky, Królewiec



Karl Schinkowsky z psem Berry, Grudziądz

Od niej otrzymałam także fotografie innych atelier np. niezwykle cenne i rzadkie fotografie wnętrza zakładu grudziądzkiego Gustawa Joop'a.

Pomału zgłaszali się do mnie zbieracze i genealodzy zainteresowani fotografią. Niektórzy wpisywali mi się na moją stronę internetową www.fotorevers.eu

„Z ogromną przyjemnością byłam kilka godzin na tej pięknej stronie . Przeczytałam wszystko i obejrzałam każde zdjęcie. Była to wycieczka w zaczarowany świat. Dziękuję Pani bardzo, za te wspaniałe przeżycia. Jestem pod ogromnym wrażeniem i szczerze gratuluję wspaniałego pomysłu na stworzenie takiej fantastycznej strony.,,

„Jestem pod wrażeniem. Strona przygotowana bardzo profesjonalnie. Znalazłam tutaj informacje, których poszukiwałam od dłuższego czasu. Gratulacje”

*„Chyle czoła.**Gratuluje pomysłu, profesjonalizmu jak również gustu estetycznego.**Życzę powodzenia w projekcie. Andrzej z Toronto“*

Jedno muszę stwierdzić, że „dzięki” rozbirom i fali emigrantów z Polski, tak ciekawej historii jak polska fotografia nie ma żaden kraj w Europie. Fotografie były opisywane w różnych językach: polskim, niemieckim, rosyjskim i francuskim.

Atelier wielu sławnych, uzdolnionych i świetnych fotografów Polaków znajdujemy na całym świecie. Na wystawach międzynarodowych Władysław Straszak reprezentował Belgię, Ludwik Szaciński Szwecję i Norwegię, Karola Józefa Migurskiego nazywano ojcem rosyjskiej fotografii. Następne nazwiska to np.: Lasowski z Kijowa, Gatowski z Mińska, Kocipiński z Wittingau, Belitski z Nordhausen, von Malinowski z Rygi, Kritski z Sarańska, Pateiski z Wagstadt, Staliński z Wuerzburg’a, czy Kozłowski z Pawłowska.

Moja przygoda trwa.

Jacek Kluczkowski

Początki kwidzyńskiej samorządności

W kwietniu 1990 roku zakończyła działalność Miejska Rada Narodowa w Kwidzynie, pseudosamorządowe ogniwo komunistycznego systemu władzy w Polsce. Rozpoczął się długi proces budowania samorządnej Rzeczypospolitej. Jeszcze przed pierwszymi wolnymi wyborami do kwidzyńskiego samorządu grupa działaczy antykomunistycznych postanowiła wziąć odpowiedzialność za sprawy miasta w swoje ręce. Większość miała wtedy po trzydzieści kilka lat. Spotykali się w budynku u zbiegu ulic Grudziądzkiej i 11 Listopada, w którym obecnie mieści się Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna „Solidarność”. Osobami, które wówczas tworzyły podwaliny samorządu byli między innymi: Jerzy Kozdroń, Bogusław Gajdamowicz, Andrzej Dębowski i Wiesław Gnitecki. Komitet Obywatelski, wspierany przez NSZZ „Solidarność” zdominował wybory samorządowe. Do rady dostali się niemal wyłącznie kandydaci reprezentujący to samorządowe ugrupowanie. Rozpoczął się wówczas okres wielkich zmian.

Wiedzieliśmy, wspomina Leszek Czarnobaj, ówczesny wiceburmistrz Kwidzyna, obecny wicemarszałek województwa pomorskiego, że miasto musi zmienić swój wygląd, a przede wszystkim zapewnić mieszkańcom wygodne życie. Nie byłem wśród tych pierwszych osób, które o tym decydowały. Przyszedłem, kiedy grupa osób na czele z Jerzym Kozdroniem i Bogusławem Gajdamowiczem, już zaczęła działać. Z każdym dniem przybywało ludzi. Powstały komisje i zespoły problemowe. Uznaliśmy, że należy zebrać wszystkie problemy, które będziemy chcieli rozwiązać w mieście. Oczywiście stawialiśmy wówczas cele na miarę tamtych czasów. Mieszkańcy pamiętają zapewne, że w 1989 r. po godz. 20.00 wyłączano wodę. Było nie do pomyślenia, że pod koniec XX wieku, w cywilizowanym kraju, nie było wody w mieszkaniach przez całą dobę. Kiedy pracowaliśmy na zmiany i wracaliśmy po 22.00 z pracy, nie można było się porządnie umyć. Uznaliśmy wówczas, że to jedna z najważniejszych spraw do załatwienia. Zastanawialiśmy się w jaki sposób dostarczać wodę przez 24 godziny na dobę. Po wygranych wyborach wzięliśmy się do pracy i po kilku miesiącach problem ten został rozwiązany. Nie poprawiliśmy jakości, gdyż wymagało to bardzo dużych nakładów finansowych na modernizację zaniedbanej przez ponad pół wieku sieci wodociągowej. To wymagało więcej czasu.

Andrzej Krzysztofiak, obecny burmistrz Kwidzyna, zasiadał w pierwszej radzie miasta. Propozycja tworzenia pierwszego wolnego samorządu w mieście, pojawiła się, gdy był kierownikiem działu socjalnego Zakładów Celulozowo-Papierniczych: *Lubiłem swoją pracę. Zajmowałem się między innymi sprawami wypoczynku dzieci i dorosłych. Często wyjeżdżałem i nie bardzo chciałem zajmować*

się czymś innym. Pamiętam, że Andrzej Dębowski, prosił mnie, abym zaangażował się w tworzenie pierwszego samorządu. Wówczas aktywnie działali już Jerzy Kozdroń, Bogusław Gajdamowicz i Jerzy Godzik. Odmówiłem, gdyż uznałem, że mam zbyt dużo pracy. Pamiętam jednak, że musiałem pomóc znajomej, która wyjechała z kraju. Prosiła mnie o załatwienie zaświadczenia, związanego z ubezpieczeniem jej pojazdu. Udałem się wówczas do PZU. Bardzo długo czekałem w kolejce. Po dostaniu się do okienka i wytłumaczeniu o co mi chodziło, zostałem tak źle potraktowany, że przelało to czarę goryczy. Zgodziłem się kandydować na radnego, aby wyeliminować tego typu zachowania. Zostało to we mnie do tej pory. Klient urzędu musi zostać profesjonalnie i szybko obsłużony. Oczywiście nie miałem wtedy pojęcia o pracy w samorządzie. Zostałem wytypowany, żeby przyjrzeć się jak działa ówczesna Miejska Rada Narodowa. Pamiętam, że radnych było 50 i wszyscy w sali obrad palili. Po latach, podczas remontu sali, pokazano mi wentylację, która była cała pokryta grubą warstwą smoły. Pochodziła z dymu papierosowego, który odkładał się przez lata. Na sesji rady rozmawiano tak naprawdę o niczym, ale relację z tego co widziałem przygotowałem.

O ile dobrze pamiętam, mówi Jerzy Godzik, ówczesny pierwszy demokratycznie wybrany burmistrz Kwidzyna, a dziś starosta kwidzyński, to obecny poseł Jerzy Kozdroń zaproponował mi i Leszkowi Czarnobajowi, abyśmy wzięli udział w wyborach do samorządu. Na spotkania Komitetu Obywatelskiego zapraszany był Ryszard Mówiński, ówczesny naczelnik miasta. Przedstawiał sytuację gospodarczą miasta oraz mówił o innych rzeczach związanych z jego funkcjonowaniem. Pamiętam, że mieliśmy mnóstwo pytań, ale także różnych żądań. Tworzyliśmy także pierwszy program wyborczy. Powstawały pierwsze ulotki wyborcze, kopiowane na ksero i tak wystartowaliśmy do wyborów. Samych wyborów jednak nie pamiętam dobrze. Odbyło się jednak spotkanie podczas którego zaproponowano mi objęcie funkcji burmistrza miasta. Było to dla mnie wtedy ogromnym przeżyciem. Żadnego doświadczenia w tego typu pracy nie miałem. Pracowałem wtedy w dawnej „Celulozie”. Lubię nowe wyzwania i zmiany, więc przyjąłem propozycję. Oczywiście po wygranych wyborach poczułem jednocześnie radość i przerażenie. Miałem wtedy jednak 35 lat. W kategoriach komunistycznych byłem jeszcze młodzieżowcem i myślałem inaczej niż dzisiaj.

Mieliśmy wtedy po trzydzieści kilka lat, dodaje marszałek Czarnobaj, i wydawało się nam, że nie ma barier, których nie można pokonać. Oczywiście po części wynikało to z nadmiaru optymizmu i czasami trochę z naiwności. Uznaliśmy jednak, że problemy związane z funkcjonowaniem miasta są do pokonania. Rozpoczęta była budowa stacji uzdatniania wody w Kamionce. Od niej zależała jakość wody. Udało się to zrobić. Jednym z ważnych elementów była poprawa wyglądu miasta. Jeszcze w latach 60. i 70. Kwidzyn określano miastem młodzieży i zieleni. Po zakończeniu inwestycji, jakim była budowa Zakładów Celulozowo-Papierniczych, miasto zostało dosłownie „rozjechane”. Stało się szare i brudne.

Poprawa wyglądu i funkcji miasta stały się sprawami priorytetowymi. W mieście, w którym budynki mają zniszczone elewacje, nie ma zieleni, są dziurawe ulice, brakuje chodników i parkingów nie da się dobrze żyć.

Ważnym elementem działania przed wyborami było przygotowanie programu, który miał być realizowany po ewentualnym sukcesie wyborczym. *Nikt tego wcześniej nie robił, mówi Andrzej Krzysztofiak. Zapisaliśmy po prostu wszystko co należało zmienić w mieście. Sami robiliśmy ulotki. Wykonywaliśmy wtedy czarno-białe zdjęcia. Robiliśmy je w obecnym budynku MKK „Solidarność”. Nie prowadziliśmy tak aktywnej kampanii wyborczej, jak to się robi dzisiaj, chodząc od drzwi do drzwi. Miałem chyba ok. 100 ulotek, które rozdałem znajomym. Prawie wszyscy z Komitetu Obywatelskiego weszli do rady, z wyjątkiem jednej osoby, która startowała osobno, ale z nami sympatyzowała. Bardzo dobrze pamiętam pierwsze sesje, wybór Jerzego Kozdronia na przewodniczącego rady oraz wybór burmistrza i jego zastępców. Na początku pracowałem w komisji sportu, a później zostałem szefem komisji rewizyjnej. Pamiętam, że finansami zajmował się wówczas Zygmunt Szatkowski. Powołał mnie do komisji, która zajmowała się komunalizowaniem mienia. Wiązało się to z ogromną ilością podpisów. Każda działka, która była w obrębie miasta, była przejmowana od skarbu państwa. W mieście było ok. trzech tysięcy działek, nie licząc budynków.*

Komitet Obywatelski popierany przez NSZZ „Solidarność” wiedział co chce zmienić i jakie będą najważniejsze inwestycje do realizacji. *Nie było wtedy mowy o polityce, wspomina Leszek Czarnobaj, liczyły się konkretne zadania do realizacji. Zamierzaliśmy przede wszystkim dokończyć inwestycje, które rozpoczęto przed 1990 rokiem, czyli wodociągi, teatr i basen. Szliśmy do wyborów z planami konkretnych przedsięwzięć, które musimy zrealizować. Wiedzieliśmy, że będzie to możliwe. Mieliliśmy także ustalony kształt zarządu. Wiedzieliśmy kto będzie kandydowała na przewodniczącego rady i burmistrza rady. Wiedzieliśmy kto i za co będzie odpowiedzialny po wygranych wyborach. Byliśmy przygotowani, że tak się wyrażę, po inżyniersku. Nie było podziałów politycznych w pierwszej radzie. Różniliśmy się od czasu do czasu w kolejności zadań, które miały być realizowane. Podziały zaczęły być widoczne pod koniec pierwszej kadencji. Stało się to pod wpływem dużej polityki. W kraju także następowały podziały. Osoby które stanowiły trzon całej grupy jednak pozostały. Pozostawaliśmy zwartą grupą także w drugiej kadencji. Jednym z ważnych celów była zmiana mentalności pracy urzędu. Pamiętałem urząd sprzed 1989 r. i zawsze czułem złe traktowanie. Podczas pierwszego spotkania mojego i burmistrza Jerzego Godzika z pracownikami urzędu powiedzieliśmy, że jeżeli ktoś będzie w sposób nieodpowiedni traktował mieszkańców przychodzących do urzędu, nie będzie miał możliwości dalszej pracy. Oczywiście inną rzeczą jest przestrzegania prawa, gdyż wszystkie decyzje muszą być podejmowane z godnie z nim, ale ważne są kompetencje i uprzejma obsługa interesanta. Uznaliśmy też wtedy, że należy każdego roku przeznaczać określony procent wydatków na inwestycje. Bardzo istotną sprawą*

była także edukacja, gdyż to ona będzie decydowała o przyszłości miasta, dlatego 7 grudnia 1990 r. podjęliśmy uchwałę o przejęciu szkół. Niestety było to siedem dni za późno i mogliśmy je przejąć dopiero rok później, ale i tak byliśmy wśród 25 gmin, które jako pierwsze w Polsce przejęły szkoły podstawowe. Marszałek dodaje, że nie chodziło tylko o zmiany widoczne gołym okiem, takie jak poprawa wyglądu miasta, ale zmiany w sferze społecznej, w tym dotyczące pomocy społecznej czy edukacji.

Pierwsze dni swojego urzędowania w ratuszu Burmistrz Jerzy Godzik rozpoczął od zmian organizacyjnych w pracy Urzędu Miejskiego: *Był to czas w którym na mocy ustawy o samorządzie wszyscy urzędnicy mieli rozwiązane stosunki pracy, wspomina pierwszy burmistrz. Mogliśmy dobrać i zatrudnić pracowników, których chcieliśmy. Pierwsze spotkanie z urzędnikami odbyłem wspólnie z Leszkiem Czarnobajem. Było nas wtedy tylko dwóch. Później pracę w urzędzie rozpoczęli świętej pamięci Wiesław Gnitecki, który zajął się inwestycjami oraz Zygmunt Szatkowski, odpowiedzialny za finanse miasta. Czytając ustawę kompetencyjną zaczęliśmy podejmować decyzje. Operowaliśmy ogromnymi kwotami, gdyż było to jeszcze przed denominacją złotych. Składałem podpisy pod rachunkami na 200 i więcej milionów złotych. Musiałem zaufać skarbnikowi miasta, gdyż na początku poznawałem wszystkie mechanizmy finansowania poszczególnych zadań. Pierwszy budżet mieścił się na jednej kartce. Z jednej strony były dochody, a z drugiej wydatki. Wszystko było zapisane bardzo ogólnie. Po pół roku musieliśmy budżet zweryfikować, gdyż dochody okazywały się dwa razy większe niż zakładaliśmy. To były czasy ogromnej inflacji. W dużym tempie rosły dochody i wydatki.*

Nie tylko problemy komunalne wymagały radykalnych zmian: *Postanowiliśmy dokonać zmian w kulturze, oświacie i sporcie, wspomina Leszek Czarnobaj. Brakowało organizacji pozarządowych. Było ich najmniej w całym ówczesnym województwie elbląskim. Kompletnie nie istniała sfera pozarządowa. Miasto utworzyło wówczas trzy fundacje: „Misericordia”, „Dobro Chorego”, i „Oświata”, które funkcjonują do dzisiaj. Świętej pamięci Mieczysław Potręć, który był animatorem zmian w kulturze, mówił, że kultura rozwijała się najlepiej w Polsce, kiedy nie było ministerstwa kultury. Ówczesny Miejski Ośrodek Kultury zatrudniał wówczas ponad trzydzieści osób, w tym tylko kilka zajmowało się kulturą. Uznaliśmy, że musimy odwrócić proporcje. Uznaliśmy, że ci którzy chcą coś zrobić w kulturze nie będą pracowali na etatach, ale muszą założyć stowarzyszenia, które będziemy wspierali. Jeśli osoby te nie będą proponowały żadnych pomysłów i nie będą realizowały żadnych przedsięwzięć, to nie otrzymają żadnego wsparcia. To było rewolucyjne rozwiązanie. Pamiętam, że osoby pracujące w MOK uznały, że to zamach na kulturę. Założyliśmy, że organizacje będą prezentowały swoje dokonania podczas różnych imprez organizowanych w mieście, w tym podczas Dni Kwidzyna. Była to weryfikacja ich działalności. Nie urzędnik weryfikował to co się dzieje w kulturze, ale mieszkańcy miasta. Jeśli*

ktoś nie pokazywał swojej twórczości, oznaczało to, że nic nie robi. Spotkało się to z olbrzymią krytyką środowisk związanych z kulturą. Stowarzyszenia zaczęły jednak powstawać jak grzyby po deszczu. Dzisiaj w Kwidzynie widać dorobek organizacji pozarządowych, szczególnie podczas święta miasta oraz Dni Powiatu Kwidzyńskiego. Podobnie w sporcie dokonaliśmy wielu zmian. Dotacje powędrowały nie do klubów sportowych, ale na rozwój sportu dzieci i młodzieży.

Andrzej Krzysztofiak, obecny burmistrz Kwidzyna, dobrze pamięta pierwszy budżet miasta: *Mieścił się na złożonej kartce papieru o formacie A4. Pamiętam, że kartka została źle skopiowana, część tabelki wyszła poza skalę. Nikt jednak się wtedy tym nie przejmował. Wiedzieliśmy, że wszystko musi być w porządku. Budżet miasta z roku 1991 nie przekraczał 6 mln zł. To 18 razy mniej niż obecnie, gdyż w tym roku wynosi on ok. 110 mln zł. Pamięta też pierwsze zakończone inwestycje, a wśród nich remont teatru: Nie pamiętam tytułu, ale był to autorski spektakl Agnieszki Osieckiej, który uświetnił zakończenie remontu teatru. Do Kwidzyna przyjechała wówczas autorka. Pamiętam, że kurtyna wtedy ciągle się podnosiła się i opadała. Agnieszka Osiecka obróciła się w moim kierunku i zapytała czy to przerwa. Powiedziałem, że tak.*

Tworzono wówczas także fundamenty przyszłego sukcesu gospodarczego miasta. *To nie przypadek, że w mieście pojawiły się takie firmy jak Philips, wspomina Leszek Czarnobaj. Pamiętam jak pan prezes Andrzej Gołyga, prezes Philipsa w Kwidzynie, przyjechał do miasta po raz pierwszy i pytał o możliwości związane z inwestowaniem. Trwały wówczas dyskusje na temat miejsca budowy fabryki. Bardzo ważne było posiadanie odpowiedniego gruntu, który można było od razu sprzedać firmie. Byliśmy przygotowani do takich inwestycji, a czas na niezbędne formalności był maksymalnie skrócony. Pamiętam, że jako samorząd przejęliśmy zadania związane z wydawaniem pozwoleń na budowę. Byliśmy jednym z nielicznych miasta w Polsce, które takie pozwolenia wydawały. Podjęliśmy także działania, które doprowadziły także do budowania mieszkań. To było ważne zadanie z kilku względów. Jednym z nich były poważne problemy mieszkaniowe, które chcieliśmy rozwiązać. Poza tym firmy, które chciały inwestować w mieście także pytały o możliwości związane z pozyskaniem mieszkań dla swoich pracowników. Był nawet taki okres w historii miasta, że przez trzy lata budowaliśmy najwięcej mieszkań w Polsce w przeliczeniu na jednego mieszkańca.*

Polityka wolnorynkowa stała się rzeczywiście priorytetem strategii Kwidzyna na wiele lat: *Prywatyzowaliśmy wszystko co się dało, wspomina Jerzy Godzikw tym lokale handlowe. Trafiały one w ręce osób, które tam pracowały. Rozpoczęliśmy sprzedaż mieszkań. Przekształciliśmy także zakłady komunalne. Znajdowały się one w bardzo złej kondycji finansowej, a część upadła. Część udało się jednak sprywatyzować. Niektóre z nich działają do dziś lub też ich majątek funkcjonuje w obecnych firmach. Podejmowanie wielu decyzji nie było łatwe.*

Czasami rzeczywiście ufaliśmy bardziej intuicji, gdyż gospodarka wolnorynkowa dopiero się rodziła w Polsce, ale z perspektywy czasu uważam, że podejmowane decyzje były słuszne.

Zdaniem obecnego burmistrza Kwidzyna, atmosfera tamtych lat była wolna od wszechobecnej polityki i podziałów z tym związanych: *W tym wszystkim było więcej przygody, niż obowiązku. Ponieważ było to jedno ugrupowanie nie było sporów. Dopiero później zaczął „pękać” Komitet Obywatelski i zaczęły tworzyć się podziały. Były oczywiście sprawy, które dzieliły. Bardzo trudna okazała się uchwała w sprawie partnerstwa z niemieckim miastem Celle i zapis nazwy naszego miasta w językach polskim i niemieckim. Podzieliło to wówczas radę.*

Przez pierwsze trzy lata samorząd miał praktycznie wolną rękę w podejmowaniu decyzji. Mimo ustawy o funkcjonowaniu samorządu nie było instytucji kontrolnych. Jedynie Urząd Wojewódzki kontrolował zgodność z prawem podejmowanych uchwał: *Można było popełnić wiele pomyłek, ale mieliśmy dobrych radców prawnych, których pytaliśmy o zdanie, starając się, aby wszystkie decyzje były zgodne z obowiązującymi przepisami. Były to czasy pionierskie, ale bardzo dobrze je wspominam. Kolejna kadencja była już bardziej uporządkowana. Wynik drugich wyborów nie był już taki pewny. Rok wcześniej sukcesem okazały się wybory parlamentarne dla lewicy. Politycy lewicy myśleli, że powtórzą ten sukces w wyborach samorządowych. Niektórzy gratulowali już sobie wygranej. Okazało się jednak, że wygraliśmy je my, umacniając się jeszcze bardziej w samorządzie. Uważam, że to zasługa zmian, które zachodziły. Powstawały nowe elewacje, remontowane były ulice, powstawały zieleńce i parki. To wszystko zostało dostrzeżone przez mieszkańców Kwidzyna.*

Kwidzyn powoli zyskiwał markę miasta gospodarnego i zaradnego, którą szczyci się do dziś. Przychylny klimat dla rozwoju przedsiębiorczości sprawił, że mimo złych połączeń komunikacyjnych, to stolica Dolnego Powiśla, a nie, np. Malbork stał się bardziej atrakcyjny do inwestowania: *Określano nas jako liberałów wolnogospodarczych. Mam nawet książkę Donalda Tuska, obecnego premiera, który w dedykacji napisał: „Jurkowi, godnemu przedstawicielowi stolicy polskiego liberalizmu stosowanego”, ale to już po drugiej kadencji – konstatuje Jerzy Godzik, starosta kwidzyński.*

Leszek Sarnowski

Od Komitetu Obywatelskiego do samorządu

Rok 1989 był wielkim przełomem w moim życiu. To czas Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie. Działania organizacyjne, początkowo konspiracyjne, później już legalne prowadziliśmy dwutorowo. Najpierw rejestracja związku zawodowego „Solidarność”, a jednocześnie próba tworzenia struktur Komitetu Obywatelskiego, także, co było dla nas wówczas oczywiste, pod szyldem „Solidarności”. 18 kwietnia, dzień po ogólnopolskiej rejestracji NSZZ „Solidarność”, w imieniu nauczycieli Szkoły Podstawowej nr 2 w Sztumie, gdzie uczyłem wówczas historii, zarejestrowałem naszą zakładową „Solidarność” w kościele Świętego Mikołaja w Elblągu. Była tam tymczasowa siedziba „Solidarności” województwa elbląskiego, którego częścią był wówczas Sztum. Byliśmy pierwszym zakładem pracy ze Sztumu, który zarejestrował swoje istnienie. To był początek reaktywowania „Solidarności” w naszym mieście. Za nami poszły inne zakłady. Dopiero kiedy udało się stworzyć zręby organizacji związkowych w zakładach pracy, można było zająć się powołaniem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Trzeba się było najpierw policzyć. Nie było to trudne. W takich miasteczkach, jak Sztum nie da się wiele ukryć. Ludzie się dobrze znają, wszyscy o sobie prawie wszystko wiedzą. Na przykład, co kto robił w 1980 roku i jak się zachował w stanie wojennym. Do tego nie trzeba było teczek IPN-u, choć dobrze, że i z nich można dziś również korzystać. Czasem wystarczyła dobra opinia zaufanego proboszcza, a takim był świętej pamięci ks. Antoni Kurowski z Kościoła Świętej Anny w Sztumie, który bardzo pomagał w powstawaniu naszego ruchu. Poza tym przełom lat 1988/1989, szczególnie pierwsze zwiastuny odwilży, jak choćby rozmowa Wałęsa - Miodowicz, przygotowania do rozmów Okrągłego Stołu, potem ich relacjonowanie w mediach powodowały, że ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać. Przestali się bać. Wyszli z domu.

Już 14 maja 1989 roku przedstawiciele wszystkich komisji zakładowych „Solidarności” ze Sztumu i okolic powołali Komitet Obywatelski. Zostałem jego przewodniczącym. Zastępcą był Wacław Bielecki, działacz „Solidarności” z 1980 roku i twórca lokalnej gazety z tego okresu. Sekretarzem została nauczycielka Mirosława Pastuszuk. Do zarządu weszli też Józef Zdziennicki, handlowiec i Zenon Raszczyk, inżynier rolnik z Kombinatu Rolnego Powiśle z Czernina. Na pierwszym posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego obecny był także Jacek Albrecht, przewodniczący Komitetu w Malborku, który miał pełnomocnictwa z Gdańska dotyczące zakładania lokalnych struktur i to z jego rekomendacji właśnie mógł powstać Komitet w Sztumie. Przekrój wiekowy Komitetu był bar-

dzo szeroki, od osiemnastolatków po emerytów. Spotykaliśmy się w niedzielę po wieczornej mszy w salce domu parafialnego przy kościele św. Anny. Przeważali nauczyciele, dużo było inteligencji technicznej, pracowników służby zdrowia, kilku rolników, prywatnych przedsiębiorców, a nawet funkcjonariusze z zakładu karnego. Część z nich działała wcześniej w roku 1980 w sztumskiej „Solidarności”, między innymi Waław Bielecki, Antoni Fila, Ryszard Szafrński, Krysztyna Muszyńska, Bogumiła Bruniecka, Józef Borko, Janusz Baranowicz, Jan Chojnacki. Pozostali to nowi ludzie, którzy przybyli do Sztumu, albo miejscowi, którzy po prostu dorosli i w tym czasie wkraczali w dorosłe i zawodowe życie albo też tacy, którzy widzieli dla siebie jakąś szansę na inne życie w rodzącej się, nowej rzeczywistości.

Najważniejszą wówczas kwestią były przygotowania do zbliżających się wyborów - zgłoszenie mężów zaufania do komisji wyborczych, wybranie członków tych komisji z „Solidarności”, przeszkolenie ich co mają robić i czego pilnować, bo obawiano się, że wybory te, jak wszystkie poprzednie mogą być sfalszowane przez komunistyczne jeszcze przeciw władze. Byliśmy po to by patrzeć im na ręce. To były wspaniałe chwile. Pamiętam, jak w maju przed kościołem sprzedawaliśmy cegielki wyborcze, rozdawaliśmy znaczki związkowe i ulotki z wyborczymi instrukcjami jak głosować, by „Solidarność” wygrała. To był prawdziwy entuzjazm i poczucie wspólnoty, nie tylko parafialnej, ale tej rodzącej się wspólnoty obywatelskiej, którą wówczas czułem i którą widziałem w oczach ludzi wychodzących z kościoła, przynajmniej większości z nich. Choćby dla tej chwili warto było to robić. W wyborczej agitacji nie byliśmy mistrzami, bo żadne z nas nie miało doświadczenia, gdyż kampanii wyborczych w PRL nie trzeba było robić, bo po co. Przynajmniej w tym względzie władza nie była zakłamana. Jak się robi kampanię widzieliśmy jedynie w amerykańskich filmach, ale na to nie było ani czasu ani pieniędzy.

Plakaty i ulotki dostawaliśmy z centrali, za pośrednictwem Elbląga. W tamtejszych strukturach „Solidarności” działali wówczas między innymi Józef Gburzyński, późniejszy, pierwszy niekomunistyczny prezydent Elbląga i Leonard Krasulski obecny poseł PiS. Wieców wyborczych nie było zbyt wiele. Pamiętam jeden z udziałem Jarosława Kaczyńskiego, Antoniego Borowskiego, naszych kandydatów do senatu oraz Edmunda Krasowskiego, naszego kandydata do sejmiku. Spotkanie odbywało się w sali znajdującej się przy szpitalu. W kuluarach obecny był również Lech Kaczyński, który startował wtedy z województwa gdańskiego. Pamiętam, że spotkanie było tak po amatorsku przygotowane, że nawet przysłowiowych słonych paluszków i wody do popicia dla prelegentów nie było na stołach i co jakiś czas Kaczyński i Krasowski wyskakiwali do toalety, żeby popić wody z kranu. Na szczęście później na wysokości zadania stanął Józef Tymiec i spontanicznie udało się zorganizować u niego w domu dla naszych gości kolację.

Wybory to była już prawdziwa eksplozja radości. Wszyscy nasi kandydaci, do sejmu - Edmund Krasowski, do senatu - Jarosław Kaczyński i Antoni Borowski, zwyciężyli we wszystkich obwodach wyborczych, także w obwodzie zamkniętym czyli w zakładzie karnym. Byłem wówczas członkiem jednej z komisji wyborczej i widziałem, jak w miarę liczenia głosów, coraz bardziej przerażone stawały się miny członków komisji, którzy nie byli przyzwyczajeni, do tego, że wyniki wyborów mogą być jakąś niewiadomą, zaskoczeniem. Przecież we wcześniejszych głosowaniach wszystko dawało się przewidzieć, żadnych niewiadomych, bo nie za bardzo było w kim wybierać. A tu nagle szok. Przedstawiciele legalnej władzy przegrywają. Ten smutek w oczach członków komisji wyborczych było widać i pogłębiał się w trakcie liczenia głosów. Kartek z głosami na „Solidarność” przybywało z minuty na minutę, a na kandydatów rządzącej partii zdecydowanie mniej. Szczególnym smutkiem napawała lista krajowa, która miała być dla komunistów azylem przetrwania, a tu prosię niewdzięczny naród skreśla dotychczasowych swoich przywódców. Jedną z kart do głosowania w mojej komisji szczególnie była znamienita i wzruszająca. Na liście krajowej skreślone były wszystkie nazwiska, a dodatkowo dopisane zostało nazwisko Wojciecha Jaruzelskiego i także skreślone. To był majstersztyk antykomunizmu, choć niestety jedynie symboliczny. Ciekawe jak nasi wybrańcy, którzy później głosowali na tegoż Jaruzelskiego by został naszym prezydentem spojrzeli by w oczy temu wyborcy. No ale wtedy jeszcze byliśmy razem, pełni radości, wiary i optymizmu...

Nie cała opozycja demokratyczna była wówczas zgodna, że należy dogadywać się z komunistami, mówili że wystarczyło poczekać kilka miesięcy, a władza komunistyczna sama by padła i zwycięstwo było by pełniejsze. Andrzej Gwiazda nadal twierdzi, że „*świętujemy swoją głupotę...i ciągłość prawną z PRL-em*”, a świętej pamięci Anna Walentynowicz jeszcze niedawno dodawała, że „*to co niektórzy nazywają wolną Polską, stało się przedłużeniem komunistycznego reżimu*”. W dwudziestolecie wyborów, w czerwcu 2009 roku Andrzej Talaga, popierający w 1989 roku radykalne rozwiązania i krytykujący kompromis „Solidarności” z komunistami, pisał na łamach „Dziennika”: „*Mogliśmy wtedy dobić zdychającego potwora. Stworzyć wolną Polskę, jak dawniej, w walce zbrojnej czy tylko ulicznej przepychance. Wszystko jedno. Komunizm nie chciał już się bronić. Okrągły stół i wybory 4 czerwca 1989 roku zabrał nam to wszystko, splugawiły wyczuwane już nozdrzami zwycięstwo. Nasze zwycięstwo. Stare pryki reżimu i „Solidarności” zabrały nam wyzwolenie. Polewali wodę w Magdalence, kupcząc Ojczyznę. – Panie Adamie - Panie Generale. – Na zdrowie! Wtedy byli na „pan”, dopiero po toaście przeszli na „ty”. Tak się zrodził 4 czerwca. Tak się zrodziła znana fraza znanego opozycjonisty: „Odp...się od generała”....Wielu będzie w 20 rocznicę czcić tamten czas, tamte nadzieje. Mała prośba: pamiętajcie też o tych, których nadzieje wtedy zgasły. Bo poczuli się oszukani przez swoich liderów. Woleli wyjechać albo marnieli trawieni rozgory-*

czeniu... „Wygraliście. Wy od Wałęsy i komitetów. Wy, którzy wieszaliście wszędzie plakaty, rozdawaliście ulotki w koszułkach z logo „Solidarności”. Głosowaliście 4 czerwca. My, niedoszli rewolucjoniści, nie byliśmy potrzebni. Prawda komunizm padłby wtedy pod naszym wspólnym splunięciem, ale kto wie - może połałaby się krew, może zginęliby niewinni ludzie, może ktoś zechciałby jednak, choć krótko, bronić tamtego bagna. Może czyjeś matki oplakiwałyby do dziś poległych. Teraz już wiadomo z całą pewnością- tamten system musiał runąć. Wy od wieszania plakatów, entuzjaści drużyny Lecha, nie wiedzieliście nawet, że zadajecie mu śmiertelny cios. Ale zadaliście. Zrobiliście to, nie przelewając ani jednej kropli krwi. Szacunek.” To na pewno było nasze wspólne zwycięstwo i ważne, że dziś możemy je razem świętować i zrozumieć też tych, którzy świętować nie chcą. O to też walczyliśmy, o wolność i swobodę wypowiedzi.

Komitet Obywatelski „Solidarność” nie powstał by bez zaplecza związku zawodowego, bez „Solidarności”. To ona była jego źródłem. Ale Komitet odgrywał istotniejszą rolę, bo oprócz działaczy związkowych, skupiał także tych, którzy do związku nie należeli, bo na przykład sami byli prywatnymi pracodawcami, których komuna specjalnie nie rozpieszczała, jako podejrzani, bo nie specjalnie socjalistyczny element. Wszystkich łączył wspólny wróg - komunistyczna władza.

Pod koniec roku 1989 rozpoczęliśmy wydawanie naszej gazety „Sztumska Solidarność”, która była kontynuacją biuletynu wydawanego przez związek w 1980 roku. Byliśmy wówczas w wydawniczej awangardzie. Bo 8 maja 1989 roku ukazał się pierwszy numer „Gazety Wyborczej”. 28 października 1989 ruszyła „Młoda Polska”, pierwszy tygodnik katolicki na wybrzeżu, redagowany przez działaczy Ruchu Młodej Polski, pod kierunkiem Wiesława Walendzia-ka. 21 grudnia wyszedł pierwszy numer „Sztumskiej Solidarności”. Dopiero 22 lutego 1990 roku wyszedł pierwszy numer „Gazety Gdańskiej” związanej z Gdańskim Kongresem Liberalów, któremu przewodzili wówczas Jan Krzysztof Bielecki, Janusz Lewandowski i Donald Tusk.

W pierwszym numerze naszej gazetki pisaliśmy wówczas że: *chcemy też być pismem czytany i współredagowanym przez wszystkich, dla których „Solidarność” jest synonimem prawdy i wolności. Chcemy być pismem... ludzi, którzy nigdy nie odpisali „Solidarności” na straty. Nawet jeśli niczego więcej nie robili, a nie zawsze tak było - pozostali jej wierni.... Wracamy do was, wierni czytelnicy sprzed lat ośmiu, żeby nadal mówić prawdę o naszych sprawach codziennych i odświętnych. Przychodzimy do Was, nowych, którzyście dojrzelі w ciągu długiej przerwy między poprzednim i dzisiejszym numerem pisma i wybieraliście „Solidarność” jako postawę obywatelską... To nareszcie zaczyna być nasz własny kraj. Musimy go sami zmieniać, uczynić prawdziwym domem. „Sztumska Solidarność” chce w tych zmianach uczestniczyć być ich kroniką i trybuną...*

Można powiedzieć, że 1989 rok to nie była jeszcze w pełni wolna i suwerenna Polska, że to był początek drogi. Nie czuliśmy jednak wtedy, że ktoś nas próbuje oszukać, że nami manipuluje, narzucając na przykład kandydatów na parlamentarzystów. Nie czuliśmy się oszukiwani, bo wierzyliśmy Lechowi Wałęsie, Lechowi Kaczyńskiemu, Bogdanowi Borusewiczowi, Bogdanowi Lisowi, Andrzejowi Wajdzie. Dawaliśmy im prawo decydowania trochę za nas, bo czasu było niewiele. My byliśmy żołnierzami, obywatelskim pospolitym ruszeniem. Ale jak to z pospolitym ruszeniem, bywa sprawne, ale nie zawsze posłuszne. Dlatego, kiedy po wygranych wyborach 4 czerwca, nasi liderzy rozkazali rozwiązać komitety, nie posłuchaliśmy. Wypowiedzieliśmy posłuszeństwo w słusznej naszym zdaniem sprawie. Czuliśmy w sobie siłę, która może góry przenosić, poczuliśmy się razem, a tu nagle ktoś mówi, że zrobiliśmy swoje i możemy się rozejść. Wolność i demokracja nie zależy przecież od samopoczucia, ale od realnej władzy. A na tą trzeba było czekać do maja 1990 roku czyli do pierwszych w pełni demokratycznych wyborów samorządowych, dzięki którym budowę nowego państwa można było zacząć od podstaw. I od tego momentu można dopiero mówić o początku rozmontowywania w Polsce systemu komunistycznego.

Przygotowywaliśmy się do tego już od wyborów parlamentarnych w 1989 roku, które pod względem kampanii wyborczej były dla nas poligonem doświadczalnym. Członkowie Komitetu Obywatelskiego dyżurowali w lokalu „Solidarności”, gdzie przychodzili ludzie szukający pomocy prawnej, finansowej, albo po prostu się wyżalić. To dawało wiedzę o potrzebach i oczekiwaniach mieszkańców, podobnie jak udział w roli obserwatorów w sesjach i posiedzeniach komisji Miejskiej Rady Narodowej uczył samorządowych procedur. Na długo, nim rozpoczęła się kampania wyborcza do samorządów gminnych, działaczom Komitetów zgłaszano różne inicjatywy i pomysły usprawniające życie codzienne. Każdy z nas miał też wiele własnych spostrzeżeń i wniosków. Kampania wyborcza polegała na tym, że organizowaliśmy spotkania z mieszkańcami, choć te nie cieszyły się niestety zbyt dużą frekwencją. Niektórzy z nas chodzili po mieszkaniach zachęcając do udziału w wyborach i głosowania na kandydatów „Solidarności”. Pamiętam, że nie było to łatwe, chodzić od drzwi do drzwi, narażając się często na niezbyt elegancką odprawę. Ale większość ludzi przyjmowała nas dość serdecznie. To było właściwie trudne dla obu stron, bo takie spotkania odbywały się też po raz pierwszy i wszyscy uczyliśmy się wspólnie demokracji- i kandydaci i wyborcy. Jako Komitet Obywatelski byliśmy jedynym ugrupowaniem startującym w wyborach, które zaprezentowało kompleksowy program wyborczy. Był to efekt naszej kilkumiesięcznej pracy. Mowa w nim była między innymi o demonopolizacji handlu, prywatyzacji usług, ulgach dla przedsiębiorców, stworzeniu targowiska miejskiego, budowie dróg wiejskich i wodociągów, uspołecznieniu i rozbudowie szkół, ochronie środowiska czy usprawnieniu opieki zdrowotnej. Jeszcze przed wyborami ze

sztumskiego Komitetu Obywatelskiego wyodrębniły się dwa mniejsze Komitety, w Starym Targu, któremu przewodził dawny żołnierz Armii Krajowej Stanisław Bogdanowicz oraz w Ryjewie, pod kierunkiem działacza „Solidarności” z 1980 roku, internowanego w stanie wojennym, Jana Chojnackiego.

Pierwsze demokratyczne wybory samorządowe odbyły się 27 maja. Największy sukces odniósł Komitet Obywatelski „Solidarność” w Sztumie, wprowadzając 12 radnych do 24-osobowej Rady Miejskiej. Byli to Wacław Bielecki, Bogumiła Bruniecka, Janusz Fehrmann, Wanda Jeremicz, Kazimierz Kaczmarek, Zdzisław Koza, Stefan Muszalski, Ryszard Orłowski, Leszek Sarnowski, Ryszard Szafrąński, Lech Wnukowski, Krzysztof Wojewoda. Do klubu weszli też dwaj radni z „Solidarności” Rolników Indywidualnych: Józef Sawicki i Zbigniew Konefał. Tak więc „blok obywatelski” miał 14 głosów czyli większość w ówczesnej Radzie. Poza tym do Rady weszli - Stanisław Wudarczyk (Stronnictwo Demokratyczne), Jarosław Osowski (Gminny Zarząd Kółek i Organizacji Rolniczych) oraz ośmiu radnych, którzy wówczas startowali jeszcze bez partyjnych rekomendacji - Zdzisław Juszczak, Krzysztof Mroczkowski, Jan Paprocki, Andrzej Płóciennik, Ryszard Potowski, Roman Samonek, Piotr Steiniger i Leszek Tabor. Przewodniczącym Rady Miejskiej został Wacław Bielecki, dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej, działacz sztumskiej „Solidarności” w 1980 roku. W dniu 12 czerwca Rada Miejska wybrała pierwszego burmistrza Sztumu. Został nim Antoni Fila, działacz „Solidarności” w Kombinacie Rolnym Powiśle w Czerninie w 1980 roku, w 1990 roku prywatny przedsiębiorca. Po roku, ze względu na zbyt małe kompetencje władzy samorządowej Antoni Fila zrezygnował z funkcji burmistrza i wrócił do biznesu. Jego miejsce zajął ówczesny zastępca Waldemar Wnuk. Nie miało to, podobnie jak i brak spójności w ramach Komitetu Obywatelskiego, pozytywnego wpływu na dalsze losy tej formacji. W następnych wyborach w 1994 roku jedynie kilka osób o „solidarnościowym” rodowodzie (Krystyna Muszyńska, Benedykt Nowak, Edward Studziński, Leszek Sarnowski) znalazło się w nowym samorządzie. Władzę przejęła wówczas koalicja PSL - SLD. Można ze smutkiem konstatować, że zwycięzcom pierwszych samorządowych wyborów w Sztumie nie udało się przede wszystkim wykreować lidera, zebrać i utrzymać przy sobie wartościowych ludzi, a po drugie stworzyć silnej lokalnej struktury, która by mogła wygrywać wybory. Wynikało to między innymi także z faktu, że każdy miał inny pomysł na życie w wolnym kraju, a także inne upodobania polityczne. Dlatego z zazdrością spoglądaliśmy na Kwidzyn, gdzie to wszystko czego nam zabrakło, tam działało od początku i funkcjonuje do dziś z jak najlepszym skutkiem.

Wacław Bielecki, pierwszy przewodniczący Rady Miasta i Gminy w Sztumie w kadencji 1990-94 wśród najważniejszych osiągnięć pionierskiego samorządu wymienia między innymi: poprawę warunków lokalowych sztumskich placówek oświatowych, poprzez oddanie do ich dyspozycji budynku byłego Ko-

mitetu PZPR i dawnej Szkoły Podstawowej nr 3, a także przejęcie przez gminę prowadzenia szkół podstawowych, budowę pawilonów handlowych i adaptację jednego z upadłych zakładów na Halę Targową, budowę kilka ulic, chodników, wodociągów, dokończenie gazyfikacji miasta, inwentaryzację majątku gminnego, utworzenie Straży Miejskiej, wydawanie dwutygodnika samorządowego, utworzenie Funduszu Rady powstałego z diet radnych i członków komisji spoza Rady, doprowadzenie do wpisania Sztumu na projektowaną mapę powiatową, nawiązanie stosunków partnerskich z niemiecką gminą Ritterhude. Mimo podejmowanych prób nie powiodło się zagospodarowanie zamku pokrzyżackiego, a także prywatyzacja niektórych zakładów komunalnych czy skuteczna walka z bezrobociem, gdyż instrumenty w tym zakresie znajdowały się wówczas przede wszystkim w rękach administracji państwowej.

Dwadzieścia lat po tamtych wyborach dobrze jest przypomnieć czas, kiedy ponad osobiste interesy i poglądy polityczne przedłożyliśmy potrzebę wspólnego działania. Mimo wyraźnego podziału politycznego w Radzie Miejskiej, toczących się sporów, bardziej lub mniej ideowych, w większości spraw nie polityka decydowała, ale dobro wspólne. Różniliśmy się rodowodami i poglądami politycznymi, dlatego bywaliśmy przeciwnikami w wielu kwestiach, ale nigdy wrogami. Myślę, że dzięki swoistemu ekumenizmowi ówczesnej Radzie Miejskiej, a także Zarządowi, udało się wypracować cenne zasady współdziałania i kompromisu, istotę demokracji lokalnej.

Później każdy poszedł swoją drogą, to też przecież było istotą wolności, jedni w politykę inni w dziennikarstwo, biznes, organizacje pozarządowe. Komitety Obywatelskie były dobrą szkołą samoorganizacji, jako kontynuacja Sierpnia 1980 i nielegalnych działań w stanie wojennym. Komitet Obywatelski w naszym przekonaniu miał stać się alternatywą dla postkomuny. Jak się okazało nie było to jednak możliwe, bo między nami pojawiły się zbyt duże ideowe rozbieżności, które stały się podstawą tworzenia partii politycznych czyli wchodzenia polskiej demokracji w wiek dojrzały. Te różnice były oczywiście bardziej widoczne na poziomie krajowym, niż prowincjonalnym. Ważnymi beneficjentami nowego porządku gospodarczego stali się postkomuniści szczególnie obecni w newralgicznych sektorach polskiej gospodarki, co walczących z nimi do tej pory działaczami narodowej sprawy nie napawało specjalną wiarą i optymizmem jeśli chodziło o skuteczność polskiej rewolucji. Naiwnością było pewnie sądenie, że Komitet Obywatelski będzie jednością, że stanie się silną alternatywą dla starego systemu partyjnego, ale my nie tylko na prowincji chcieliśmy być wtedy trochę naiwni.

Dziś, niezależnie od tego w jakim miejscu każdy z nas się znajduje, mogę powiedzieć, że jestem dumny, że dane mi było uczestniczyć w tej obywatelskiej rewolucji, nawet jeśli, jak chce słusznie historyk Antoni Dudek, nazwiemy ją „reglamentowaną” rewolucją. Jestem dumny, że byłem członkiem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, bo był to ruch który zrodził się z buntu przeciw-

ko niesuwerennej i totalitarnej władzy, ale był to też ruch który, kiedy stało się to możliwe, wziął odpowiedzialność za Polskę. My w Sztumie, tworząc pierwszy demokratycznie wybrany przez mieszkańców samorząd, wzięliśmy odpowiedzialność za swój lokalny kawałek Polski i staraliśmy się go budować na miarę naszych umiejętności, możliwości i trochę marzeń.

Bogdan Wiśniewski

Nadzieje, zwycięstwa, rozczarowania¹

20 lat po pamiętnym 4 czerwca 1989 r., kiedy to Joanna Szczepkowska w TVP (wtedy jeszcze PRL-owskiej!) ogłosiła upadek komunizmu, pojawia się ogrom różnych refleksji.

Trzeba je jednak poprzedzić przypomnieniem tego, że wygrane 4 czerwca 1989 roku wybory nie były przypadkowe, nie były nieoczekiwanym zrządzeniem losu. Złożyły się na nie tak ważne fakty z naszej powojennej historii, jak chociażby ofiary tysięcy polskich patriotów zamęczonych przez UB i SB, narodowe powstania (bo tak trzeba o nich mówić) z 1956, 1968, 1970, powstanie „Solidarności” w 1980, noc stanu wojennego bezprawnie nasłanego na naród w 1981 r. i – co najważniejsze – wybór wielkiego Polaka Karola Wojtyły na papieża Jana Pawła II i jego brzemiennie w skutki pielgrzymki do Ojczyzny z proroczym wezwaniem z warszawskiego placu Zwycięstwa (sic!): *Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi.*

Nadzieje

W listopadzie 1980 r. w wypełnionej po brzegi sali gimnastycznej jednej ze szkół w Pielplinie zebrali się wszyscy bez mała pracownicy oświaty miasta i gminy Pielplin. Ogólna euforia wynikająca z rejestracji NSZZ „Solidarność” i ciekawość, jak dalej potoczą się losy Polski, a także swoiste niedowierzanie, że w kraju zniewolonym przez komunizm możemy robić cokolwiek sami, że możemy być wolni. Tak zapewne było w tym czasie w całej Polsce, kiedy powstały komisje zakładowe „Solidarności”. Autentyczne zaangażowanie, oddolne inicjatywy, niczym nieskrępowane działania. Ogromna nadzieja

Nagrodzony właśnie w tamtym roku literacką nagrodą Nobla Czesław Miłosz pisał: *Nadzieja bywa, jeżeli ktoś wierzy, że ziemia nie jest snem, ale żywym ciałem.* Ziemia nie jest rzeczywistością nierealną, ale taką, którą można zmieniać. I dalej czytamy u Miłosza: *Niektórzy mówią, że oko nas ludzi, że nic nie ma, tylko się wydaje, ale ci właśnie nie mają nadziei.* Mieliśmy wtedy nadzieję, że zwycięstwo narodu nie pójdzie na marne. Po kilkunastu miesiącach nazywanych karnawalem „Solidarności” hydra komunizmu raz jeszcze pokonała nadzieję i zniszczyła zapal, energię, wiarę. Upokorzyła i upodliła naród, rzuciła go na

¹ Refleksje Bogdana Wiśniewskiego dotyczą Pielplina na Kociewiu, ale są na tyle uniwersalne, że postanowiliśmy, przy okazji rocznicowych wspomnień samorządowych, zamieścić je w naszym kwartalniku.

kolana. Wydawało się wtedy, że już nie ma już odwrotu od Jałty, komunizmu, PRL-u, że naród poniósł sromotną klęskę. I mało kto wtedy sądził, że można mieć nadzieję wbrew nadziei (*contra spem spero*).

I oto nadszedł 4 czerwca 1989 r. Pierwsze częściowo wolne wybory do Sejmu i reaktywowanego Senatu. Zwycięstwo „Solidarności”. Zwycięstwo narodu. Niedowierzenie i szok, jakie przeżywały wówczas komunistyczne władze. Ostatnie jeszcze próby odwrócenia biegu historii czynione przez władców PRL-u, które można porównać do porykiwań niedobitego zwierza. Na nic to się zdało. Naród zdecydował o wolności. Za nami poszli inni. Niemcy z NRD, Czesi i Słowacy, Węgrzy, Bułgarzy, Rumuni. Litwini, Estończycy, Łotysze... O tym fackie nie tylko musimy pamiętać, ale głośno o nim mówić w Europie. I bynajmniej nie w imię megalomanii, ale w imię prawdy historycznej. Musimy wyzbyć się kompleksów, by nie być *pawiem narodów i papugą*, jak pisał Juliusz Słowacki.

Zwycięstwa

I właśnie w imię prawdy historycznej musimy mówić o szeregu zwycięstw, które odnieśliśmy poczynając od 1989 r. Po czerwcowych wyborach jak grzyby po deszczu powstają w całej Ojczyźnie Komitety Obywatelskie. I to jest pierwsze zwycięstwo społeczeństwa dotąd zniewolonego: umiejętność szybkiego reagowania na bieg historii i organizowania się w społeczności lokalne działające dla dobra publicznego. W październiku 1989 r. powstaje w Pelplinie kilkusobowa grupa inicjatywna, która w krótkim czasie skupia wokół siebie dziesiątki osób, przychodzących z konkretnymi pomysłami, planami, inicjatywami. Jeszcze trochę nieufni, ale już przeświadczeni, że ich zaangażowanie ma sens, że nie pójdzie na marne, że można coś robić z przekonaniem i bez nakazu. A ile satysfakcji było z powstania niezależnego od nikogo (także od cenzury!) pierwszego po wojnie wolnego pisma „Ziemi Pelplińskiej”. Ta radość odkrywania w sobie społeczeństwa obywatelskiego to przecież zwycięstwo nad mentalnością *homo sovieticus*. Okazało się, że 45 lat zniewolenia nie zniewoliło nas zupełnie.

A ile było potem zwycięstw. Pierwsze po wojnie całkowicie wolne wybory samorządowe. Jako przewodniczący Miejskiej Komisji Wyborczej organizowałem inauguracyjne posiedzenie Rady Miejskiej w Pelplinie. Wszyscy mieliśmy wtedy świadomość, że uczestniczymy w historycznej chwili. Potem pierwsze i kolejne całkowicie wolne wybory do Sejmu i Senatu, wybory prezydenckie i kolejne samorządowe. Pewno narzekaliśmy, że wybieraliśmy tych, których nie powinniśmy. Niektórzy nas zawiedli. Ale to były już nasze wybory, przez nikogo nie narzucane. Wynikające z tego, że żyjemy w suwerennym państwie.

Tych zwycięstw było wiele. Dzisiaj po prostu ich nie dostrzegamy. Przywykliśmy do wolnej prasy, braku kolejek przed sklepami, paszportów i możliwości poruszania się po świecie, braku wszechwładzy cenzury, swobody stowarzyszania się... Bardzo szybko zapomnieliśmy, gdzie i jak żyliśmy. Zwycięstwem jest i to, że młode pokolenie żyje w demokratycznym, wolnym państwie. I nie jest jak my – nieco starsi – naznaczone skazą zniewolenia.

A jakimż zwycięstwem jest nasze uczestnictwo w NATO i Unii Europejskiej. Jeszcze 20 lat temu byliśmy (wydawało się, że na zawsze) w Układzie Warszawskim i RWPG. I owszem: niekiedy te nasze zwycięstwa mają gorzki smak, bo szły i idą za nimi np. konsekwencje reform ekonomicznych (bezrobocie, inflacja, negatywne skutki prywatyzacji). Trzeba pamiętać, że zwycięstwo ma także gorzki smak, ale mimo to zostaje zwycięstwem.

Rozczarowania

I tu dochodzimy do rozczarowań. Było ich zapewne w ciągu 20 minionych lat bardzo wiele. Wynikały z przeświadczenia, że od razu żyć będziemy w kraju nie tylko wolnym, ale dostatnim, sprawiedliwym, mlekiem i miodem płynącym. Mieliśmy to złudne przekonanie, które było doświadczeniem Polaków radujących się z wolnej Polski po 1918 r. Myśleliśmy o tym, że żyć będziemy – mówiąc językiem Żeromskiego – w szklanych domach. I może jeszcze jeden cytat. Na progu II Rzeczypospolitej zapomniany już dzisiaj Juliusz Kaden Bandrowski, mówiąc o nadziejach i optymizmie rodaków, przestrzegał przed radością z odzyskanego śmietnika. Ta dosadna metafora zapewne mogłaby dotyczyć i początków III RP. De facto musieliśmy kształtować nasze odrodzone państwo od nowa. I nie idzie tutaj tylko o zmiany nazw instytucji i urzędów, likwidację jednych i powstawanie drugih, konieczność dokonywania głębokich reform społecznych, politycznych, ekonomicznych. Przede wszystkim trzeba było zmieniać mentalność. Trudny proces kształtowania nowego stosunku do państwa trwa nadal, chociaż nie bez przeszkód. Istota społeczeństwa obywatelskiego polega i na tym, że powinniśmy czuć się wspólnotą odpowiedzialną za państwo i za naszą najbliższą, lokalną społeczność.

Euforia i entuzjazm społeczeństwa powoli ewoluował. I często zmieniał się w zniechęcenie, apatię, obojętność, a bywało że i wrogość do struktur nowego odrodzonego państwa. Bo przecież zamiast idylli pojawiły się najpierw wspomniane konsekwencje reform ekonomicznych z galopującą inflacją, bezrobociem, strajkami. Potem pojawiły się liczne afery korupcyjne, niejasne powiązania polityki, biznesu, wymiaru sprawiedliwości. A to tego nierozliczone zbrodnie przeciwko narodowi, procesy ciągnące się latami.

Największe zagrożenie i rozczarowanie wynika jednak z czegoś innego. To dewaluacja autorytetów i wartości, która jest nie tylko skutkiem konsumpcyjnego modelu życia i postmodernistycznej kultury i obyczajowości. Jest – miejmy nadzieję, że nieświadomie i bezwolnie – propagowana przez media. A już na pewno – co szczególnie przykre – do zaniku autorytetów przyczyniają się politycy. Kłótnie, swary, inwektywy dalekie od języka parlamentarnego często wynikające z partyjnych partykularyzmów czy egoizmu i nienawiści pojawiają się w miejsce rzeczowych polemik i troski o dobro państwa. Przykre jest to, że dotyczy to tych, którzy wyszli z jednego opozycyjnego łona. To może zniechęcać obywateli (szczególnie młodych) do polityki, a także powodować izolację rządzących. Przykładem niech będzie chociażby niska frekwencja na wyborach (nie tylko tych ostatnich – do Parlamentu Europejskiego). W czasach PRL-u zniewalała nas komunistyczna indoktrynacja, a obecnie zniewalamy się sami. Kiedyś wartości nam zabierano, teraz sami je zatracamy, gubimy, nie dostrzegamy ich albo opacznie rozumiemy. Jan Paweł II w czasie pamiętnego przemówienia do polskich parlamentarzystów w 1999 r. przestrzegał, że demokracja bez wartości może bardzo łatwo zamienić się w jawny lub ukryty totalitaryzm. Warto mieć to na uwadze.

A jednak nadzieja

Co więc przyniosły nam wydarzenia ostatnich dwudziestu lat? Sporo rozczarowań, porażek, traumatycznych wręcz doświadczeń. Trzeba jednak pamiętać, że żyjemy w wolnym, suwerennym państwie. I to jest największy sukces.

Swoim uczniom często powtarzam, żeby szanowali i dobrze rozumieli wolność, żeby identyfikowali się ze swoim narodem i krajem (do całkowitej irytacji doprowadzają mnie ci politycy i dziennikarze, którzy mówią o Polsce: *ten kraj* zamiast: *mój kraj!*), żeby kultywowali polskie tradycje, żeby przyznawali się do swoich małych ojczyzn. Bo tylko wtedy będą Europejczykami w każdym calu. Myślę, że największa nadzieja jest w młodych – nieskażonych konformizmem, partykularyzmem, otwartych i wykształconych, bez garbu doświadczeń PRL-owskich. I to oni – miejmy nadzieję – wykażą, że Norwidowska myśl, że *Polak jest olbrzym, ale człowiek w Polaku jest karzeł przejdzie do lamusa*.

Rafał Cybulski

Stan wojenny okiem młodego prowincjusza¹

Rok 1981, portowe miasteczko i czterech nastolatków, którzy zakładają punkrockowy zespół. Janek, Kazik, Staszek (brat Janka) i „Diabeł” niczym nie różnią od swych rówieśników, nie tylko tych sprzed trzech dekad, ale i współczesnych, bo młodość, bez względu na czas i miejsce, zawsze jest podobna: pierwszy alkohol, pierwsze dziewczyny, inicjacja seksualna, buntownicza muzyka. Ogłoszony



w grudniu stan wojenny jest tu na dalszym planie. O tym właśnie opowiada film „Wszystko, co kocham”. Zresztą opisywana przez Jacka Borcucha historia wydarzyła się naprawdę, choć nie nad morzem, w Helu, lecz w Kwidzynie i kilka lat później. Reżyser wraca bowiem do czasów własnej młodości, a dokładniej okresu, gdy grał w punkowym zespole razem z Maćkiem, swoim bratem Danielem i „Diabełem”.

Janek, czyli Jacek

Główny bohater, Janek, to wrażliwy i dobrze ułożony chłopiec, ale okoliczności sprawiają, że powoli dojrzewa w nim bunt. Jego matka jest pielęgniarką, która zapisała się do „Solidarności”, ojciec oficerem marynarki wojennej, który należy do partii. Gdy zostaje ogłoszony stan wojenny okazuje się to przeszkodą dla jego ukochanej Basi, bo jej ojciec też jest w „Solidarności”. Ich miłość niczym w „Romeo i Julii” okazuje się zakazana.

- 80 procent tego, co pokazałem w filmie, wydarzyło się naprawdę - przyznaje Jacek Borcuch.

Jego matka naprawdę była pielęgniarką, a ojciec pułkownikiem wojska polskiego. Oboje odgrywają ważną rolę w życiu Jacka, a tata był dla niego ważnym konsultantem w trakcie powstawania filmu. Sam Jacek, w chwili gdy Wojciech Jaruzelski ogłaszał stan wojenny miał 11 lat i wiedzę na temat tamtych wydarzeń czerpał głównie ze szczątków rozmów rodziców podsłuchiowanych z drugiego pokoju.

- Natomiast Basia jest połączeniem dwóch dziewczyn, moich miłości z tamtego okresu - uzupełnia Jacek.

¹ Wszystkie zdjęcia w tekście zostały udostępnione przez dystrybutora filmu „Wszystko co kocham” - ITI CINEMA

Bardziej enigmatyczny jest, gdy pytam go o postać seksownej, około czterdziestoletniej sąsiadki, w objęcia której wpadł odtrącony przez Basię Janek.

- Myślę, że na każdym podwórku jest taka sąsiadka, a każdy nastolatek przeżywa podobne fascynacje - mówi, a jego koledzy z tamtych lat wypowiadają się w podobnym tonie.

W filmie pada również nazwisko Krukowski. To też nie jest przypadek lecz hołd złożony przez Jacka swemu ulubionemu profesorowi z ogólniaka, polonistcie Zygmuntowi Krukowskiemu. W wersji roboczej była nawet taka postać, ale potem reżyser dokonał wielu cięć. Po prostu całość miała 2,5 godziny i uznał, że to może być zbyt długi film dla przeciętnego widza.

Kazik, czyli Maciek



- Z Jackiem przyjaźnimy się od trzeciego lub czwartego roku życia. Mieszkaliśmy w tym samym bloku, chodziliśmy razem do szkoły. To, co Jacek pokazał w filmie, to tylko fragment naszej wspólnej przeszłości. Do-

skonałe jednak rozumiem dlaczego skupił się na tym okresie, to przecież kulminacja naszej młodości - mówi Maciej Płończyk, który był pierwowzorem postaci Kazika, najbliższego kolegi Janka.

Maciek, a właściwie „Cieniu”, bo tak wtedy nazywali go koledzy (są różne wersje na temat genezy tej ksywki), grał na gitarze. Próby ich zespołu, dzięki życzliwości sąsiadów odbywały się najczęściej w piwnicy bloku 20 B, przy ul. Kasprowicza, gdzie mieszkał on i bracia Borcuchowie. Czasami ćwiczyli też w innych miejscach, w tym również w jednostce wojskowej, tak jak jest to pokazane w filmie.- Niektórzy zarzucają Jackowi, że idealizuje tamte czasy, że je wybiela, ale to nieprawda. Przecież to były czasy naszej młodości, a młodość bez względu na tło polityczne, ma prawo być kolorowa - zżyma się Maciek, który podobnie jak Jacek, podkreśla, że „Wszystko, co kocham”, to nie jest film o stanie wojennym lecz o uniwersalnych wartościach takich jak miłość, czy przyjaźń.

Choć prowincjonalny Kwidzyn był z dala od centrum wydarzeń z zimy 1981 roku, to jednak i oni odczuwali echa stanu wojennego, choćby przez podziały w ich domach. Ojciec w partii, matka w „Solidarności” lub odwrotnie - tak było wtedy w wielu rodzinach.

- A przecież wśród młodzieży podziały były raczej inne, na punków i popersów - zauważa „Cieniu”.

Dziś Maciek jest menedżerem w dużej warszawskiej korporacji. Wprawdzie po liceum drogi jego i Jacka, nieco się rozeszły, ale teraz, gdy obaj mieszkają w stolicy, znów się często spotykają. Maciek był też na planie filmu i widział jego wersję roboczą.

- Naprawdę każdy powinien go zobaczyć - mówi z nieskrywanym zachwytem.

Staszek, czyli Daniel

Jeszcze częściej na planie filmowym był Daniel Borcuch. I to nie tylko dlatego, że jest bratem Jacka i grał z nim w zespole. Daniel, bardziej znany jako Daniel Bloom, jest bowiem autorem muzyki do wszystkich filmów swego o rok starszego brata oraz komedii „Ciacho” w reżyserii Patryka Vegi. Oprócz tego komponuje również muzykę do spektakli teatralnych i reklam, wyprodukował również płytę Tomka Makowieckiego. We „Wszystko, co kocham” muzyka jest istotnym elementem. Młodzieżowy zespół, który śpiewa tam piosenki kultowej w latach 80. grupy Dezerter i znanego tylko na Pomorzu zespołu WC.

- Obrazki też mogłem zilustrować muzyką punkową, ale to byłaby droga na skróty. A ja chciałem, żeby to była muzyka, która pokazuje co dzieje się w głowie wrażliwego chłopaka, a takim przecież jest Janek - mówi Daniel

Zdaniem krytyków udało mu się to znakomicie. Zresztą już wkrótce będą się o tym mogli przekonać wszyscy, nawet ci co nie widzieli filmu, bo ukaże się dwupłytowy album Daniela Blooma. Na pierwszym krążku znajdzie się ścieżka dźwiękowa do filmu wraz z piosenkami, a na drugim amatorski film DVD z planu zdjęciowego, który nagrał kamerą 8 mm.

W filmie ich zespół, na cześć dawnej pomorskiej kapeli, nazywa się WCK (tytułowe Wszystko Co Kocham), ale naprawdę nazywał się Replay.

- Też graliśmy punka, ale ja nie byłem punkowcem. Byłem wrażliwym chłopcem, który w przeciwieństwie do reszty zespołu interesował się muzyką new romantic i astronomią. Zresztą trochę ze mnie można odnaleźć również w głównym filmowym bohaterze. Janek ma moją wrażliwość, ale buntowniczość Jacka - analizuje Daniel, który przyznaje, że Jacek i „Cieniu” wzięli go do zespołu, bo nie miał kto grać na bębnach. On też nie umiał, ale był przecież pod ręką.

- Dla nich byłem jednak gówniarzem i do wielu spraw mnie nie dopuszczali. To oni we dwójkę decydowali o wszystkim - dodaje.

„Diabeł”, czyli... „Diabeł”

- Kto wie, czy kluczową postacią w zespole nie był „Diabeł”. Jego rodzice mieli kwiaciarnię przy ul. Grunwaldzkiej (nadal istnieje - przyp. red.). Gdy ojciec dowiedział się, że ma grać z nami w zespole, ucieszył się, że syn nie będzie się włóczył bez sensu po mieście, więc kupił mu gitarę basową i piec, z którego potem wszyscy korzystaliśmy - wspomina Daniel Borcuch.

W filmie, „Diabeł”, czyli naprawdę Robert Grabski, jeździ na motorynce i jak prawdziwy syn „badylarzy”, częstuje swych kolegów zagranicznymi papierosami. On sam podobnie wspomina tamte czasy.

- Nasza kapela, to była kompletna partyzantka. Graliśmy przez rok, może półtora. Byliśmy raczej słabi, a ja dopiero gdy trafiłem do zespołu, zacząłem uczyć się gry na basie. Pamiętam też, że ciągle taszczyliśmy ten piec z Grunwaldzkiej, gdzie mieszkalem, na Kasprowicza, gdzie mieliśmy próby - mówi.

Robert jest jedynym członkiem zespołu, który nadal mieszka w Kwidzynie. Pracuje w jednej z fabryk w kwidzyńskiej dolinie przemysłowej. Kilka lat temu chorował na białaczkę, ale, że zawsze tryskał radością i optymizmem, poradził sobie z chorobą.



-Z chłopakami z zespołu nie widziałem się od dawna, ale gdy Jacek rozpoczynał pracę nad filmem, wysłał mi maila z informacją, że „Diabeł”, czyli ja, będzie jednym z jego filmowych bohaterów - dodaje.

Aktorzy

Zdaniem większości krytyków, dużym atutem filmu Jacka Borcucha jest jego świeżość. Duża w tym zasługa młodych aktorów, którymi obsadzono główne role. Dzięki nim Janek (Mateusz Kościukiewicz), Basia (Olga Frycz), Kazik (Jakub Gierszał), Staszek (Mateusz Banasiuk) i „Diabeł” (Igor Obłóza) są niewinni i prawdziwi.

- Starłem się wybrać najlepszych z najlepszych - mówi Jacek Borcuch, który na castingach przyjrzał się kilkuset kandydatom.

Najwięcej szumu jest wokół Mateusza Kościukiewicza, który po festiwalu w Gdyni został okrzyknięty nowym Zbyszkiem Cybulskim a dyrektor festiwalu w Sundance poszedł jeszcze dalej porównując do Jamesa Deana, Heatha Ledgera i Rivera Phoenixa.

- Od porównań się nie ucieknę, ale ja wołałbym, żeby za jakiś porównywano młodych aktorów do Mateusza Kościukiewicza. A tak na poważnie, to w moim życiu nic się nie zmieniło, to raczej ludzie zaczęli mnie inaczej postrzegać - mówi student krakowskiej PWST.

Choć wcześniej nie znał nikogo z ekipy „Wszystko, co kocham”, to na planie szybko złapał ze wszystkimi kontakt. Z Jackiem również. Nie mogło być zresztą inaczej, bo mają podobną wrażliwość i obaj pochodzą z małych miast. Jacek z Kwidzyna, Mateusz z Nowego Tomyśla.

- Jacek jest świetnym reżyserem, znakomicie prowadzi aktorów i sprawił, że na planie czułem się bezpiecznie, a bez tego ciężko byłoby mi oddać wszystkie emocje targające Jankiem - podkreśla Mateusz.

Rola Janka, nie licząc kilku epizodów w innych produkcjach, to właściwie jego debiut. W dodatku od razu musiał zmierzyć się z trudnymi scenami erotycznymi i własną nagością na planie, ale okazuje się, że nie to było dla niego najtrudniejsze.

- Każdy akt огоłocenia bywa trudny, bo każdy ma w sobie jakiś wstyd, ale o wiele trudniej jest rozebrać się psychicznie, obnażyć się przed kamerą. A to udało mi się właśnie dzięki bezpieczeństwu, które zapewnił mi Jacek - zapewnia Mateusz, który dodaje, że nie miał problemów z wcieleniem się w tę rolę również z innych przyczyn: - Bo to się dzieje między młodymi ludźmi zawsze wygląda podobnie. No może dzisiaj przebiega to trochę chłodniej.

Najpiękniejszy stan wojenny

„Wszystko, co kocham” Jacka Borcucha, to najdłużej oklaskiwany film ubiegłorocznego festiwalu w Gdyni. Oprócz Złotego Klakiera film zdobył jeszcze nagrodę za scenografię oraz nagrodę dystrybutora z Australii. W styczniu 2010 „Wszystko, co kocham”, jako pierwszy polski film w historii został zakwalifikowany, do konkursu głównego festiwalu w Sundance, największego festiwalu kina niezależnego. Jego dyrektorem jest Robert Redford. W Sundance film nie zdobył nagrody, ale zyskał bardzo pozytywne recenzje.

Wrażliwy, ciepły, pełen emocji i melancholii, skłaniający do refleksji, uniwersalny - takimi przymiotnikami widzowie najczęściej film Jacka Borcucha. Przeciwnicy wytykają natomiast idealizowanie i wybielanie stanu wojennego.

- W trakcie wojny moja babcia została wywieziona do Niemiec na roboty. Tam zakochała się w młodym Polaku. Wokół była wojna, ale dla nich był to najpiękniejszy okres w życiu. Z moim filmem jest podobnie - odpiera ataki reżyser.

Jacek Borcuch - od aktora do reżysera

Jacek Borcuch, rocznik 1970, studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim oraz aktorstwo w warszawskiej PWST i Studio Aktorskim w Gdyni. Po zakończeniu nauki występował m.in. w Teatrze Muzycznym w Gdyni i Teatrze Rampa w Warszawie. W 1999 roku zagrał w kilku odcinkach „Na dobre i na złe”, ale przełomem była dla niego rola Stefana w „Długu” Krzysztofa Krasuzego. To na planie tego filmu poznał Andrzeja Chyrę. Do dziś są bliskimi przyjaciółmi, a Andrzej gra we wszystkich filmach Jacka.

- Andrzeja traktuję jako swoje alter ego w kinie. Jeśli sam chcę coś w filmie powiedzieć, to robię to jego ustami - to chyba najlepiej opisuje naszą więź - deklaruje Jacek i dodaje: - Aktorstwo odsunąłem na boczne tory. To się wzięło ze złych doświadczeń. Niestety w życiu aktora często jest tak, że nakład pracy jest nieadekwatny do efektów. A już najgorzej, gdy trafi się na złego reżysera lub złego montażystę, albo na obu naraz. Wolę się skupić na reżyserii. Wprawdzie są tacy, jak Woody Allen, którzy łączą pracę po obu stronach kamery, ale ja wolę robić jedną z tych rzeczy a dobrze.

Jeszcze w tym samym roku Jacek spróbował sił po drugiej stronie kamery. „Kallafiorra”, pierwszy polski film off-owy, który trafił do szerokiej dystrybucji, nakręcił za pieniądze własne i pożyczone od znajomych. Mimo skromnych środków jakimi dysponował film zyskał wiele ciepłych recenzji. Równie dobrze krytycy ocenili jego drugi film „Tulipany” (premiera w 2005 roku), jednak ze względu na słabą promocję, nie zobaczyło go zbyt wielu widzów. W „Tulipaniach” na ekran filmowy, po 30 latach przerwy, powróciła Małgorzata Braunek, czyli Oleńka z „Potopu”. W obsadzie znaleźli się również Jan Nowicki, Zygmunt Malanowicz, Tadeusz Pluciński oraz Ilona Ostrowska, żona Jacka, która nieco później zdobyła sławę jako serialowa Lucy z „Rancza”. „Wszystko, co kocham”, to jego trzeci film.

Marek Stokowski

Mariusz Stawarski – malarz z naszej ulicy

Gdyby brylował w warszawsko - krakowskich salonach, zapewne wiedzielibyśmy o nim dużo więcej. Ale on przeżywa swoje życie tuż obok nas, chodzi do tego samego sklepu, na tę samą pocztę, i w tym właśnie jest cały problem. Bo czy ktoś, kto mieszka w naszym miasteczku, na naszej ulicy, może być wspaniałym artystą, postacią wartą zainteresowania? Przecież wszyscy wielcy mieszkają hen, za górą. I w telewizji.

Boli mnie, że tak mało dobrych rzeczy wiemy o naszych najbliższych sąsiadach. Dlatego powiem Państwu parę słów o Mariuszu S. – autorze okładki i obrazów zamieszczonych w tym piśmie.

Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku na Wydziale Architektury i Wzornictwa Przemysłowego. Dyplom zrobił u profesora Zbigniewa Parandowskiego.

Od roku 1990 kieruje pracownią plastyczną Muzeum Zamkowego w Malborku. Oprócz projektowania wystaw muzealnych – maluje. Przepraszam, on przede wszystkim maluje.

Jego olejne kompozycje charakteryzuje fenomenalna wyobraźnia i kunszt malarski – coś, czego coraz bardziej brakuje współczesnym artystom, skazującym się przez to na zdobywanie widza cwaniactwem i mętными ideologiami. Mariusz nie kombinuje, tylko tworzy fascynujące światy. I jest w jego obrazach coś jeszcze – nadzwyczajne poczucie humoru. Nic zatem dziwnego, że artysta z Malborka uczestniczył w międzynarodowych konkursach karykatury – w Polsce, Belgii i Turcji. Zdobył tam sporo laurów, z których najważniejsze to Grand Prix Satyrykonu (1998) i nagroda w konkursie Aydin Dogan Vakfi w Turcji (2005).

W latach 1996 – 1999 jego prace można było oglądać na łamach tygodnika „Wprost”. Od roku 1999 wystawia obrazy w znanej i prestiżowej galerii Zapiecek na warszawskiej Starówce. Poza tym od lat współpracuje z takimi agencjami jak Studio P i Kreacja Pro Andrzeja Pągowskiego, oraz ze studiami Filmar i Yapan. Z grupą Yapan współtworzył ogólnopolską kampanię reklamową dla PZU i PZU Życie, projektując ulotki, plakaty i billboardy.



Mariusz Stawarski (fot. z archiwum malarza)

W listopadzie 2006 Mariusz podpisał kontrakt z nowojorską agencją ilustratorów Lindgren & Smith. Dzięki temu jego prace znalazły się w materiałach United Airlines i organizacji Heifer, a także w pismach „Eating Well Magazine” i „Pray!Magazine”.

Artysta szczególnie ceni sobie projektowanie i ilustrowanie książek. W tej dziedzinie jego pierwszym osiągnięciem okazały się „Sny dla dorosłych i dla dzieci”, rzecz wydana przez gdańską oficynę słowo/obraz terytoria w roku 1998 (autorem humoresek zawartych w owym tomie był niżej podpisany). Malarz otrzymał za tę książkę nagrodę polskiej sekcji IBBY. W marcu 2009 roku amerykańskie wydawnictwo Dutton Children Books, należące do koncernu wydawniczego Penguin, opublikowało książkę „Sky Magic”, całkowicie zaprojektowaną przez Mariusza i zawierająca osiemnaście jego oszałamiających obrazów.

Kto z Państwa chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o jego twórczości, drodze zawodowej, źródłach inspiracji i planach na przyszłość, musi pojechać na Tajwan, do Tajpej, bo właśnie tam w magazynie artystycznym „My Dpi” ukazał się niedawno obszerny wywiad z malarzem z Zamku Malbork. A tutaj, u nas, o Mariusza raczej nie warto pytać. Zapewne nikt o nim nie słyszał. Przecież u nas nie mogą mieszkać żadni prawdziwi artyści.

Wacław Bielecki

Sztumski koncert plebiscytowy Feliksa Nowowiejskiego

W licznych artykułach i opracowaniach na temat plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu pisze się o udziale Stefana Żeromskiego i Jana Kasprowicza, natomiast pomijane jest uczestnictwo wybitnego polskiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego (1877-1946), twórcy muzyki do „Roty”, oratorium „Quo vadis”, opery „Legenda Bałtyku” oraz wielu pieśni chóralnych i solowych, symfonii, poematów, koncertów organowych i muzyki religijnej.

Olsztyński biograf kompozytora – Jan Boehm – podaje, że od listopada 1919 do czerwca 1920 roku Feliks Nowowiejski dał dziesięć koncertów kompozytorskich, czyli składających się głównie z jego muzyki, w ośmiu miejscowościach. Organizatorem koncertów był Warmiński Komitet Plebiscytowy z siedzibą w Kwidzynie. Dochód z koncertów został przeznaczony na potrzeby plebiscytu.

Pierwsze dwa koncerty odbyły się już w roku 1919: inauguracyjny, w sali Filharmonii Narodowej w Warszawie (19 listopada), drugi – w Krakowie (7 grudnia). Później, już w roku plebiscytu Feliks Nowowiejski koncertował kolejno: w Nowym Mieście lubawskim (1 i 6 stycznia), Toruniu (20 i 21 marca), Kwidzynie (25 kwietnia), Poznaniu (2 maja), Sztumie (9 maja) oraz ostatni w Olsztynie (2 czerwca).

Już sama „geografia” koncertów nasuwa myśl o dużym rozmachu tego tournée. Odbywało się one bowiem nie tylko na terenach objętych plebiscytem ale i w największych miastach Polski, co miało szczególną wymowę polityczną – przypominało bowiem Macierzy o Trójkrainie: Warmii, Mazurach i Powiślu. Było to zgodne z poglądem samego Nowowiejskiego, który w przedmowie do jednego ze swych śpiewników przeznaczonych dla chórów tak pisał o znaczeniu pieśni: *„Miłość Ojczyzny i cześć dla pieśni narodowej była motywem do niniejszej pracy, którą rodakom przedkładam. Gdy Ojczyzna nasza cudownym działaniem Bożem zmartwychwstała, odczuwa się potrzebę podręczników muzycznych z opracowaniem pieśni naszej rodzimej, która wywierając stanowczy wpływ na charakter duszy, na umysł i serce rodzimej, która wywierając stanowczy wpływ na charakter duszy, na umysł i serce społeczeństwa zaspokajałaby te konieczne postulaty edukacyjne narodu.”*

Wśród koncertów odbytych na terenach plebiscytowych najlepiej opisane są występy Nowowiejskiego w Olsztynie i Kwidzynie. Natomiast koncert w Sztumie nie został dokładnie zanalizowany. Jan Boehm poświęca mu zaledwie trzy zdania. W szczegółowej bibliografii sporządzonej przez tego znakomitego znaw-



Jan Nowowiejski w czasie koncertu w Sztumie. (fot. Wacław Bielecki)

cę życia i twórczości Feliksa Nowowiejskiego nie została nawet odnotowana recenzja koncertu w Sztumie. Pora więc wypełnić nieco tę lukę.

Koncert w Sztumie odbył się w niedzielę 9 maja 1920 roku o godzinie siódmej wieczorem w nieistniejącej dzisiaj „sali strzelnicy”. Pierwsza jego zapowiedź ukazała się w „Gazecie Polskiej dla powiatów nadwiślańskich”

wychodzącej w Kwidzynie w czwartek 6 maja 1920 roku i była powtarzana jeszcze dwa razy przed koncertem w piątek i sobotę – 7 i 8 maja. Oprócz wzmianki o wykonawcach i programie koncertu gazeta tak zachęcała do udziału w nim:

„Po raz pierwszy będziemy mieli sposobność usłyszeć dzieła sławnego mistrza rodaka, toteż spodziewamy się, że dla uczczenia tak sławnego mistrza, Polonia tutejsza bez różnicy stanu – tłumnie przybędzie na zapowiadziany koncert.

Cześć pieśni. Zarząd Kółka Śpiewackiego w Sztumie.

Bilety poprzednio są do nabycia, i to od wtorku 4-go maja, u kupca p. J. Domańskiego, w niedzielę w dzień koncertu o 6 1/2, przy kasie.”

Recenzent „Gazety Polskiej dla powiatów nadwiślańskich” podpisujący się pseudonimem „Obserwator” pisał tak o koncercie: *„Rozgłos i uwielbienie, jakim cieszy się ten rodak z Warmii (F. Nowowiejski urodził się bowiem w Barczewie niem. Wartembork koło Olsztyna jako piąty spośród jedenaściorga dzieci – W.B.), zgromadziły o oznaczonej godzinie olbrzymie mnóstwo Polaków wszystkich klas i stanów ze Sztumu i dalekiej nawet okolicy w sali strzelnicy.”*

Oprócz kompozytora który dyrygował i akompaniował na fortepianie, w koncercie uczestniczyli inni wykonawcy: Helena Sosińska śpiewaczka operowa opery hamburskiej oraz deklamatorzy- Jadwiga Dirścianka i młodszy brat kompozytora ksiądz Rudolf Nowowiejski. Poza tym, wśród wykonawców był miejscowy chór.

Na program koncertu złożyły się: pieśń z poematu symfonicznego „Śmierć Ellenai” i scena Ligii w katakumbach z oratorium „Quo vadis” oraz marsz żałobny i inne pieśni na głos solowy i na chór. Oprócz tego brat kompozytora ks. Rudolf Nowowiejski uświetnił koncert deklamacją „Hymnu Rzeczypospolitej Polskiej” i wykładem na temat współczesnej muzyki polskiej.

Jak z tego wynika cały koncert był tak ułożony, by przez muzykę i żywe słowo budzić, utrzymywać i potęgować uczucia patriotyczne. Już pierwszy utwór – „Śmierć Ellenai” ma bardzo wymowną symbolikę. Podniętą do jego skomponowania był dla kompozytora poemat Juliusza Słowackiego „Anelli” pisany prozą poetycką. Akcja utworu rozgrywa się na Syberii wśród polskich wygnańców – skłóconych, podzielonych i nie mających nadziei na powrót z katorgi. Głównym bohaterem poematu jest młody Polak – Anelli, zaś Ellenai – jego

przybrana siostra – umiera ze smutku i tęsknoty za ojczyzną. Ostatnim jej pragnieniem w chwili śmierci jest ujrzeć swój kraj, dom rodzinny i bliskich. Utwór ten został wykonany po raz pierwszy na wspomnianym koncercie w Warszawie w roku 1919. Jest to kilkunastominutowy poemat symfoniczny napisany na orkiestrę smyczkową i klarnet solo, ewentualnie głos recytujący. W Sztumie był wykonywany w wersji na głos recytujący i fortepian.

Drugim, poważniejszym utworem wykonanym na sztumskim koncercie był fragment z oratorium „Quo vadis”, scena Ligii w katakumbach zaśpiewana przez Helenę Sosińską z akompaniamentem fortepianowym kompozytora. Trzeba tu przypomnieć, że oratorium „Quo vadis” powstałe pod wpływem znanej powieści Henryka Sienkiewicza (literacka nagroda Nobla w 1905 roku) oraz podróży kompozytora do Rzymu, było w swoim czasie bardzo znanym i często wykonywanym utworem muzycznym. Po premierze ostatecznej wersji w Amsterdamie w 1909 roku zyskało niebawem światową sławę i było wykonywane w 150 największych miastach Europy i Ameryki. Poznali je słuchacze Berlina, Wiednia, Paryża, Kopenhagi oraz Nowego Jorku, Bostonu, Filadelfii, San Francisco i innych miast. Początkowo tekst oratorium wykonywany był w języku niemieckim, angielskim i po łacinie, później – również po polsku. Nic dziwnego, że Nowowiejski chciał przedstawić choćby jeden fragment tego sławnego utworu sztumskim słuchaczom.

Na koncercie wykonano także kilka pieśni solo i na chór. Były wśród nich skomponowane przez Nowowiejskiego hymny. Jeden z nich – „Hymn kaszubski” do słów Jarosza (?) Derdowskiego spotkał się z taką owacją słuchaczy, że trzeba było powtarzać aż trzykrotnie. Zapewne entuzjazm słuchaczy wzbudziła już pierwsza strofa:

*Tam, gdzie Wisła od Krakowa
W polście morze płynie,
Polsko wiara, polsko mowa,
Nigdy nie zadzinie*

Pieśń ta ma dwie wersje słów: polską i oryginalną – cytowaną tutaj – kaszubską. Niestety, nie wiemy w jakiej wersji wykonano ją w Sztumie.

Śpiewano też przepiękny hymn floty polskiej – „Nasz Bałtyk” z tekstem Stanisława Rybki zaczynający się od słów:

*Wolności słońce pieści lazur
Łódź nasz płynie w świata dal.
Z okrętu dumnie polska flaga
Uśmiecha się do złotych fal.
I póki kropla jest w Bałtyku,
polskiem morzem będziesz ty,
Bo o twe wody szmaragdowe
płynęła krew i nasze łzy.*

Podczas koncertu zaśpiewano też prawdopodobnie pieśni ludowe, które były wykonywane na koncertach w Kwidzynie i Toruniu: „Maciuś”, „Wisła” („Hej, ty Wisło, modra rzeko”) oraz „Kujawiak”. Przypuszczać też trzeba, że na zakończenie koncertu wszyscy, to znaczy wykonawcy i publiczność, zaśpiewali „Rotę”, która w owym okresie była pieśnią cieszącą się olbrzymią popularnością. Pełniła bowiem rolę hymnu narodowego. Zaś do jej rozpowszechnienia przyczynił się sam kompozytor.

Entuzjazm wśród sztumskich słuchaczy wywoływała także deklamacja ks. Rudolfa Nowowiejskiego, który przy akompaniamencie swego brata – kompozytora, zaczął od „Hymnu Rzeczypospolitej Polskiej” ze słowami Stanisława Rybki:

*Złamane berła, powalone trony,
Niewoli więzy już rozbite w pył
A w całej Polsce rozbrzmiewają dzwony,
Że Bóg krwią naszą dawne winy zmył.
Ziemia i morze polskie nas wita,
nasza najdroższa Rzeczypospolita*

Recenzent pisze, że słuchacze „powstali samorzutnie na znak czci i uszanowania. Łzy lśniły w oczach słuchaczy. Po skończeniu deklamacji końca nie było oznak serdecznej radości i podniecenia patriotycznego. Odczuli wtenczas obecni, jak bardzo kochają tę wymarzoną ojczyznę naszą, którą mistrze tonu i słowa w tak podniosły sposób wysławiają.”

Nie należy się zbyt dziwić sile oddziaływania ks. Rudolfa Nowowiejskiego. Jego osobowością zachwycił się Stefan Żeromski pisząc w reportażu: „Iława-Kwidzyn-Malborg” zamieszczonym w zbiorze „Inter arma”, że był on jedną z najciekawszych postaci polskim komitecie plebiscytowym: „Wielorakie i rozległe wykształcenie – pisze Żeromski – znajomość dziewięciu języków obcych aż do arabskiego, odbyte podróże, wrażliwość, bystrość, energia i śmiałość, a nade wszystko prostota i rzeczowość czynią z tego człowieka postać nadzwyczajnie zajmującą i sympatyczną. Na licznych wiecach ks. Nowowiejski staje do walki właśnie z księżmi niemieckimi, a podtrzymuje i roznieca ogień uczuć polskich w duszach nielicznych księży – Polaków, kolegów nowych i przyjaciół. Jako znawca nieporównywalny stosunków, ludzi, miejscowości, języka i obyczajów, jest czynnikiem niezastąpionym w pracy komitetu. Dziś jest tutaj, jutro o setki kilometrów, nie doje, nie dośpi, wciąż w drodze i wśród ognia pracy... Jego mowy, apostrofy, wielojęzyczne wystąpienia do władz koalicyjnych cechuje oryginalność i trafność. Poezje łacińskie, niemieckie i polskie sypie jak z rękawa.”

Zebrani wysłuchali następnie „z napiętą uwagą wielce ujmującego wykładu” o współczesnej muzyce polskiej, który wygłosił ks. Rudolf Nowowiejski. Niestety, nie wiemy co było szczegółowym tematem tego wykładu.

Podkreślić też należy udział w koncercie chóru, czy jak to wtenczas określano, „kółka śpiewackiego” ze Sztumu. W każdym koncercie Nowowiejskiego na terenach plebiscytowych występował miejscowy chór. Tak było podczas koncertów w Kwidzynie i w Olsztynie. Tak też było i w Sztumie. W tamtejszym powiecie sztumskim działały liczne „kółka śpiewackie”. Nie tylko w Sztumie ale i w Postolinie, Mikołajkach, Starym Targu, Kalwie i Koźlinku. Podtrzymywały one uczucia patriotyczne i świadomość narodową przez śpiewanie pieśni, pogańki na tematy historyczne i organizację wycieczek do Polski.

Szkoda, że nie ma na ten temat dokładniejszych informacji, jaki chór występował podczas koncertu plebiscytowego. Przypuszczać można, że był to ten sam chór, który śpiewał tydzień wcześniej na uroczystościach z okazji Święta Narodowego 3 Maja. Jego dyrygentem był wtedy pan Domachowski, organista ze Sztumu.

Wracając do koncertu Nowowiejskiego trzeba podkreślić jego doniosłe znaczenie dla Polaków zamieszkujących tereny plebiscytowe. Na pewno było to dla nich duże przeżycie, bowiem – jak pisze recenzent – *„przemienił się koncert w wielką narodową manifestację i w uroczystość uświadamiającą szerokie masy. Potęgą naszej polskiej kultury przemówiła żywym tonem i słowem do serc naszych rodaków.”*

XXX

Na sesji naukowej, która odbyła się w Sztumie 15 lat temu, prezentując powyższe zapiski, apelowałem o uczczenie pamięci Feliksa Nowowiejskiego, poza ulicą Jego imienia, która już jest, choćby symboliczną tablicą pamiątkową. Dziś spełniło się moje marzenie aż nadto. Nowowiejskiemu poświęcono pomnik i upamiętniono niebywałym koncertem rocznicowym.

90 rocznica koncertu plebiscytowego Feliksa Nowowiejskiego w Sztumie

W niedzielę 9 maja 2010 r. w kościele św. Anny w Sztumie odbył się niezwykle koncert. Niezwykły, bo – po pierwsze - odbył się dokładnie w 90 rocznicę koncertu wykonanego przed plebiscytem na Warmii i Mazurach przez znanego polskiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego, i tak jak wtedy, było to niedzielne popołudnie 9 maja 1920 roku. Po drugie - wykonawcami koncertu byli: najmłodszy syn kompozytora Jan Nowowiejski, mający blisko osiemdziesiąt lat oraz jego córka, czyli wnuczka Feliksa – Bogna Nowowiejska. Zachowana została więc rodzinna łączność – dziewięćdziesiąt lat temu koncertował w Sztumie ojciec, a obecnie syn i wnuczka. To niespotykane. Po trzecie – przed koncertem

na skwerze nad Jeziorem Sztumskim zostało odsłonięte popiersie twórcy *Roty* wykonane przez Dawida Kurkowskiego, młodego rzeźbiarza z Torunia. Wybór miejsca pod pomnik nie był przypadkowy. To właśnie tutaj stała przed wojną sala zwana „Strzelnicą” i w niej odbył się koncert plebiscytowy. Trzeba mocno podkreślić, że jest to pierwszy w Sztumie pomnik upamiętniający ważne wydarzenie z historii naszego miasta przedstawiający jakąś postać. Do tej pory były to tablice lub pamiątkowe kamienie.

Przypomnieć też trzeba, że akurat w tym roku obchodzimy 100-lecie powstania *Roty*, nazywanej czasami drugim hymnem narodowym, i to jest już czwarta okoliczność podkreślająca niezwykłość koncertu. *Rotę* zaśpiewano po raz pierwszy 15 lipca 1910 roku podczas odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie ufundowanego przez pianistę i kompozytora Ignacego Paderewskiego, z okazji 500-lecia zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem. Chórem składającym się z 600 śpiewaków pochodzących z różnych zaborów dyrygował wtedy Feliks Nowowiejski pełniący funkcję dyrektora tamtejszego Towarzystwa Muzycznego.

W czasie uroczystości odsłonięcia pomnika w Sztumie okolicznościowe przemówienia wygłosili: Leszek Tabor, burmistrz Sztumu oraz Leszek Czarnobaj, wicemarszałek województwa pomorskiego. Amatorska orkiestra dęta ze Sztumskiego Centrum Kultury pod dyрекcją kapelmistrza Marka Piontka oprócz powszechnie znanej *Roty* zagrała słynnego marsza *Pod sztandarem pokoju*, za który Feliks Nowowiejski w 1898 roku w Londynie otrzymał pierwszą w swej karierze nagrodę i która pozwoliła mu na studia muzyczne w Berlinie. Ciekawostką jest, że nuty tego marsza zostały po wielu perypetiach sprowadzone do Sztumu z Poznania od Orkiestry Reprezentacyjnej Sił Powietrznych.



Popiersie Feliksa Nowowiejskiego odsłonięte w Sztumie (fot. Wacław Bielecki)

Kameralną, ładną rzeźbę poświęcił ksiądz dziekan Andrzej Starczewski, proboszcz kościoła św. Anny w Sztumie w którym odbył się koncert organowy. I to jest piąta niezwykła okoliczność, bowiem w powojennej historii Sztumu był to pierwszy prawdziwy koncert organowy.

Aby koncert doszedł do skutku trzeba było przygotować organy, a szczególnie miech, bardzo podziurawiony przez robaka, zwanego kołatką. To zadanie wykonał organista z kościoła w Czerninie pan Roman Itrich.

Trzeba tu napomknąć, że przy okazji koncertu udało się ustalić rok powstania organów oraz ich dyspozycję, czyli spisać głosy organowe, bowiem ich nazwy zostały całkowicie zatarte na części przełączników. Okazało się, że informacji na temat sztumskich organów trzeba było szukać w archiwum biskupim w Elblągu.

Kwerendy dokonała pani Danuta Thiel-Melerska biegle znająca język niemiecki i – to jest bardzo ważne – staroniemiecki. Dotarła ona do dokumentów z których wynika, że sztumskie organy były gotowe pod koniec 1900 roku, ale nie można było ich zamontować z uwagi na trwającą rozbudowę kościoła. Dokonał tego w roku 1901 organmistrz Eduard Wittek ze znanej firmy elbląskiej „Terletzki & Wittek” i wystawił rachunek na równe trzy tysiące marek niemieckich.

Sztumskie organy nie są organami koncertowymi. Mają tylko 17 głosów oraz dwie klawiatury ręczne (manual I i II) oraz klawiaturę nożną (pedał). Organ nie są stare, jak na ten rodzaj instrumentów. Mają jednak już około 110 lat i tzw. trakturę pneumatyczną. Znaczący to, że piszczałki organowe są uruchamiane przez klawisze otwierające zawory powietrza przechodzącego z miecha ołowianymi rurkami o średnicy 8 mm. Głosy są piękne, ale bardzo podobne, jednego rodzaju, wydawane przez tzw. piszczałki wargowe, czyli takie jak w flecie prostym (fujarcie). Nie ma tu żadnej piszczałki języczkowej, czyli takiej jak w harmonijce ustnej (organkach). Przed koncertem obawialiśmy się, czy uda się nich wykonać utwory organowe z różnych epok.

Pierwszym utworem wykonanym przez Bognę Nowowiejską na odnowionych organach była przesławna *Toccata* Bacha. Następnie mistrz Jan zgrał miniatury organowe swego ojca *Evelation* i *Marche solennele*. Bogna Nowowiejska wykonała znany przebieg muzyki klasycznej pt. *Tamburin* francuskiego kompozytora Rameau (w oryginale na klawesyn) i dwa *Preludia* Chopina z ciekawie dobranymi, delikatnymi głosami organowymi. Z kolei Jan Nowowiejski zagrał Preludium ojca oraz swoje dwa utwory, skomponowaną na wieść o katastrofie samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem, miniaturę *Droga do światła* oraz *Fantazję organową* na motywach znanej piosenki ... *Marsz, marsz Polonia*. Ostatnim utworem wykonywanym przez Bognę był *Final* z IV koncertu organowego Feliksa Nowowiejskiego zatytułowany *Rezurekcja w kościele ks. Salezjanów w Krakowie*. Koncert zakończył się zagranie przez Jana Nowowiejskiego hymnu *O Warmio moja miła* oraz odśpiewaniem przez wszystkich słuchaczy z towarzyszeniem organów trzech zwrotek *Roty*.

Był to pierwszy w historii Sztumu koncert organowy. Wyraźnie widać było różnicę w wykonawstwie pomiędzy sędziwym Janem i młodą Bogną. Dobrze, że twarze i ręce organistów można było obserwować na ekranie, dzięki zamontowanej na chórze kamerze. Sprawdziły się sztumskie organy. Okazało się, że mają ładny dźwięk, choć piszczałki, szczególnie w górnych rejestrach nie stroją zbyt dobrze. Koncertu słuchałem na chórze, więc głos organów na pewno był donośniejszy. Norbert Itrich organista z Santander w Hiszpanii (brat Romana), powiedział mi, że oboje wykonawcy „nie wycisnęli z organów wszystkich ich możliwości”. Nota bene proponuje on małą rozbudowę organów przez dodanie dwóch głosów języczkowych, np. trąbki i puzonu w miejsce jakichś dwóch bardzo podobnych, obecnych głosów.

Repertuar koncertu był urozmaicony, choć można było wybrać także inne utwory Feliksa Nowowiejskiego, na przykład trzecią część IX symfonii organowej z Bogurodzicą, czy jakieś bardziej żywe miniatury.

Koncertowi towarzyszyło otwarcie na zamku wystawy poświęconej 100-letniej rocznicy powstania „Roty”. Fotogramy, zatytułowane tak jak na Pomniku Grunwaldzkim w Krakowie „Praojcom na chwałę, rodakom na otuchę”, zostały wypożyczone z Towarzystwa im. Feliksa Nowowiejskiego w Poznaniu.

Mam nadzieję, że nie będzie to ostatni, duży koncert muzyki klasycznej w Sztumie. Myślę, że skoro już mamy pomnik tak wybitnego kompozytora polskiego, jakim był Feliks Nowowiejski, to dobrą tradycją staną się również koncerty, a majowa rocznica zawsze będzie dobrym ku temu pretekstem.

Wybrana bibliografia:

1. Jan Boehm: Feliks Nowowiejski 1877-1946. Zarys biograficzny. Olsztyn 1977.
2. Jan Boehm: Koncerty plebiscytowe Feliksa Nowowiejskiego w 1919 i 1920 roku. „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1969, nr 2.
3. Alfons Lemański i Feliks Nowowiejski, „Wiadomości Elbląskie” 1985, nr 17.
4. Feliks Nowowiejski. W setną rocznicę urodzin. Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna. Gdańsk 1978.
5. „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920. Biblioteka Ośrodka Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie.
6. Tadeusz Oracki: Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla od połowy XV w. do 1945 roku. Warszawa 1963.
7. Stefan Żeromski: Inter arma. Warszawa [1920]. Wydawnictwo J. Morkowicza.

Ks. Grzegorz Wąsowski

Przykazania? Bez zarzutu

Pamiętacie katechizmową wersję dziesięciu przykazań? Uczyliśmy się ich, szykując się do I Komunii Świętej. Chciałbym podzielić się kilkoma myślami na temat przykazań ale w świeżym świetle. Ludzie zezłoszczeni na Boga wytaczają ciężkie działa, zarzucając ograniczanie wolności poprzez nakazy i zakazy. Spójrzmy na dekalog inaczej – bez zarzutu. Jan Paweł II na temat Dekalogu wypowiedział się w encyklice „*Veritatis Splendor*”:

„Tylko Bóg może odpowiedzieć na pytanie o dobro, bo sam jest Dobrem. Ale Bóg już dał odpowiedź na to pytanie: uczynił to, gdy stworzył człowieka i gdy w swej mądrości i miłości nadał jego istnieniu cel, wpisując w jego serce prawo „prawo naturalne”. Dzięki niemu poznajemy, co należy czynić i czego należy unikać. Dar Dekalogu jest obietnicą i znakiem Nowego Przymierza, w którym prawo zostanie na nowo i ostatecznie zapisane w sercu człowieka, zastępując prawo grzechu, które to serce skaziło. Stwierdza w ten sposób istnienie ścisłej więzi między życiem wiecznym a przestrzeganiem Bożych przykazań. To właśnie przykazania wskazują człowiekowi drogę życia i prowadzą do niego.

Celem przykazań, jest ochrona dobra osoby, obrazu Bożego, poprzez zabezpieczenie jej dóbr. „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie” - to zasady moralne sformułowane jako zakazy. Normy negatywne szczególnie dobitnie wyrażają bezwarunkową konieczność ochrony życia ludzkiego, więzi osób w małżeństwie, własności prywatnej, uczciwości i dobrego imienia. Przykazania stanowią zatem podstawowy warunek miłości bliźniego, a jednocześnie jej sprawdzian. Są pierwszym, niezbędnym etapem drogi ku wolności, jej początkiem: „Pierwsza wolność - pisze św. Augustyn - polega na niepopelnianiu przestępstw (...) takich jak zabójstwo, cudzołóstwo, rozpusta, kradzież, oszustwo, świętokradztwo i tym podobne. Gdy człowiek zaczyna unikać tych przestępstw (a nie powinien ich popelniać żaden chrześcijanin), zaczyna podnosić wzrok ku wolności, ale jest to dopiero początek wolności, a nie doskonała wolność”

Mój zachwyt świeżością spojrzenia Jana Pawła II na treść przykazań zawoocował próbą wyjaśniania dekalogu jako pokazaniu możliwości, a nie jako katalogu zobowiązań. Są to sposoby działania, które łączą bliskość z Bogiem z możliwością czynienia dobrych rzeczy ludziom. Nurtuje tylko to „nie” „Nie zabijaj, nie cudzołóż...” Owe *nie* są jak tarcze, które chronią człowieka przed konsekwencjami czynienia zła. Przykazania chronią przed niszczącym osobo-

wość złem, ale nie ograniczają w rozwoju ku dobru. Zło zawsze niszczy, bez względu jaką da się mu nazwę. Przestrzeganie ich zatem to początek drogi z Bogiem i ludźmi a nie przeciwko nim. Jak to rozumiem już spieszę wyjaśnić:

1. Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną - przykazanie które chroni przed zagubieniem wiary, że Bóg jest. Brzmi dosłownie jak długa sentencja wyroku sądowego. Takie sformułowanie zawiera w sobie Boże ostrzeżenie przed konsekwencjami butnego porzucenia wiary, czy też niefrasobliwe jej zastąpienie czymś bądź. Człowiek musi wiedzieć, co wybiera. Zachowanie zaś świadomości, że Bóg jest, stanowi podstawę, grunt, dzięki któremu życie codzienne jest w harmonii z potrzebami głębszymi człowieka, z jego tożsamością.

2. Nie będziesz brał Imienia Pana Boga swego do czczych rzeczy. To drugi krok. W starożytności mówiono *Biorę Imię Boga* mając na myśli modlitwę. To przykazanie zawiera zatem nie tylko nakaz szacunku dla Imienia Bożego ale i zwracanie się do Boga słowem. Jeśli nosimy w sobie świadomość, że Bóg jest, mamy potrzebę modlitwy. To przykazanie chroni przed ztratą świata kontaktu z Bogiem przez ludzkie słowa, prawdziwe nie czcze, czyli daje pole do modlitwy, najbardziej rozwijającej rzeczywistości wewnętrznej.

3. Pamiętaj, abyś dzień Święty święcił. Jedyne przykazanie o iście ojcowskim brzmieniu – pamiętaj. Tu wybór człowieka i jego staranie o świętowanie dnia Pańskiego jest Bożą prośbą. Dzień poświęcony Panu to owoc i świadomości obecności Boga i modlitwy. Dzień Pański dla człowieka wierzącego wynika z potrzeby spotkania z Nim i jest to najbardziej pełna potrzeba chwały Bożej w życiu.

4. Czcij Ojca swego i matkę swoją, abyś długo żył na ziemi, którą Ci daje Pan, Bóg Twój. Z rodzicami przebywamy najdłużej. Są od początku autorytetem i oparciem. Jeśli przyjmujemy ich wartości jako swoje, ich staranie w dobrej wierze ze względu na Boga i sposób postępowania, którego nas uczyli, spełnia się sens życia rodziców, my zaś zyskujemy tożsamość. Ten długotrwały proces kształtowania człowieka jest darem od ojca i matki do kresu naszych dni. Przejęcie zatem tożsamości – człowieczeństwa od nich wyraża słowo *czcij*.

Następne przykazania nie mają żadnych dodatkowych słów:

Zło uczynione zawsze niszczy, nawet wtedy, gdy zmieni nazwę. –przykazania nazywają rzeczy prosto, bo od człowieka zależy, co uczyni. Tu widać najbardziej pole wolności działania człowieka, jego wybór:

5. Nie zabijaj.

6. Nie cudzołóż.

7. Nie kradnij.

I tyle. Żadnego komentarza, nic. Mamy wybrać. Co zatem znaczy te *nie*? Nie trać człowieka przez grzech. Twój albo jego.

8. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu jako świadek. To przykazanie namacalnie przedstawia siłę słowa, którego oszczercza ranga jest równie niszczycielska, jak poprzednie grzechy.

9 - 10. Nie pożądaj żony,...ani żadnej rzeczy – te dwa przykazania dotyczą takiego małego świata człowieka, tego, co uważa za swoje, o co się troszczy, co daje mu spełnienie – rodzina, dom, własność. W starożytności funkcjonowało piękne pojęcie *dom*, które w sobie zawierało owe wartości. Pożądanie to zamiar zawładnięcia, odebrania człowiekowi jego świata. Grzech zmienia sposób myślenia, odbiera tożsamość, przykazanie IX i X ma chronić przed samodegradacją dokonaną w myśleniu i odebraniu człowiekowi jego świata.

Jesteśmy istotami, które mogą wybierać. Bóg dał nam przykazania nie po to byśmy wyrzucali mu w Oblicze że nas ogranicza, ale byśmy szli i rozwijali się. Przykazania? Bez zarzutu.

PROWINCJA

TWÓJ KWARTALNIK

NA

DOLNYM POWIŚLU I ŻUŁAWACH

Andrzej Kasperek

Żuławy- krajobraz dla konesera

Marek Opitz, Piotr Sosnowski, Delta Wisły – Krajobraz dla konesera Nowy Dwór Gdański 2009 r. Opracowanie części historycznej: Artur Dekkański i Grzegorz Gola; zdjęcia archiwalne z kolekcji Szymona Kleina.

Marek Opitz to w Nowym Dworze Gdańskim człowiek instytucja – właściciel zakładu fotograficznego, który musi odwiedzić każdy, kto chce mieć nowy paszport, dowód osobisty, zdjęcie dziecka z pierwszej komunii czy foto z wesela. To współtwórca Stowarzyszenia Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego Klub Nowodworski i Muzeum Żuławskiego, obrońca czystości Tugi, organizujący coroczną akcję sprzątania rzeki, badacz historii Żuław (szczególnie domów podcieniowych i budowli gotyckich). Zapewne nie wymieniał wszystkich obszarów jego aktywności, ale często trudno za nim nadążyć.

Żuławy to wielka miłość Marka, który dokumentuje ją przy pomocy aparatu fotograficznego. Dzięki jego pasji i talentom możemy podziwiać piękno tej krainy w dwóch albumach. W 1998 roku ukazała się książka „Żuławy – czas przełomu” a pod koniec 2009 „Delta Wisły – krajobraz dla konesera”. Współautorem drugiej publikacji jest Piotr Sosnowski. Obie książki mają podobny układ edytorski: są poprzedzone bogato ilustrowanym wstępem historycznym, który wyjaśnia bogate i skomplikowane losy tego miejsca, egzotycznego i ciągle mało znanego. Pewnie to sprawiło, że niektórzy czytelnicy uznali, że nowa edycja jest tylko lekko poprawioną powtórką dawnego wydania. Pozornie tak – wstęp został tylko trochę zmieniony. Ale przecież wiedza na temat tego regionu nie wzrosła w ciągu ostatnich dziesięciu lat diametralnie. Za to jeśli chodzi o materiał ilustracyjny to zmienił się on mocno – odszukano wiele starych zdjęć, pocztówek, rycin i map. Autor stał przed trudnym zadaniem, co zostawić, co dodać nowego? Miejsca jest mało, koszty rosną... Może należało zmniejszyć format niektórych ilustracji (tych, którym by to nie zaszkodziło) i „upchnąć” ich więcej?

Powtórzono w obecnym wydaniu kilka starych fotografii. I tu pewnie wydawca miał nowy dylemat – zbudować książkę z zupełnie nowych zdjęć czy niektóre odświeżyć? Przecież można zakładać, że album kupią czytelnicy nie znający starego, ale też nie mogła to być edycja tylko wzbogacona o parę nowych fotogramów. Przeważają jednak nowe zdjęcia, mimo tego że kilka starych zachowano. No bo jak nie opublikować po raz kolejny pięknego zdjęcia z okładki starego albumu – pokrytych szadzią rosochatych wierzb i zamrażniętej błotnistej drogi? To już ikona żuławska!

Trudno mi pisać obiektywnie o tym albumie, za bardzo jestem emocjonalnie związany z tym „krajobrazem dla konesera”. Bo jest to rzeczywiście pejzaż, który wymaga kontemplacji i zastanowienia, który nie dociera do odbiorcy od razu, nie wywołuje zachwyty od pierwszego wejrzenia. To pewnie sprawia, że jak pisał lata temu Paweł Huelle: „Kraina ta nie miała szczęścia do wybitnych malarzy i poetów, jej pozorna monotonia nie przyciąga turystów przemykających tędy nad morze, a jej historia – warstwowa niczym palimpsest – znana jest raczej wąskiemu gronu specjalistów i lokalnych entuzjastów.” Chętnie cytuje się Czesława Miłosza, który po wojnie trafił w te zalane wodą strony szukając matki. Po latach wspomnienie tego pobytu pojawi się w jego wierszach Żuławy („W ciemnozielony ogród niechaj myślą zmieni / Krainę płaską wziętą z wody...”) i Grób matki: („Jakże huczy w te jesienne noce / Morze u ujścia Wisły. Grzmot napęlnia/ Płaską równinę pod rzędami wierzb...”). Ale kto poza nim poświęcił tej ziemi wiersze tej klasy?

Marek Opitz z uporem stara się, aby wyciągnąć deltę Wisły z kulturowego niebytu i pokazać Polakom, że warto zatrzymać się tu na dłuższą chwilę i oddać smakowaniu krajobrazu, aby docenić jego urok i subtelny wdzięk. Odnajdziemy na tych zdjęciach: pocięte rowami pola i łąki, resztki wiatraków (było ich ponad sto) i chylące się ku ruinie domy podcieniowe, gotyckie kościoły i mennonickie cmentarze, pompy odwadniające i wały przeciwpowodziowe, bursztyniarzy i rybaków, rolników i dojarki... Dominuje nastój melancholijny, ale takie są te strony...

Ta chęć, aby pokazać dużo, jak najwięcej z osobliwości regionalnych, rzeczy ważnych i ciekawych czasami nie wychodzi albumowi na zdrowie. Obok zdjęć świetnych, kapitalnie oddających klimat miejsca zdarzają się inne, jakby z prospektu turystycznego. A może tak miało być? Nie chcę się czepiać. To wspaniały zbiór zdjęć mojej małej ojczyzny. No cóż, przecież uprzedzałem, że nie będę obiektywny. Kto chętny, ten znajdzie w sklepach internetowych możliwość kupienia książki „Delta Wisły”. Zachęcam gorąco!

Leszek Sarnowski

Zabytkowa gmina Miłoradz

Ks. Andrzej Starczewski, Gotyckie zabytki sakralne na terenie gminy Miłoradz na Żuławach, Sztum 2009.

„Pochylił się i położył ciężką, spracowaną dłoń na tym bałaganie. Wyglądał, wyrównywał, głaskał tę ziemię z uśmiechem tajemniczym na twarzy, ale i z zadumą... Powstały z tego Żuławy. Kraina płaska, wygładzona ręką boską, z tajemniczymi mgłami, pogodnymi zachodami słońca, z zadumaniem wśród wierzb płaczących”. Tyle legenda, choć rzeczywistość mniej pieszczotliwie z tym depresyjnym regionem się obchodziła i obchodzi. Ziemia tu jednak urodzajna nie tylko w zboża wszelakie, ale i w zabytki sztuki architektonicznej. W cieniu malborskiej warowni rycerzy zakonnych istnieje bowiem wiele unikatowych obiektów zabytkowych, do których jednak najczęściej trafi albo bardzo zdeterminowany, albo przypadkowy turysta. Wynika to w głównej mierze z niewiedzy, ale też z wieloletnich zaległości promocyjnych, choć wiele gmin i powiatów próbuje tę lukę od kilku lat wypełnić.

Gmina Miłoradz należy do jednych z najmniejszych gmin powiatu malborskiego. Pod względem ilości zabytków mamy do czynienia z imponującym urodzajem. Ujmując rzecz statystycznie można by powiedzieć, że co cztery kilometry zabytek i w dodatku jeden starszy i bogatszy od drugiego. Zabytkami sakralnymi postanowił zająć się, przy finansowym wsparciu władz gminy, Ks. Andrzej Starczewski, do sierpnia 2007 roku proboszcz parafii pod wezwaniem Św. Michała Archanioła w Miłoradzu i sanktuarium Błogosławionej Doroty w Mątowach Wielkich. Któż zatem mógłby lepiej opowiedzieć o bogactwie sakralnych zabytków w swojej gminie, jak nie proboszcz właśnie, sam żuławiak ze Starego Pola, a na dodatek delegat biskupa elbląskiego do spraw konserwacji zabytków kościelnych na terenie diecezji. Nie bez znaczenia jest też fakt, że autor studiował zabytkoznawstwo i konserwatorstwo na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Nie jest to jednak książka typowo naukowa, bo mimo bogatego aparatu badawczego, napisana jest zrozumiałym i przystępnym językiem, a architektoniczno - liturgiczna terminologia na każdym kroku wyjaśniana, nie burząc zwartości wykładu.

Bohaterami opowieści są kościoły i kapliczki w Gnojewie, Miłoradzu, Kończewicach, Mątowach Wielkich, Pogorzalej Wsi, Starej Kościelnicy i Bystrzu. W odniesieniu do wszystkich niemal obiektów można by, bez przesady, użyć sformułowania „unikatowy nie tylko na Żuławach”. Większość, mimo licznych przebudowań, pamięta czasy krzyżackich fundatorów. Kościół pod wezwaniem Św. Szymona i Judy Tadeusza w Gnojewie, przy drodze z Tczewa do Malborka, powstały przed 1332 rokiem, jest jednym z najstarszych kościołów z zachowaną konstrukcją szkieletową i malowidłami na stropie o tematyce biblijnej. Kościół jest niestety bardzo poważnie zdewastowany, po wojnie był tu magazyn nawozów.

Dopiero w ostatnich latach udało się obiekt zabezpieczyć i jest szansa, że znajdą się europejskie środki na jego uratowanie. Tak jak nie tak dawno udało się uratować gotycką kapliczkę przydrożną z XV wieku, stojącą kilkadziesiąt metrów dalej.

Atrakcyjnym elementem żuławskiego pejzażu jest z kolei czynny kościół Matki Bożej Wniebowzięcia w Kończewicach z XIV wieku, z charakterystyczną wieżą krytą drewnianym gontem i XVI-wiecznym dzwonem, wykonanym przez jednego z mistrzów sztuki ludwisarskiej z Niderlandów. Na terenie tej parafii znajduje się również inny oryginalny zabytek czyli ossarium we wsi Bystrze. To gotycka kaplica cmentarna, w której składano kości poległych w wojnie trzynastoletniej. To jedyny tego typu zabytek, z gotycką polichromią wewnątrz, na ziemiach polskich.

Kościół Św. Michała Archaniola w Miłoradzu również może poszczycić się średnowiecznym rodowodem, z zachowanymi fragmentami gotyckich dekoracji malarskich, które zostały poddane konserwacji z inicjatywy autora książki- ówczesnego proboszcza, podobnie jak inne zabytki świątyni - gotycki krucyfiks, barokowy ołtarz, ambona. Zaslugą ks. Starczewskiego jest też naprawa i konserwacja drewnianego stropu oraz więźby dachowej. Ciekawostką rzadko spotykaną nie tylko na Żuławach jest fakt, że połowę dachu sfinansował sam proboszcz Andrzej Starczewski. Kiedy przebywał na wakacjach w Niemczech jego samochód został uderzony przez inne auto. Ubezpieczenie powypadkowe, o czym nawet nie wszyscy parafianie wiedzą, zostało przeznaczone na remont dachu kościoła w Miłoradzu. Następne inwestycje konserwatorskie były już w znacznej części finansowane ze środków europejskich.

Kościół pod wezwaniem śś. Piotra i Pawła w Mątowach Wielkich z XIV wieku to z kolei ważne miejsce ze względu na to, że właśnie tutaj pierwsze sakramenty przyjmowała Błogosławiona Dorota z Mątów. Zmarła w opinii świętości, zamurowana na własną prośbę w katedrze w Kwidzynie. W mątowskim kościele zachowało się wiele cennych zabytków sztuki gotyckiej i barokowej. Na uwagę zasługuje też kościół Św. Jerzego w Starej Kościelnicy, choćby ze względu na gotycką polichromię drewnianego stropu czy również gotycką chrzcielnicę.

Miejsce wydania książki - Sztum, nie jest przypadkowe. Ks. Andrzej Starczewski jest bowiem od sierpnia 2007 roku proboszczem parafii Św. Anny w Sztumie i dziekanem sztumskiego dekanatu. A to może oznaczać tylko jedno, że być może niebawem i o sztumskich zabytkach pojawi się wreszcie równie ciekawa książka, bo odnawianie tychże zabytków już się rozpoczęło.

Książka ma szansę przetrzeć żuławskie szlaki dla turystów w gminie Miłoradz, bo warto. To nie jedyna okazja na lepszą promocję Żuław i na to że, jeśli dotrą tu turyści, nie spotka ich zdziwienie czy obojętność miejscowych, ale życzliwość, otwartość i fantazja. Bo oto powstał oryginalny projekt pod nazwą „Wioska Odkrywców Błotnych Żuław”. To projekt turystycznej aktywizacji gminy Miłoradz realizowany pod egidą Pani Anny Wierzby, a co ciekawe realizowany przez bezrobotnych. Pomysłodawcy chcą między innymi zachęcić turystów do aktywnego wypoczynku w ich gminie przy pomocy atrakcyjnych gier terenowych. Fantazji im nie brakuje. A jak turyści przyjadą to i zabytki sakralne nie umkną ich uwadze.

Wacław Bielecki

W środku Żuław - Nowy Staw

Wiesław Jedliński, Roman Klofczyński: Dzieje Nowego Stawu, Nowy Staw 2010, Wydawca Urząd Miejski w Nowym Stawie, Drukarnia W&P Malbork, Nakład 1000 egzemplarzy, stron 514, cena 60 zł.

W samym środku Żuław Wiślanych rozciągających się od Leniwki do Noga-tu leży małe miasteczko Nowy Staw położone nad rzeką Świętą (niegdyś trzecią odnogą Wisły wpływającą do Bałtyku). Na początku 2010 roku ukazała się tam książka opisująca dzieje tej miejscowości po II wojnie światowej. Jej autorami są dwaj poloniści, zmarły niedawno Wiesław Jedliński, który nie doczekał się wydania książki oraz Roman Klofczyński.

Prezentowana książka jest w zasadzie obszernym albumem zajmującym się dziejami miasteczka należącego w okresie międzywojennym do Wolnego Miasta Gdańska. W liczącej ponad 500 stron publikacji znajdziemy kilkanaście rozdziałów w układzie „branżowym”. Oprócz historii, szczególnie powojennej, czytelnik może dowiedzieć się jak w Nowym Stawie funkcjonował handel i usługi, komunikacja i łączność, słynna kolejka wąskotorowa, cukrownia, słodownia, wodociągi, służba zdrowia, ochotnicza straż pożarna, parafia rzymskokatolicka i kościoły, przedszkola i szkoły, władze miasta, dom kultury, sport oraz zespół pieśni i tańca „Żuławy”. Informacje o tych i innych działach życia i instytucjach miejskich są ilustrowane licznymi fotografiami. Jest ich około 150.

Na końcu tej części książki dołączone są bardzo ciekawe wspomnienia Edwarda Cyrklaffa, syna pierwszego powojennego wójta Nytychu (tak brzmiała spolszczona nazwa Nowego Stawu zaraz po zakończeniu wojny - od niemieckiego Neuteich). Wspomnienia te w barwny sposób przybliżają czytelnikowi dzieje Nowego Stawu tuż po wejściu do miasteczka w marcu 1945 roku wojsk sowieckich. Wiele w nich interesujących wydarzeń z początków przejścia władzy przez polską administrację, w tym ojca pamiętnikarza - pierwszego wójta Nowego Stawu, odwołanego ze stanowiska przez komunistyczną władzę już w październiku 1945 roku.

Drugą część publikacji zatytułowaną „Miasto w obiektywie”, stanowi album fotograficzny zawierający 103 kolorowe i 20 czarno-białe zdjęcia. To bardzo cenna część książki, bo jak wiadomo, jedno dobre zdjęcie powie ci więcej niż tysiąc słów... Żałować trzeba, że nie znajdzie się wśród nich jednego ujęcia. Otóż, kiedy jedzie się do Nowego Stawu samochodem od strony Malborka, tuż za Dębiną naszym oczom ukazuje się przepiękna panorama miasta: kominy cukrowni i słodowni, przysadzista bryła gotyckiego kościoła św. Mateusza i smukła wieża stojącego na rynku kościoła ewangelickiego. Ta ostatnia budowla jest

najbardziej charakterystyczną ikoną miasteczka. Ośmioboczna wieża zbudowana jest w kształcie ołówka z niezwyklej, żółtej cegły. Wydaje się dziwne, że takie panoramiczne zdjęcie nie zostało umieszczone w publikacji.

Na końcu książki umieszczono zwięzłe kalendarium miasta od 1316 roku, indeks nazwisk oraz bibliografię, a nawet wykaz gazet i czasopism – m.in. „Wiadomości Elbląskie”, „Gazeta Malborska”, „Gazeta Żuławska”, z zaznaczeniem numerów w których opublikowano artykuły o Nowym Stawie. Szkoda, że nie ma tu nazwisk autorów i tytułów publikacji.

W tekście monografii autorzy przywołują wiele nazwisk osób zasłużonych dla miasta lub powszechnie znanych. Niewątpliwie do takich należy urodzony w Nowym Stawie biskup pomocniczy archidiecezji gdańskiej Ryszard Kasyna. Jeszcze bardziej znanym nowostawianinem jest polityk Tadeusz Cymański, który w latach 1990 – 1998 był burmistrzem Malborka, potem posłem na sejm, a obecnie działa w Brukseli jako europoseł.

Książka nie ukazała by się bez zrozumienia i finansowego wsparcia przez Radę Miasta i burmistrza Nowego Stawu. Chwała im za to.

Opisywane „Dzieje Nowego Stawu” są dziełem bardzo ciekawym i potrzebnym. Polecam je do lektury nie tylko żuławiakom, ale i miłośnikom historii regionalnej, szczególnie młodzieży. Powiem więcej, bierze mnie zwykła zazdrość, że podobnej publikacji nie doczekał się Sztum, miasteczko w którym aż roi się od historyków publikujących różne prace przyczynkarskie, a które nie zdobyło się na wydanie poważnej monografii. Oczywiście, nie liczę tu napisanej ponad czterdzieści lat temu książki W. Odyńca, R. Wapińskiego i K. Podoskiego p.t. „Ziemia Sztumska” z 1968 roku, budzącej delikatnie mówiąc, liczne zastrzeżenia. Powojenne dzieje Sztumu ciągle czekają na swojego dziejopisarza. Przykład publikacji o Nowym Stawie, a także wydane wcześniej monografie Malborka, Kwidzyna, Dzierzgonia, pokazują, że taką książkę można napisać i wydać w dwa-trzy lata.

Paweł Głogowski

Indianie po sztumsku

Leszek Michalik, Encyklopedia plemion Indian Ameryki Północnej, Wydawnictwo Miniatura, Kraków, 2009.

Leszek Michalik, znany indianista, pisarz i podróżnik, od urodzenia mieszka w Sztumie. Od dziecka zafascynowany Indianami, materiały do „Encyklopedii” zbierał przez całe swoje dorosłe życie. Jego indiański księgozbiór obejmuje kilka tysięcy pozycji, chyba we wszystkich głównych językach europejskich. Posiada także jeden z największych w kraju zbiorów tradycyjnego rękodziela indiańskiego. Wielokrotnie podróżował do obu Ameryk, w 1979 został członkiem kanadyjskiego Stowarzyszenia Metysów i Indian Bez Statusu z prowincji Saskatchewan. W 2003 został przyjęty do plemienia Kri z prowincji Alberta. Dotychczas w dorobku sztumskiego pisarza ukazały się: antologia dawnej i współczesnej literatury indiańskiej „Tylko ziemia przetrwa” (1992), antologia poezji indiańskiej „Święty Krąg” (1993), samouczek indiańskiego języka migowego Język gestów Indian Ameryki Północnej (1996), ilustrowany przegląd tradycyjnego rękodziela Indian Ameryki Północnej i Łacińskiej - Indianie obu Ameryk (1997), Wojownicy gwiazdzystych tarcz. Kultura i duchowość Indian Ameryki Północnej (1999, 2006), Ludzie i totemy. Astrologia Indian Ameryki Północnej (2004), wspólnie z synem Piotrem: Szept sosnowych igieł. Mądrości Indian Ameryki Północnej (2006) oraz Indiański gawędziarz. Legendy, baśnie i uzdrawiające opowieści Indian Ameryki Północnej (2007). W 1990 otrzymał nagrodę wojewody elbląskiego w dziedzinie upowszechniania kultury – za popularyzację wiedzy na temat kultury Indian, a w 1996 wyróżnienie wojewody za promowanie ekologii.

Encyklopedia plemion Indian Ameryki Północnej to kolejna pozycja w bogatym dorobku Leszka Michalika. Jej pisanie rozpoczął w 2006 roku podczas kolejnego pobytu w USA. Ma ona za zadanie wypełnić lukę w polskim piśmiennictwie związaną z tematyką indiańską. Jest pierwszą i jedyną, jak na razie, tego typu pozycją, nie tylko w naszym kraju, ale także w całej Europie! Podobne ukazały się dotychczas jedynie w USA.

Na ponad 335 stronach autor zawarł zwięzłe z konieczności informacje o ok. 400 najważniejszych plemionach indiańskich, od dobrze znanych przeciętnemu czytelnikowi Apaczów, Irokezów, czy Siuksów po praktycznie zupełnie nieznanymi nawet specjalistom Acolapissa czy plemię Woccon. Encyklopedyczne hasła, ułożone w porządku alfabetycznym, zostały pomyślane jako swego rodzaju wprowadzenie w umiejscowienie geograficzne, charakterystykę kulturową, obyczajową i religijną oraz zarys historii danego plemienia, często po dzień dzisiejszy. Dodatkowo tekst wzbogacają liczne fotografie. Na końcu książki czytelnik

znajdzie szczegółowy skorowidz wszystkich pojawiających się w tekście nazw, co jest ważne o tyle, że wiele plemion dzieliło się na mnóstwo mniejszych grup lub nosiło kilka różnych nazw na przestrzeni wieków. Problematykę zawilego nazewnictwa wyjaśnia zresztą szczegółowo sam autor w przedmowie do encyklopedii, we wstępie zaś charakteryzuje ogół obszarów kulturowych Ameryki Północnej, występujące w nich elementy tradycyjnej kultury: język, wierzenia, organizacje społeczne, rodzaje domostw, ubiory, broń czy inne aspekty kultury materialnej, a także mnóstwo ciekawostek.

Na przykład, kto z czytelników wie, że znane z brutalności i „krwiożerczości” plemię Irokezów tworzyło w XVIII wieku coś na kształt państwa, szanowanego przez białych kolonistów (którzy zresztą nazywali często samych Irokezów „Rzymianami Puszczy”), a państwem tym rządziły... kobiety? Na czele każdego klanu stała bowiem „matka klanowa” i to przed nią odpowiadali potulnie wodzowie i szamani plemienia! Benjamin Franklin pisząc projekt słynnej amerykańskiej konstytucji wzorował się zresztą na niektórych prawach Ligi Irokezów. Z kolei Europejczycy zawdzięczają Irokezom uprawę kukurydzy, fasoli i dyni – tzw. Trzech Sióstr irokeskich. Samo plemię przetrwało do dziś w kilku rezerwach w USA czy w Kanadzie dając się współcześnie poznać m.in. jako doskonali robotnicy wysokościowi przy budowie „drapaczy chmur” – członkowie tego plemienia zupełnie nie odczuwają tzw. „lęku wysokości”! Podobne informacje napotkamy także w całej książce.

Leszek Sarnowski

Z Kresów na Dolne Powiśle

Stanisław Bogdanowicz, I nie powrócili do swych gniazd, Wydawnictwo Exter, Gdańsk 2009.

Stanisław Bogdanowicz urodził się w 1928 roku w zaścianku Piłowojcie na Wileńszczyźnie. Po wkroczeniu na Litwę wojsk sowieckich uniknął aresztowania, bo się ukrywał. W 1942 roku, jako czternastolatek przeżywał pierwsze doświadczenia konspiracyjno - wojskowe, został łącznikiem partyzanckich oddziałów Armii Krajowej, między innymi oddziałów słynnego wówczas na Litwie, a po wojnie również na Pomorzu, majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Bogdanowicz ukrywał się wówczas i przed Niemcami i partyzantką sowiecką, która wrogo nastawiona była do polskiej społeczności na Litwie. Wyzwolenie Litwy przez Armię Czerwoną w 1944 roku nie przyniosło jednak spodziewanej wolności, a kolejną okupację. Po ujawnieniu się, w styczniu 1945 roku, wraz z innymi młodymi Polakami, zostaje wywieziony do formującego się na ziemiach polskich pod Lublinem wojska. Zakwaterowano ich na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Majdanku, w którym czuć jeszcze było swąd nie tak dawno palonych ciał w krematoriach, choć w wykonaniu innych okupantów. Miejsce hitlerowskich strażników zajęli sowieccy, a druty kolczaste nadal pod prądem, pokazywały w jakiej rzeczywistości znaleźli się ci którzy wyzwalać mieli własną Ojczyznę. Dlatego Stanisław Bogdanowicz, wraz z innymi kolegami ucieka z obozu i po wielu tygodniach wędrówki, trafia do jednego z oddziałów AK w okolicach Chełma Lubelskiego. I tam, już pod pseudonimem „Szpak” jako podkomendnym majora Konstantego Piotrowskiego „Zagłoby” walczył z oddziałami NKWD, UB i KBW.

Nie trwało to długo, gdyż w sierpniu 1945 roku na rozkaz rządu londyńskiego oddział zostaje rozwiązany, a większość żołnierzy, wierząc zapewnieniom rządu lubelskiego, że nic złego ich nie spotka, ujawnia się. Wolność jednak nie trwała długo, bo w grudniu Bogdanowicz zostaje aresztowany i cudem unika rozstrzelania z rąk rządnych krwi UB-owców. Oskarżony o nielegalne posiadanie broni i kontakt z podziemiem zostaje skazany na pięć lat więzienia. Wyrok odsiadytuje najpierw w Lublinie, a później w Sieradzu. Na mocy amnestii, po dwóch i pół roku odsiadki, wychodzi na wolność. Wtedy jako repatriant trafia do Starego Pola pod opiekę dawnego kolegi z partyzantki. Radość był jednak krótka, bo po wcieleniu do wojska zostaje ponownie aresztowany w 1952 roku. Za rzekomą przynależność do nielegalnej organizacji, która miała przejąć władzę w wojsku i za szpiegostwo na rzecz państw imperialistycznych trafia ponownie do więzie-

nia, tym razem z wyrokiem- 10 lat. Najpierw więzienie w Bydgoszczy, Koronowie i w połowie 1953 roku skierowany został do obozu pracy przymusowej dla więźniów w Piechcinie. Pracował w kamieniołomach w Wapienniu.

I tu pozwolę sobie na wątek osobisty, bo słychać smutny chichot historii, gdyż kilka lat wcześniej, choć pod niemiecką okupacją, w tych samych kamieniołomach wapienne bloki, tylko pod nadzorem hitlerowskich strażników, kruszył mój dziadek Franciszek Miliński. Dziadek mój przeżył, choć już po wojnie za wyborczy bojkot na kilka kolejnych miesięcy trafił do piwnicznych lochów UB. Przeżył też Stanisław Bogdanowicz. W 1957 roku, na fali „odwilży”, został uniewinniony i zrehabilitowany. Wrócił do Starego Pola, a później do Starego Targu. Kiedy przebywał w więzieniu rząd emigracyjny w Londynie w 1948 roku odznaczył go Medalem Wojskowym. Pełna, choć z pewnymi ograniczeniami, wolność na którą czekał przyszła dopiero w 1989 roku. I wtedy właśnie, kiedy tworzyliśmy Komitet Obywatelski „Solidarność” na ziemi sztumskiej, poznałem Pana Stanisława. Stał się aktywnym członkiem ruchu, który chciał zmieniać polską rzeczywistość. Nie mogło go tam zabraknąć i dla wielu z nas był prawdziwym symbolem niezłomności, owego herbertowskiego „idź wyprostowany wśród tych co na kolanach”.

W swej książce Stanisław Bogdanowicz wspomina, że siłą, która pozwoliła mu przetrwać były wycieczki w wyobraźni do ukochanej Wileńszczyzny z lat młodości, a przede wszystkim wiara, szczególnie towarzyszące mu wersety ze Świętego Mateusza: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie”. O takich losach zapewne myślał Zbigniew Herbert w Przesłaniu Pan Cogito pisząc - „ocalałeś nie po to, aby żyć, masz mało czasu trzeba dać świadectwo”. To świadectwo przetrwania ludzi i przetrwania takich wartości jak godność, honor, wierność, patriotyzm, które wtedy nie były pustym hasłem na sztandarach czy w rotach przysięgi.

Książka Stanisława Bogdanowicza to jeden z przykładów polskich, zagałmianych losów czasu, na szczęście minionego. To także ważny element naszej lokalnej tożsamości, składającej się z wielu takich historii, która w tym przypadku, poza wykorzenieniem z rodzinnej ziemi, ma pozytywny finał, bo bohater - autor przeżył czasy pogardy. Tacy ludzie właśnie, choć niestety jest ich coraz mniej, tworzą ten magiczny geniusz miejsca, do którego, trawestując tytuł książki Mieczysława Abramowicza, „każdy przyniósł, co miał najlepszego”.

Marek Stokowski

PROWINCJONALIA

czyli

Kronika Życia terenowego

Szanowni Państwo!

W związku z wypowiedziami trębacza ratuszowego z Nowego Stawu, który z uporem twierdzi, że życie – takie prawdziwe – kwitnie wyłącznie w stolicy, a na prowincji panuje martwota, postanowiliśmy prowadzić stałą kronikę Życia terenowego nad dolną Wisłą.

Być może trębacz kiedyś zmądrzeje. Może przestanie wrzeszczeć przez okno i dręczyć ludzi.

Redakcja

Życie społeczno-polityczne

Wspaniała wiadomość z powiatu malborskiego! Już trzeci rok z rzędu nie wzrasta tam odsetek pisarzy, malarzy, muzyków i innych – w przeliczeniu na 10.000 mieszkańców. Władze powiatu oświadczyły, że jest to efekt długofalowej akcji przeciwdziałania patologiom społecznym. Istotną rolę odgrywa też kampania na rzecz aktywizacji zawodowej marginesu. Z darmożjadami walczy również poczta. Będą nagrody i odznaczenia.

Życie osobiste i towarzyskie

Przewiduje się, że po spotkaniu z kolegami w lokalu z danciem w Gardai, p. Adam Misiuk nie trafi do wsi Zawada, gdzie jest zameldowany na stałe. A jak już trafi, to pewnie nie znajdzie swojej chałupy. A jak ją znajdzie, to raczej nie zmaca drzwi od podwórka. A jeżeli jakimś cudem zmaca, to nie wsadzi klucza w dziurkę. A jeżeli nawet wsadzi, to i tak przedwcześnie zaśnie w trakcie przekręcania klucza w zamku. A jak zaśnie tak na dworze, to niedobrze. No więc po co Adam Misiuk ma się szarpać, szukać w polach wsi, chałupy, drzwi i klucza? Niech już lepiej pozostanie tam, gdzie konsumował. Albo całkiem niedaleko. Tak radzimy, ale Misiuk robi tak, jak zechce. Jest w końcu dorosły. Ma już dowód osobisty i niebieski motorower. Już uregulował swój stosunek do służby wojskowej i może się żenić. Naturalnie nie od razu, nie w przyszłym tygodniu. Najpierw musi znaleźć pannę. Z tym że teraz nie tak łatwo. Ale jak ją znajdzie, to powiemy.

Życie wojskowe

Z okazji wizyty w Polsce generała Grahama Robertsa, szefa sztabu generalnego wschodniej flanki wojsk NATO, na polach za wsią Barcice przeprowadzono manewry piechoty chłopskiej i jazdy szlacheckiej. Oddziały pospolitego ruszenia prezentowały szyk w klin i w płot, szczepianie wozów taborowych, zawracanie koni w pędzie, ucinanie tasakiem jedwabnego kutasa, zwroty i przysiady, a zagon kuszników popisowywał się strzelaniem do kuropatw. Jak donoszą źródła zbliżone do Wojska Polskiego, honorowy gość manewrów stał całkiem bez ruchu, pod wielkim wrażeniem chyżości i siły chorągwi rycerskich i chłopstwa. Fantastycznej atmosfery ćwiczeń nie był w stanie zmącić niewielki incydent, kiedy to – przy okazywaniu broni – starszy kosynier Ratajczak skaleczył niechcący Roberta w pachwinę. Następne manewry zaplanowano na jesień, kiedy w lasach będzie więcej zwierza.

Życie techniczne

W lesie za Karpinami chłopcy z klas młodszych miejscowej szkoły elementarnej znaleźli czołg T-54 z pełnym wyposażeniem w załogę. Czołg utknął w jamie borsuka i zasnął. W poszukiwaniu nabojów, które by można wrzucać do ognisk, chłopcy rozmontowali wieżyczkę, człon zasadniczy, podwozie i układ jezdny. Nie odnaleźli tego, co chcieli, ale poznali budowę sprzętu. Natychmiast wyszli z propozycjami szeregu daleko idących ulepszeń. Fachowe rozmowy z chłopcami objęto klauzulą „Tajne”. Proszę nie dzwonić, nie pytać. Koniec.

Życie medyczne

Szczepienia w Waplewie. W związku ze spodziewaną epidemią motylicy roznoszonej przez cytrynki, a także ze względu na zwiększającą się liczbę pogryzień dzieci przez baki i baków przez dzieci, Sanepid zainicjował akcję szczepień ochronnych dla dziatwy szkolnej i przedszkolaków. Stare chłopcy i baby mogą się oganiać od tego paskudztwa łapami.

Życie kulturalne

Doroczny konkurs na Miss Powiśla po raz pięćdziesiąty czwarty wygrała mieszkanka Sztumskiej Wsi, panna Katarzyna Malewska. Na zarzut części publiczności męskiej, że K. Malewska chyba oszukuje, odpowiedział przedstawiciel jury, Langner. Apelował o szacunek dla tradycji, takt i szczyptę wyobraźni.

Życie gospodarcze i finansowe

Ludzie sobie jakoś radzą. A co mają, proszę Państwa, robić?

Życie odzieżowe

Moda zatacza koła. W coraz to krótszych cyklach powracają do łask wzory, jakie obowiązywały nieco wcześniej. I tak panie i panowie z Prabut znaleźli się wczoraj w absolutnej awangardzie światowego wzornictwa. Dostrzeżono to natychmiast w Mediolanie i Paryżu, skąd w te pędy przyjechały różne wyperfumowane baby. Kupowały wszystko tak jak leci w sklepach z galanterią odzieżową i na rynku. Dochodziło nawet do zdzierania okryć z ludzi wracających z pracy w zakładach przetwórstwa mięsnego Dudzińskich. Ale to było wczoraj. A dzisiaj podobno przoduje Gardeja.

Życie meteorologiczne

W mijającym tygodniu pogodę na naszym terenie kształtował wyż śródziemnomorski i pani Agata Rosłaniec z mężem.

W nadchodzących dniach aura sprzyjać będzie odważnym. Nie jest wykluczone, że zupełnie dobrze będą się mieć także sympatycy Spółdzielni Ogrodniczej Hortensja w Czerninie.

Życie rolnicze

Codziennosc naszej wsi otrzymuje coraz częściej formę literacką. Oto utwór dramatyczny nadesłany do naszej redakcji z okolic Kwidzyna. Autorem jest człowiek, który na co dzień kuca przed domem. Żąda, aby nie ujawniać jego personaliów. I proszę bardzo, nam nie zależy.

N.N.

Skup w Starczewie

[dramat w jednym akcie]

Traktor z dwukółką na trzodę. Stanisław Barański wiezie babę do Starczewa. Baba, w jesionce i w chustce, trzyma się mocno barierki przyczepy.

BABA (*z powrozem na nogach*)

I nie było śniegu, tera nie ma deszczów.

Wszystko pomarnieje. Klęska, straszna klęska.

Barański dojeżdża do skupu. Tam masa dwukółek z babami w jesionkach. Pisk, hałas i rwetes nie do opisania. Spęd interwencyjny. Weterynarz, waga. Baba Barańskiego otrzymuje słusznie całkiem dobrą klasę, ale mimo tego cena będzie niska, ledwie na poziomie zera rentowności. A była tuczona naprawdę oszczędnie: jęczmień, seradela, kluski i makuchy.

BARAŃSKI (*do Gliwy*)

Nic się nie opłaca. I nie było śniegów, tera nie ma deszczu.

Wszystko pomarnieje. Klęska, straszna klęska.

Poważne debaty nad opłacalnością chowu. Obiad w karczmie „Zbyszko” zakończony stratą dóbr inwestycyjnych i zębą na przodzie. Szczęściem stary traktor zna drogę do domu i sam ciągnie wózek i ciało za nogę.

Koniec

Życie kryminalne

Znowu morderstwo.

Niestety nie wiadomo gdzie, kto, kogo, kiedy i ewentualnie za co. Domyślamy się jednak, że w Tleniu, Kazimierz Lasocki, Krystynę Lasocką, w zeszły poniedziałek po obiedzie, za potwornie twarde pyzy.

Życie z ogłoszeń

Drapanie opuszkami palców lub szczoteczką po plecach i po całej czaszce, z ogromnym wyczuciem, bez żadnych skaleczeń, ze zróżnicowaniem czasu, nacisku i tempa. Wizyty domowe po siódmej wieczorem. Tadeusz Grabowski, *Drapanie po grzbiecie i głowie*, Sadlinki, ul. Przyjaźni, za masarnią w lewo (telefon nie działa, ale można wołać).

Rekwizytornia Człowieczych Snów zawiadamia, że w związku z lawiną zamówień, przy jednoczesnym braku personelu, wprowadza się ograniczenia w wydawaniu niektórych pozycji z magazynu nr 7, przede wszystkim przedmiotów o większej wartości. Wprowadzono całkowity zakaz pożyczania drabin. Meble – a specjalnie szafy – tylko na rewersy. Ponadto – ze względu na powtarzające się w przeszłości przypadki nadużyć i handlu – nie będzie biletów lotniczych do Sofii i sukienek ślubnych z bukietem i z szarfą. W niedzielę i święta magazyn wydaje wyłącznie scenerie pustynne i polne, ostatecznie wiejskie. Normalnie pracują wydziały tajfunów i wojen; redukcje w oddziałach katastrof i piekieł.

Romuald Kostrzewski, *Departament Scenografii Spółki Hypnos i Synowie*, Malbork.

Konkurs

**na reportaż i fotoreportaż społeczny
im. Krystyny Muszyńskiej
pod tytułem**

„Moje miejsce na ziemi sztumskiej”

dla

młodzieży szkół gimnazjalnych, ponadgimnazjalnych i studentów z
powiatu sztumskiego

Organizatorem konkursu jest Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, NSZZ „Solidarność” w Sztumie, Stowarzyszenie „Samorządne Powiśle” w Sztumie oraz Starostwo Powiatowe w Sztumie.

Celem konkursu jest zachęcenie młodych ludzi do zainteresowania się problemami życia mieszkańców w powiecie sztumskim. Interesują nas kwestie związane z codziennym życiem w małym miasteczku, bezrobociem, wykluczeniem społecznym, bezdomnością, niepełnosprawnością. Jak zmieniło się życie mieszkańców powiatu w ostatnich dwudziestu latach, kiedy żyjemy w wolnej i suwerennej Polsce? Jak mieszkańcy powiatu sztumskiego radzą sobie z trudną rzeczywistością, ich radości i zmartwienia? Mogą to być ludzie sukcesu lub tacy, którzy z trudem funkcjonują na marginesie życia społecznego.

Naszym zdaniem najlepszą formą opisu rzeczywistości jest reportaż, pokazujący autentycznych ludzi. Amatorów fotografowania zachęcamy, by spróbowali takiego opisu dokonać przy pomocy aparatu fotograficznego.

Najlepsze prace zostaną opublikowane.

Regulamin konkursu

1. Uczestnikami konkursu mogą być uczniowie szkół gimnazjalnych, ponadgimnazjalnych oraz studenci- mieszkańcy powiatu sztumskiego .
2. Forma wypowiedzi – reportaż lub fotoreportaż.
3. Długość tekstu – do 5 stron maszynopisu.

4. Prace napisane w programie edytorskim WORD, czcionka Times New Roman, rozmiar 12, należy przesłać drogą mailową, na adres: leszeksarnowski@poczta.onet.pl.
5. Ilość zdjęć w fotoreportażu – od 3 do 5 zdjęć.
6. Fotoreportaż powinien mieć tytuł. Każde zdjęcie powinno być krótko opisane – co przedstawia, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach zostało wykonane.
7. Zdjęcia powinny być zapisane w formacie JPEG w rozmiarach: szerokość 800 pikseli, wysokość 600 pikseli.
8. Wysłanie pliku ze zdjęciami jest równoznaczne z oświadczeniem o posiadaniu praw autorskich do prezentowanych fotografii oraz uzyskaniu zgody na publikację od osób znajdujących się na fotografii.
9. Przesłanie zdjęć na konkurs oznacza także udzielanie organizatorom konkursu nieodpłatnej licencji na bezterminową prezentację fotografii w wydawnictwach, materiałach promocyjnych lub na stronach internetowych, w tym na stronie internetowej Starostwa w Sztumie.
10. W wypadku naruszenia praw autorskich, majątkowych, bądź związanych z ochroną wizerunku osób trzecich, uczestnik konkursu ponosi całkowitą odpowiedzialność karną i finansową za popełniony czyn i zobowiązuje się do zadośćuczynienia żądaniom strony pokrzywdzonej.
11. Zdjęcia do fotoreportażu przysyłać na adres: Wacław Bielecki medyk-sztum@medyk-sztum.pnet.pl.
12. Prace, poza adresem mailowym, powinny zawierać: nazwisko i imię, adres domowy uczestnika i telefon kontaktowy.
13. Termin składania prac - do 15 sierpnia 2010 r.
14. Prace oceniać będzie komisja konkursowa w składzie - Leszek Sarnowski, Wacław Bielecki, Janusz Ryszkowski.
15. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 15 września 2010 roku.
16. O wynikach laureaci zostaną powiadomieni drogą e-mailową.
17. Laureaci najlepszych prac otrzymają atrakcyjne nagrody rzeczowe - laptop, aparat fotograficzny, książki, płyty.

Noty o autorach

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policelanych w Sztumie. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika *Sztumska Solidarność*, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spacerzy rowerowe i wnuki.

Rafał Cybulski – ur. 1975 r. w Golubiu – Dobrzyniu. Studiował historię na UG. Dziennikarz *Kuriera Kwidzyńskiego*, *Kuriera Powiatu Kwidzyńskiego* i *Dziennika Bałtyckiego*. Mieszka w Kwidzynie.

Paweł Głogowski - ur. 1969 r. w Warszawie. Absolwent politologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zainteresowania: historia, rekonstrukcje historyczne, numizmatyka, Indianie, góry, książki. Mieszka w Sztumie.

Andrzej Kasperek - ur. 1958 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent filologii polskiej UG. Działacz SKS, NZS UG. Pracował w DKF „Żak” w Gdańsku. Nauczyciel języka polskiego w Nowym Dworze Gdańskim. Autor opowiadań „Back in the DDR i inne opowiadania” (w druku). Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Jacek Kluczkowski – ur. 1963 r. w Kwidzynie. Absolwent Studium Pedagogicznego w Gdańsku. Dziennikarz *Radia Gdańsk*, *Kuriera Kwidzyńskiego*, *Kuriera Powiatu Kwidzyńskiego* i *Dziennika Bałtyckiego*. Mieszka w Kwidzynie.

Sebastian Kubiak - ur. 1971, poeta, mieszka w Malborku. Publikacja w kwartalniku *Prowincja* jest jego debiutem.

Kordian Kuczma - ur. 1976 r., absolwent III LO w Gdyni, licencjat dziennikarstwo i nowe media, student stosunków międzynarodowych warszawskiego Collegium Civitas. W 2010 r. zadebiutował na łamach ogólnopolskiego kwartalnika *Sport Wyczynowy*. Współpracował z Muzeum Żuławskim w Nowym Dworze Gdańskim i Klubem Nowodworskim.

Justyna Liguz - ur. 1970 r. w Kwidzynie. Absolwentka Instytutu Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu. W 2003 doktorat z historii na UMK. Od 2003 roku pracuje jako główny specjalista ds. pracowni regionalnej przy Kwidzyńskim Centrum Kultury w Kwidzynie, zajmując się popularyzowaniem lokalnej historii ziemi kwidzyńskiej. Od 2000 roku założycielka i prezes Kwidzyńskiego Towarzystwa Kulturalnego, a także redaktor naczelny kwartalnika kulturalno-historycznego *Scho-dy Kawowe*.

Marek Jastrzębiec Mosakowski - ur. 1962 r. w Bartoszycach. Absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Sztumie. Student filologii polskiej na UG. Pisarz, krytyk literacki, eseista. Autor powieści „Ślady na piasku”, za którą w 1994 roku otrzymał I nagrodę w Konkursie Literackim Miasta Gdańska. W 1996 wydał powieść „Pory roku”. Literaturoznawca, profesor w katedrze Filologii Romańskiej UG. Habilitacja w 2007 roku - książka „Strategie wymazywania. Kobiety w męskich tekstach francuskiego Oświecenia”. Mieszka w Gdańsku.

Marek Opitz - prezes Stowarzyszenia Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego Klub Nowodworski, fotograf, inicjator i pomysłodawca wielu przedsięwzięć ratujących żuławski pejzaż (wiatraki, groby mennonickie, rzeki, domy podcieniowe), autor albumów i książek poświęconych Żuławom – m.in.: Żuławy – czas przełomu, Delta Wisły - krajobraz dla konesera. Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Piotr Podlewski - absolwent historii UMK w Toruniu. Nauczyciel historii w Liceum Ogólnokształcącym w Dzierzgoniu. Publikował teksty historyczne w *Dzienniku Bałtyckim*. Mieszka w Sztumie.

Zbigniew Ptak – ur. 1948 r. w Kościerzynie. Absolwent AWF w Gdańsku i WSH w Puławach. Kierownik Biura Pomorskich Dróg Wodnych Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku. Pomysłodawca i organizator zlotu żeglarskiego w Rybinie. Mieszka w Żuławkach.

Janusz Ryszkowski - ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UG. W latach 1984-2009 dziennikarz *Głosu Wybrzeża*, *Wiadomości Elbląskich* i *Dziennika Bałtyckiego*. Jako poeta debiutował w 1975 roku w *Nowym Wyrazie*, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach *Nowych Książek*. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierzy Iłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportażu „Requiem dla hrabiego” (1997); współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-Stuhm” (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczuk - Ryszkowską przygotował antologię „Oko judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski - ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z *Gazetą Wyborczą*, *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Gdańsk*, *Radiem Plus*, *TVP Olsztyn*, *TVP Gdańsk*. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny *Sztumskiej Solidarności* i *Gazety Sztumskiej* w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelną kwartalnika *Prowincja*. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski - ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawienictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno - groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satyrykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski - ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosze w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. - „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legenda i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zamki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005). Mieszka w Malborku.

Danuta Thiel - Melerska - ur. w Sztumie. Absolwentka historii UMK w Toruniu. Kustosze Muzeum Zamkowego w Malborku i kierownik Muzeum Powiśla w Sztumie do 1984 r. Kierownik Archiwum Miejskiego w Lörrach (Niemcy), obecnie na emeryturze. Zajmuje się historią fotografii, dziejami wsi pomorskich, historią żelazek, genealogią i ogrodem. Mieszka w Nadbrzeżu gm. Tolkmicko.

Ks. Grzegorz Wąsowski - ur. 1964 r. w Korszach. W 1989 r. święcenia kapłańskie w Seminarium Duchownym w Olsztynie, absolwent historii sztuki KUL. Od 2002 r. proboszcz parafii Św. Jana Chrzciciela w Gronowie Elbląskim, fotografik, plastyk, poeta. Parafianie wydali mu dwa tomiki wierszy - „Zapatrzenia, zasłuchania” (Sztum 2004), „Cztery pory słów” (Gronowo Elbląskie 2008). Mieszka w Gronowie Elbląskim.

Jerzy Wcisła - ur. 1958 r. w Grodzicznie k. Nowego Miasta Lubawskiego. Dyrektor Biura Regionalnego Urzędu Marszałkowskiego Województwa Warmińsko - Mazurskiego w Elblągu. Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w Elblągu. Inicjator założenia Muzeum Żuławskiego i Lapidarium Mennonickiego w Nowym Dworze Gdańskim i Lokalnej Organizacji Turystycznej Subregion Zalewu Wiślanego w Elblągu. Członek - założyciel Stowarzyszenia „Klub Nowodworski” i Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów. Ukończył katolickie nauczanie społeczne na GIT i KUL. Był redaktorem naczelnym *Gazety Żuławskiej* i *Gazety Elbląskiej*. Autor, współautor i wydawca książek o tematyce regionalnej m.in. - „Kto jest kim w Elblągu”, „25 lat Solidarności Regionu Elbląskiego”, „Kanał przez Mierzeję”. Mieszka w Elblągu.

Bogumił Wiśniewski - ur. 1966 r. w Kwidzynie. Absolwent archeologii UMK w Toruniu. Znawca i miłośnik historii Kwidzyna i okolic. Archeolog miejski w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie. Publikował w kwidzyńskim kwartalniku *Schody Kawowe* oraz czasopiśmie *Odkrywca*. Współinicjował z ks. Ignacym Najmowiczem podjęcie poszukiwań doczesnych szczątków błogosławionej Doroty oraz pochówków wielkich mistrzów krzyżackich w katedrze pw. św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie. Mieszka w Kwidzynie.